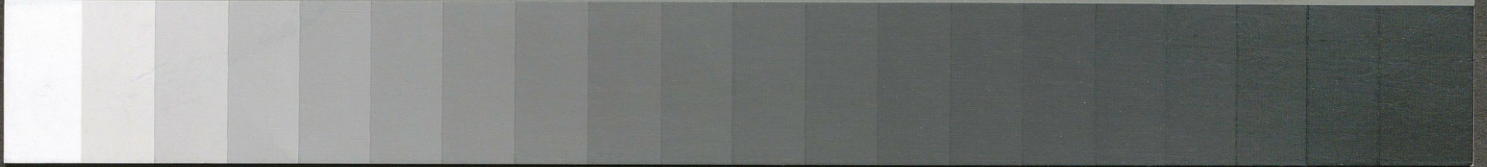




Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



K
M



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19





ZŁOTE CZASY I WYWCZASY

I—IV TYSIĄC

*Gawędy
o dawnym obyczaju*

WYBÓR CIEKAWYCH PAMIĘTNIKÓW
XVIII. i XIX. STULECIA

POD REDAKCYĄ
STANISŁAWA WASYLEWSKIEGO

TOM II.
Złote czasy i wywczasy



LWÓW 1920
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

*Złote
czasy i wywczasy*

PAMIĘTNIK SZLACHCICA
Z PIERWSZEJ POŁOWY XIX. STULECIA.

NAPISAŁ
LUDWIK GRZYMAŁA JABŁONOWSKI

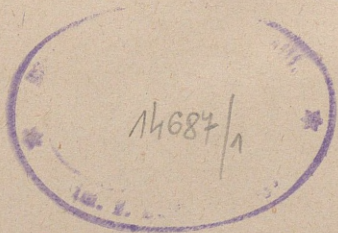
Z przedmową
STANISŁAWA WASYLEWSKIEGO



LWÓW 1920
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

92

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE



Z Drukarni L. Wiśniewskiego we Lwowie.

Niewielu jest w naszej literaturze pisarzy pamiętników, którzy pozwalają czytelnikowi współprzeżywać swe wspomnienia, którzy, pisząc, widzą rzeczy opisywane i drugim widzieć je każą. Jest pan Pasek Chryzostom i Aleksander Fredro („Trzy po trzy“), Odyniec po troszę i może stary Koźmian. Nieliczną gromadkę pomnoży teraz — Ludwik Jabłonowski.

Kto zaczę jest i co ma do powiedzenia? Pamiętnik Jabłonowskiego możnaby nazwać „żywotem szlachcica w wieku XIX-tym poczciwego“, bo zda się, że to towarzyszył pancerny z jagiellońskiej Rzeczypospolitej zabłąkał się w nowe czasy. Już tylko dzieckiem oglądał dogasające ogniska dawnej beztroski, już tylko ze słyszenia znał Rzeczpospolitą, ale pozostał jej nieodrodnym obywatelem. Do powstania w r. 1830 jedzie jakby pod Cецarę, w r. 1848 wystawia we Lwowie pułk ułanów własnym kosztem, jak za dobrych czasów a w tajne spiski polityczne wnosi manieri konfederata barskiego, wołającego co chwila „veto“, choć ten dźwięk złowieszczy już dawno wyszedł z obiegu. Wspomnienia Jabłonowskiego czytać będziecie z zainteresowaniem, to był zgryźliwy i jowialny, mądry i boleśnie dokuczliwy. A chyba pierwszy to i jedyny wśród powstań-

ców — pamiętnikarzy, który pisze o swej wojaczce bez żawego patosu i bez cierpiętniczych wykrzykników!..

Ludwik hr. Jabłonowski urodził się w r. 1810 i podobnie jak wszyscy uczuciowi ludzie epoki romantyzmu uczył się zrazu na wieszczą narodowego. Deklamował z pamięci całego niemal Byrona, Goethego i Szyllera (nawet w Dreźnie przed Mickiewiczem) i marzył o laurach poetyckich. Tem bardziej, że był szwagrem Fredry, a przyjacielem Goszczyńskiego, Pola i Bielowskiego. Ten ostatni tak pisał wówczas do Ludwika Nabelaka: „Ludwik Jabłonowski wydaje swoje poezje. Wiadomo Ci już, że się ożenił, głupstwo zrobił, ale daleko większe robi teraz wydając poezje, które jak dotąd niczem więcej nie są, jak próbami, które na druk nie zasługują, jakkolwiek o talencie przy pracy i doskonaleniu się poświadczać mogą“. Sąd ten był słuszny, bo Jabłonowski pisał wiersze rezonerskie i ciężkie, zarówno w pomysłach jak i formie. Nierównie lepiej gospodarował w dziedzicznym Lubieniu do czasu, kiedy pewnej nocy przybiegł do dworu zdyszany żydziak od arendarza z wiadomością: „Tatele kazał powiedzieć, że Moskal z Warszawy weg“! Dwudziestoletni chłopak pojechał do powstania. Bił się pod Wawrem, Grochowem i Ostrołęką, a wróciwszy cało przywiózł ze sobą oprócz reumatyzmu dużo zapału do strategji, którą będzie do końca życia studjował, Pisał dalej poezje, zadawał się z poetami i — spiskował. Zdrojowisko pod Lwowem stało się po r. 1830 punktem zbornym emisarjuszów i poetów. Przesiadawali tu często Pol, Bielowski i Goszczyński, który napisał w Lubieniu swoje

„Proroctwo ks. Marka“, w dworze lubienieckim powstała też pierwsza tajna konspiracja polityczna w Galicji: „Związek 21“, a Jabłonowski stał się jednym z najgorliwszych spiskowców. Do organizacji, która coraz gęstszą siecią poczęła ogarniać Galicję, wstąpił pod hasłem walki z centralizacją wcrsałską, z zamiarem usunięcia z programu spiskowców nalotu kosmopolityzmu i wpływów rewolucyjnego węglarstwa. W tym celu wyniosły torys przybrał czerwone szaty karbonarjusza i wiódł w konspiracjach namiętną walkę z radykałami. Przesiedział czas dłuższy w austriackim kryminale, po wyjściu z więzienia spiskował i pisał dalej, ogłaszając wiersze w rozmaitych pismach galicyjskich („Haliczanin“, „Ziewonia“, „Dziennik literacki“). Rok 1848, w którym próbował daremnie odegrać rolę wojskową i polityczną pozbawił Jabłonowskiego do reszty złudzeń. Usunął się od wszelkiej pracy publicznej, wrócił do roli i wiódł przez wiele dziesiątków lat żywot człowieka poczciwego.

Miał już Jabłonowski lat prawie sześćdziesiąt, gdy zabrał się do pisania pamiętników. Życie nie szczędziło mu wrażeń. z których postanowił się wyspowiadać przed potomnością. Przez lat dwadzieścia pracował gorliwie, a wśród przyjaciół krążyć poczęły niespokojne słuchy, że wspomnienia tego zrażonego do ludzi samotnika będą druzgocącą kroniką skandaliczną z życia szlachty galicyjskiej! Dożywszy ósmego krzyżyka zmarł we Lwowie (1/X. 1887), a zapieczętowane pamiętniki zapisał Bibliotece Ossolińskich z warunkiem nie otwierania ich przed upływem lat dwudziestu. Zda-

wało się istotnie, że pod pieczęciami ukrywa się lwowski Casanova czy markiz Lauzun. I oto pokazało się, że ten rozuźny człowiek nie nad historją buduarów pracował przez lat dwadzieścia, ale nad czasów swoich historją. Zgryźliwy był i kostyczny, więc nie krył się często z ostrym osądem ludzi i spraw, ale nie w tem wartość jego pamiętników. Zapachy skandalików, o które tu i ówdzie potrąca zwietrzały dawno, szpileczki rozdzielane obficie przestały kłuć, a został jeno barwisty obraz epoki, w której żył. Obraz ten bardziej wyrazisty, że postawiony przed wkłętym zwierciadłem satyry.

Jeśli pamiętnikarstwo jest sztuką osobną, to posiadła ją w całej pełni Jabłonowski. „Złote czasy i wywczasysy“, to właściwie jedna, nierówna wprawdzie, bo w rozmaitych czasach pisana, ale zawsze iskrząca kolorami powieść. Autor dał książce swój wszystkie żywy temperament. Ludzie, o których mówi, żyją, niczem figury powieści, rysowane nieraz z całym koronkowym kunsztem starych romansopisarzy. Zrazu szarzeją na kartach różowe wspominki dziecka, owiane urokiem oczu Napoleona, potem błyszczą srebrne lance ułańskie, to znów odslaniają się straszliwe i groteskowe tajemnice epoki spisków, malowanej z humorem Dickensa, oraz z ironią Hogartha.

Zazwyczaj starzy pamiętnikarze zrzędzą tylko o rzeczach* widzianych, w najlepszym razie opisują je z patosem — Jabłonowski stawia nam swą przeszłość przed oczy. Widzimy przecież jak na dłoni! Oto papa z mamusią wybierają się w podróż do ks. kanonika

w Wiśniowej, potem W. ks. Konstanty pędzi na rewję na placu Saskim, a Warszawa marznie od trzaskających mrozów. Rozmawiamy niemal z Aleksandrem Fredrą, widzimy Goszczyńskiego na polowaniu i, jakże blisko, Mickiewicza w Dreźnie, (zdziwieni, że się tak bardzo nie podobał Jabłonowskiemu), potem słysząc wymarsz powstańców z koszar warszawskich i znów przepyszna scena: zebranie wesółych emisariuszów u Zamojskiego w Derewlanach. O kampanii roku 1830 ustęp krótki, ale jakże odrębny od cikliwego szablonu, w jakim gawędzą „stare wiarusy“! Albo opis rewolucji lwowskiej r. 1848 i bombardowania! Ten stary człowiek bierze nas z sobą na przechadzkę po ulicach Lwowa, zasypywanych właśnie kartaczami Hammersteina. Pierwszy raz dowiedzie się dokładnie, jaka to naprawdę była owa „wiosna ludów“! Skromny opowiadacz wyrasta wówczas na niepospolitego plastyka i majstra słowa, które nigdy nie nuży napuszonym patosem; zamiast tyrad patetycznych daje sceny żywe, a wyborem dosadnych epizodów i pysznych sytuacji nieraz uweseli czytelnika. Jabłonowski chwytą zawsze ludzi w momentach ruchu, przytrzymuje niemal za rękę w chwili jakiejś znamiennej, dobywa z wydarzenia wyraz i ton zasadniczy, podpatruje i wyszydza bezlitośnie śmieszności, gdziekolwiek były. Cóż z tego np., że inni pamiętnikarze obdarowali nas tysiącem dat i szczegółów o epoce spisków tajnych — Jabłonowski dopiero zaprowadził nas wprost na posiedzenie sprzysiężonych, których coraz razi szyderczymi docinkami. A kiedy gryzie — sercem gryzie.

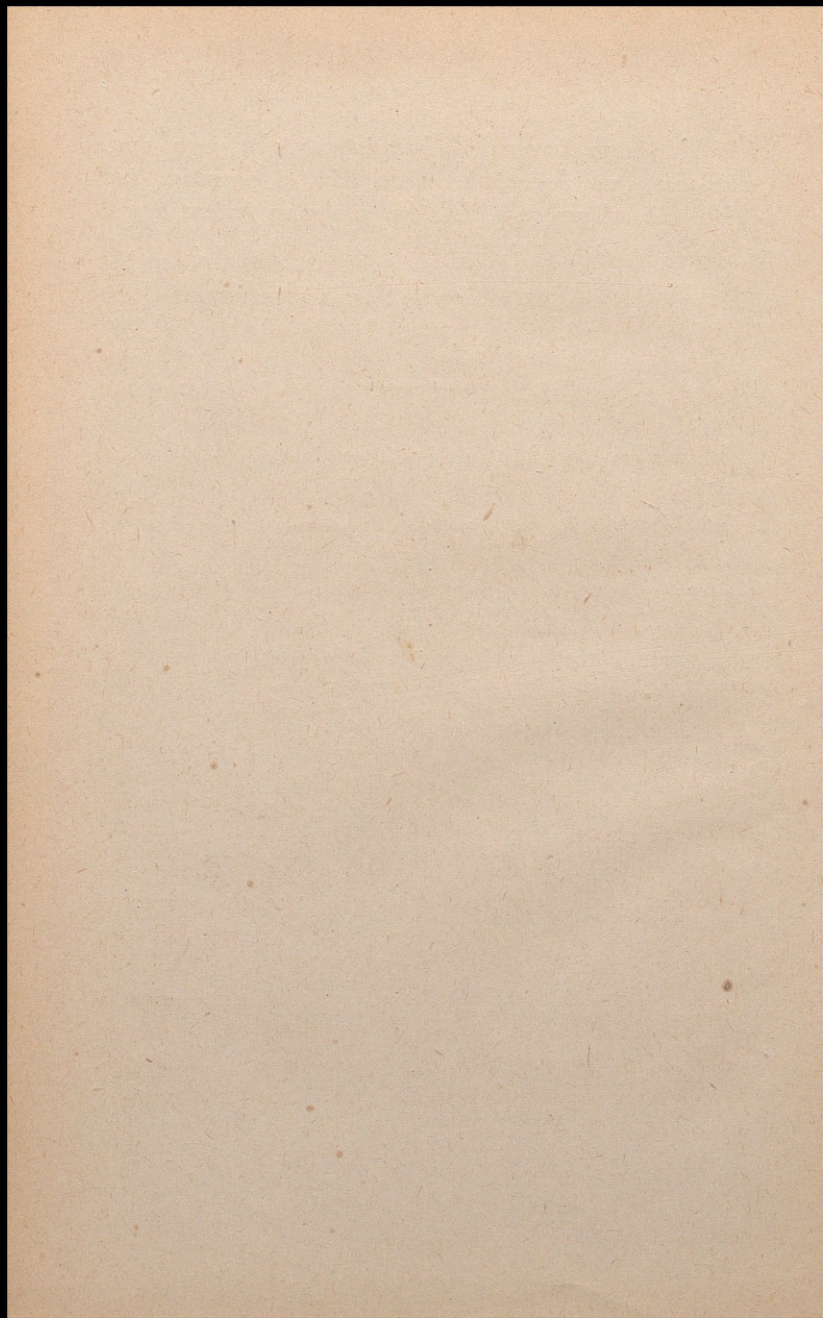
Ale plastyki słowa trzeba dopiero doszukiwać się w rękopisie pamiętników, trzeba ją nieraz niemal odgrzebywać pod nalotem zrządzających frazesów, późniejszych wstawek, zawilego często szyku zdań i nadmiernej ilości wtrąconych określeń. Na pozór faktura słowa jest u Jabłonowskiego ciężka, przetadowana określeniami i szczegółikami. Dlatego z całości obszernych pamiętników wybrałem do wydania obecnego ustępy najciekawsze i wyjątki najbardziej godne upowszechnienia. Bo nie wszystko należało ogłaszać. Interesowały nas fakta i przeżycia, opuściliśmy zupełnie zgryźliwe zapatrywania i osądy starego człowieka, załatwiającego w pamiętnikach osobiste i rodzinne porachunki, czy też ujawniającego dawno zwietrzałe sekrety. Niechaj zostaną nadal pod pieczęcią!

Ustępom z pamiętników Jabłonowskiego daliśmy tytuł może na pozór nieodpowiedni: „Złote czasy i wywzasy“. Skądże „złote“, gdy tak wiele kart ciemnych jest w tych pamiętnikach z doby ucisku austriackiego w Galicji, z czasów rabacji chłopskiej i bombardowania! A jednak złocą się w oczach gdy na nie patrzeć z perspektywy wieku, złote są, bo świeci nad nimi słońce romantycznych porywów, „mierzących siłę na zamianę“, złocą się nareszcie pod piórem świetnego narratora!

Osobiście zawdzięczam wiele pamiętnikom Jabłonowskiego. Nietylko z wielu jego informacji korzystałem w niektórych szkicach tomu „U księżnej Pani“. Jabłonowski uprzytomnił mi postać Fredry i Skarbka, a także ukazał we właściwym świetle wiele spraw

i ludzi starego Lwowa. W barwistym toku jego opowiadania, w bogactwie szczegółów i obrazów jest jakby coś odżywczego! Dlatego spokojny jestem o sąd czytelników o tym pamiętniku!

Stanisław Wasylewski.



ROZDZIAŁ I.

W DWORACH I DWORKACH PRZED STU LATY.

Pierwsze wspomnienia. — Pamięć oczu Napoleona. — Pomór i głód roku 1813go. — „Ośla głowa“. — Pan cześnikiewicz Urbański, pan rotmistrz Ostaszewski i ojciec gwardjan Szczepanowski. — Jak zapoznałem Goszczyńskiego z Machnickim? — Szlachta ziemi sanockiej. — Jarmarki w Krośnie. — Kantorki kolbuszowskie i bryki sokalskie. — Przy-smaki i delacje. — Wędrówki kramarza. — Księgarnia na wózku. — Jak się podróżowało *anno* 1817. — U ks. kano-nika w Wiśniowej. — Przygody na popasach.

URODZIŁEM się w Warszawie obok domu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, 24go sierpnia 1810, dano mi na chrzcie: Napoleon Ludwik Józef. Pierwsze imię popłynęło na Helenę, zostawiono mi drugie. Jak w Paryżu jeden Francuz, tak w Warszawie jeden Polak przybył.

Gdy Wielki ciągnął na Moskwę, nie mogłem mieć jak kilkanaście miesięcy, jednak pamiętam wyraźnie i widzę się jasno na rękach jakiejś prostej kobiety, stojącej w bramie domu, a patrzę na ciągnącego na czele Sztabu cesarza z Krakowskiego Przedmieścia ku Nowemu Światu. Może przypadkiem spojrzął na mnie, a tem spojrzeniem ujął ducha mego w magnetyczną niewolę, która trwa i trwać będzie do śmierci

Znowu, jak przez mgłę, widzę siebie chodzącego z matką w ogrodzie krościenieckim (pod Krosnem). Powódź, Wisłok szumi, trup się zatrzymał w łożynie, wyciągają topielca żerdziami. Kordys, nadworny lekarz rodziców, rozpowiada matce o wielkiej zarazie, którą Moskwa niesie z sobą; matka znowu mówi o powodziach, zatapiających nasze wioski. Na podwórzu ogniska, z dużych kotłów rozdają strawę napuchniętemu z głodu ludowi. To musiał być rok 1813: pomór, powódź, głód.

I noc zapada na pamięć — nagle się rozjaśnia; ranek słoneczny, ubierają mnie z pospiechem, wyskakuję z łóżka, na podwórzu porywa mnie na ręce siostra moja, Stanisława Skarbkowa, w nocy przybyła z Wiednia, gdzie była z mężem podczas kongresu, więc to rok 1815ty. Między gośćmi dała mi widoki Wiednia, jeden przedstawiał most Tabor, na nim stało kilku francuskich żołnierzy, od których oczu oderwać nie mogłem. Czemże wytłumaczyć taką sympatię pięcioletniego bambina?

Pomnę znowu, że w tych czasach na imieniny matki przedstawiano komedię na tę okoliczność, ułożoną przez p. Ignacową z Bratkowskich Mrozowicką pod tytułem „Ośla głowa“ (herb Świdzińskich). W ostatniej scenie ja, występując w roli aniołka, miałem zejść z wywyższenia i podać matce tarczę z Znamieniem; wstępuję dosyć śmiało na scenę, gdy mój piesek, czarny Koko, chcąc się także pokazać towarzystwu, wskakuje na mnie znienacka, przewraca, a ja upadłszy na nos i połamawszy tarczę, becząc uciekam

na kolana matki, co wszystko wielki wywołało aplauz. Takie było moje pierwsze i ostatnie ukazanie się na deskach.

Najbliższym sąsiadem Krościenka był p. Stanisław *Urbański* z Kamborni — jeżeli dobrze pamiętam — cześnikiewicz, stary, dziwacznej powierzchowności kawaler, dziwak, ale zacny człowiek, wysoki, barczysty; pod niskiem, czarną czupryną najeżonem czołem łączyły mu się nad nosem czarne gęste, jeżem sterujące brwi, z uszów i nosa (na którym było ich nieskapo) wyrastały, długie, grube jak szczecina włosy. Chodził zawsze w czarnym fraku i węgierskich na spodnie butach, czasami opinał szyję wstążką, prawdopodobnie maltańskiego orderu; wyobraźnia, nawet mniej, niż moja tańczująca, widzieć w nim mogła wilkołaka, połykającego niegrzeczne dzieci. — Chłopców z dóbr swoich posyłał na wychowanie do Węgier. Jedni wyuczeni węgierskiej muzyki wracali, by zasilać nadworną kapełę, z którą napadał spokojnych sąsiadów, przerażając kobiety i dzieci rykiem straszliwych czardaszy. Drudzy, pisemnie wykształceni, obejmowali nadworne i gospodarcze urzędy. Wraz z posadą każdy dostawał imionisko; komisarz zwał się drabuś, ekonom Filuś, lub złodziej, marszałek Hizig. — Dominującą namiętnością cześnikowicza było ziarnem i jałowcem tuczyć gile, by je potem kupami przesyłać sąsiadom. Miało to być wyborne pieczone pewnie smaczniejsze niż ortolany, bo nieznam lepszego rosołu, jak z wróbli albo trznadli. — Po roku, mniemając, że Czartoryscy wskutek powstania utracili

fortunę, posłał im donację całego majątku z prośbą, by weszli w posiadanie, lecz książę Adam nie przyjął.

Bywał także u moich rodziców rotmistrz *Ostaszewski*, ten sam o którym Pol w ostatniej potyczce „Moghorta” wspomina; na jego rękę widziałem pierwszy raz tak zwany pierścień księcia Józefa. Miał być kuty z podków karej klaczy, na której książę zginął; na srebrnem podbiciu był napis „Bóg mi powierzył honor Polaków, jemu go w ręce oddaję”. Ojciec rotmistrza, oddawszy wioski synom, osiadł u mego ojca na dzierżawie folwarczku; pamiętam go na śmiertelnem łożu, umierał stuletnim starcem, mówiono, że neofita.

U rodziców każdej niedzieli z upragnieniem oczekiwano gwardjana kapucynów *Szczepanowskiego*. Był to rosły, przystojny mężczyzna światowej ogłady, bo służył w naszym wojsku jako rotmistrz i od księcia Józefa krzyż dostał wojskowy; straciłem go później z oczu. Słyszałem, że po 1831, wieziony w kajdanach do Rzeszowa za spiskowanie, w drodze umarł. — Podobne zdarzenia tak często się wówczas powtarzały, że mało mówiono o nich. Teraźniejsi kwestarze to karykatury dawnych kapucynów. Z nadmiernem rozplodnieniem się dziennikarstwa znikł dawny kapucyn, którego zadaniem było rozwozić z domu do domu nowiny. Takich Robaków jak w „Panu Tadeuszu” znałem kilku.

Po Firlejach Odrzykoński kamieniec spadł na *Mniszków*, po nich na Bogatków, a moja prababka (żona Stanisława Jabłonowskiego, chorążyna trem-

bowelska), idąca z tego imienia, przeniosła go na mego pradziada. Pamiętam jeszcze sklepienia, nawet pokój błękitny więc bawialny, bo za owych czasów każdy pokój miał swoje właściwe barwy. Salon barwę białą, bawialny niebieską, sypialny zieloną, jadalny żółtą, gabinet tylko wolno było srokacić z chińska lub w arabeski, śliczne też takie widywałem boudoiry jakby z Pompei przeniesione. W zwaliskach kamienia, zburzonego nie wiedzieć wśród jakiej wojny, przebywał zwykle oblakany *Machnicki*; w r. 1833 zawiozłem tam Goszczyńskiego, którego natchnął „Królem zamczy-ska”. — Był to niski urzędniczek król. miasta Krosna, mały, chudy, łysy, w siwej kapocie, całkiem nieszkodliwy, chadzał w odwiedziny po dworach i nawet wiersze składał.

W świtach mego życia między Wisłokiem, Wisłoką, Sanem a Wisłą, trzymały się jeszcze liczne szlacheckie gniazda i rodziny: Bukowskich, Grabińskich, Urbańskich, Stadnickich, Męcińskich, Bobowskich, Budzkich, Szymanczewskich, Gorajskich, Trzecieckich, Załuskich, Załęskich, Nideckich, Kurdwanowskich, Tyszkiewiczów, Łepickich, Wiesiołowskich, Wiktorów i wiele innych.

*

*

*

W królewskim mieście Krośnie, bywał roczny jarmark na SS. Szymona i Judy. Stolarze kolbuszowscy przywozili kantorki, skrzynie, stoliki, zwykle pokryte rozmaitym fornirem z korzenia, barwnem drzewem, w arabeski, ptaszki, kwiaty ładnie wysadzone. Dziś

je znawcy wysoko cenią, jako ozdobne starożytności, osobliwie gdy są z cisu, tak już rzadkiego u nas drzewa. Złotnicy z Rzeszowa lub Strzyżowa rozkładali misterne wyroby z rzeszowskiego złota (tombaku). Ojciec mawiał, że żydów z takimi pudłami widywał w Wiedniu, a nawet w Paryżu. Strzyżowski towar był kosztowniejszy, bo zwykle z srebra. — Z Kobyłanki przychodziły perkale, z Węgier szkła i haftowane kożuszki, głównym zaś przedmiotem handlu były płótna; całe podgórze tkało, w wielu miejscach, w Korczynie, Lutczy, Gorlicach, niezmierne blichy często po 1000 dukatów rzucały dochodu. Na tygodniowym targu w Korczynie tysiące półsetków przechodziło z rąk do rąk, a po dworach od stróża i kuchennej baby do marszałka i wyprawnej panny wszystko kupczyło płótnem. (Nie jedną mógłbym wykazać fortunę, na kilku półsetkach założoną).

Dla mnie wtedy kantorki, pierścionki, płótna nie miały uroku, zato pieściłem oczami długie sznury obwarzanków; z nich, gdy je rozmięczono w mleku, a przysmarzono w maśle, powstawały, tak zwane *mniczy*, z kapucyńską monetą (tartym makiem, najezonym kółkami opłatków). Były i inne przysmaki: *madrzyki* ze słodkiej śmietanki, kamedulskie kapłony posypywane chlebem na różnie, kanoniki (kolety z lina), pierogi z kruchego ciasta, nadziane szarpowym szczupakiem, kaszką i grzybami, nędza, (czarna potrawka z łysek, które często niesumienny kucharz zastępował cyrankami) — oto, co stanowiło menu polskiej, wielkopostnej kuchni. — Poszczono

bo też zawzięcie. Wielki tydzień trzeba się było dła-
wić olejem, a ostatnie dni suszyć o plackach na
maku i grzankach do piwa.

Złote to były czasy dla przemysłowców: trzy ro-
dzaje pamiętam wędrownych kramarzy — pierwsze
między nimi miejsce należy, tak zwanym Węgrom.
Byli to Słowacy, w krótkim, granatowym, mocno
szamerowanym węgierskim stroju, kapeluszu o szer-
kich krysach i kapłonich piórkach, z huculskim to-
porkiem w rękę, szli uginając się pod łubianemi pu-
dłami wzdłuż i wszerz kraju, najczęściej po dwóch
dla bezpieczeństwa. Bławaty, perkale, hafty śląskie,
koronki, obrazki, karty, konfitury nawet, słowem wy-
biórki wszystkich fabryk były ich ładugą.

Przyjęcie Węgra wywoływało wszystkich do sieni.
Węgier, klęcząc na jednym kolanie, rozkładał swoje
bogactwa (zachwalał łamaną polszczyzną), łąsił się
do państwa, droczył i igrał z służbą, z węgierska za-
czepiał dziewczęta, namawiając, by kupowały czepki.
Starym babom gwałtem wpychał pięknie malowany
młyn, na który u góry rzucają baby, u dołu wyska-
kujące jako młode dziewczęta i tak pustakując zaw-
sze wynosił w baranym kapciuchu niejedną grosz,
skrzętnie uciulany. Drumla była moim ulubionym
sprawunkiem, kosztowała 6 grajcarów, a zębów ze-
psuła i uszów narozdzierała za tysiące. Żaden kon-
cert towarzystwa muzycznego nie potrafi uczynić ta-
kiej kociej muzyki, jaką ja wtedy moich uciekających
uszcześliwiał słuchaczy.

Bryki sokalskie zajeżdżały znowu z cukrem, kawą,

rumem i bakaljami; w owych czasach i po miastach składów nie było, więc u tych kupców trzeba się było zaopatrzyć. Dawniej kazał szlachcic z Gdańska fasami przywozić korzenie; gdy handel z Gdańskiem ustał, nie łatwo było w porządku utrzymać apteczkę, to sanktuarjum Jejmości, do którego klucze szły pod poduszkę. Czasami już późnym wieczorem wpadał istotny przemytnik z Brodów (znający wszystkie potrzeby każdego domu), na łeb na szyję rzucał do sieni nagotowane paki i odjeżdżał galopem, inną razą wstępując po zapłatę. Był to zwykle jakiś ekonom lub mandatarjusz z nadgranicza, który w potrzebie umiał się i szablą wyrębać z rąk strażników. Ładuga takiego przemytnika była czystą kontrabandą; herbata, tytoń turecki, moskiewskie samowary i miednice, hołodziec i sułtańszczyzny, kijowskie na lipcu konfitury, dulczesy, paski, dywaniki i t. d.

I bryki z winem stawały w przejeździe u bramy; pamiętam raz matka kazała wziąć dwie całe bryki zieleniaka po 30 f. beczka, kilka antałów maślacza wzięto po 50 fl., a były to wina wcale niepodłe. Maślacz wyszedł nawet na stare wino, jakiego butelkę dziś płacą po 15 fl.

Co roku prawie o jednej porze pojawiał się wózek jednokonny Kajetana *Jabłońskiego*, kilkuset dziełami obciążony. Na nim mała, łysa, w granatowej kapocie postać wiecznie zadąsanego księgarza. Przed nią otwierały się wrota dworów, plebanji, ekonomji, bo wtedy w takich nawet miastach, jak Tarnów lub Tarnopol, księgarni nie było. Czem Kamiński dla

polskiej sceny, tem Jabłoński był dla piśmiennictwa.

Warszawska „Wanda“, literackie — „Momus“ humorystyczne, po większych domach „*Journal des Debats*“, po opozycyjnych „*Allgemeine Zeitung*“, po lojalnych „*Österreichischer Beobachter*“ polityczne potrzeby Galicji zaspakajały. We Lwowie wychodziła urzędowa „*Gazeta Lwowska*“, własność Kratera, co niedzieli i czwartku; raz na tydzień przyłączali do niej, Kamiński i Michalewicz, poczciwem sercem a dobrym smakiem i narodowym poczuciem redagowane „*Rozmaitości*“.

Pielgrzym z Dobromila, Spiewy historyczne, (szacowne, chociaż je K. Szafranski nazwał historycznemi rykami), Biblioteka dla dzieci pani de Beumond, Atlas Morneja były jedynemi książkami dla dzieci.

Były czasy, w których nasza pyszałkowata inteligencja oburzała się na francuskie wychowanie dzieci i na ogólne używanie francuskiego języka. Jednakoż jedno i drugie było nam w Galicji puklerzem przed zniemczeniem; francuska emigracja, która wtedy dostarczała guwernerów, była, jeżeli nie głęboko, to wszechstronnie wykształcona do tego pod wrażeniem topora, z pod którego dopiero co uszła, poczciwego serca. Wpajała uczucie honoru, t. j. szlachectwo, ugrzecznienie, czyli sztukę życia i nienawiści do wspólnych wrogów. Wpływ jej był bardzo zbawienny, a ile razy zdarzyło mi się poznać młodych ludzi, wychowanych przez t. zw. polskich dyrektorów, pod każdym względem, szczególnie polskości, przyznać mu-

siałem, że o sto mil zostali za nami, t. zw. „francuzami“.

W towarzystwach naszych, na wsi i w mieście, w domu, gdy siadano do obiadu, za każdym stołem stał lokaj, więc czyż można było innym, jak dla nich niezrozumiałym językiem rozmawiać? Ulicy były też obszczone szpiegami, więc chętnie używano języka francuskiego, dla żydów, niemców i całej inteligencji bardzo mało narodowym duchem przejętej, niezrozumiałego.

*

*

*

W roku 1817. rodzice moi przenosili się na ruskie dobra. Nikt dzisiaj już takiej podróży nie zobaczy, więc — wspomnę o niej. Zaraz po północy ruszyły bryki z kuchnią i służbą. W pokojach, przy świetle, kończył się ostatni wybór i śniadanie, pokojówki uganiały z świecami, lokaje, dusząc kolanami tłumoki, dociągali zębami skórzane pasy — matka nagliła do pośpiechu „bo już świta, a dzień krótki“. Nowakowski, wąsaty, przystojny, były oficer polski, na białym ogierze uwijał się pomiędzy powozy, robiąc ład, karząc służbę, dopatrując upręży, jak tego służba koniuszego wymagała. Przed wchodem stała z zapalonemi latarniami poszóstna karetą dangłowska, uprzężona szóstką siedmnastej miary srokaczy, przed niemi kozak jeszcze z korsuńskiej stojki, czarny Proć, trzymając rozpalony kaganiec, z którego paląca się smoła padała ognistemi kroplami na ziemię. Stangret Marcin

i służba byli w stosowanych kapeluszach, ale długich wilczurach, czerwonym suknem podbitych.

Jeszcze ostatnie wnoszono pakunki, gdy matka dała hasło wyjazdu; naprzód postawiono w nogi apteczkę z lekami (bez której matka ruszyć się nie śmiała), za nią siadła pani, naprzeciw niej wyprawna panna Łukowska, trzymając w ręku koszyk z furmańskimi jajami; gotowano je po nadtluczeniu z wędliną, nikt nigdy tego nie jadł, lecz być musiały od przypadku, tak zwyczaj kazał. Teraz zawieszono ogromny srebrny *repetier* i ojciec z książką w ręku siadał, mieszcząc koło siebie Blancbeka, starego szpica, ja wskakiwałem ostatni z krzyżącym, wyjąłym, skomlącym Kokiem, którego Blancbek grubym warkotem za niepokój gromił, lokaj z trzaskiem zamykał drzwiczki, Nowakowski, jakby jeszcze stał przed szwadronem, rozkazywał przeciągłym głosem „Marsz!“ Czarny Proć pomykał przodem, Marcin rozpuszczał poważnie batog i niby przypadkiem pociągnawszy po zagapionym forysiu, pociągał zwolna dyszłowemi, w kołyskowaty ruch wprowadzoną karekę. Póki noc, póty szła swobodnie drzemka, z pojawieniem się słońca przykra dla mnie wybiła godzina, bo matka kazała koniugować *je suis, tu es*, albo recytować z pamięci bajki Lafontainea. Dziwna to wtedy była metoda uczenia pisowni kosztem wymowy, kazano wymawiać wszystkie litery i odłączać sylaby, trzeba było mówić: *Mai-tre Cor-beau, sur un arbre pen-che.*

W Krośnie stawano, by wysłuchać *matutiny* i odwiedzić księdza Szczepanowskiego, potem już

jednym ciągiem upasano całe dwie mile, by stanąć na noc w Wiśniowej, siedzibie stryja mego, Ksawerego, kanonika kujawskiego.

*

*

*

Typowa to była postać ten mój stryjasek, razem z ojcem w Teresianum wychowany, przez babkę na księdza przeznaczony i tylko parą wsiami wyposażony. Teraz dzierżył dwa z naszych gniazdowych kluczy, Wiśniowski i Wielopolski, gdy ojciec — wbrew woli przezornej matki — po jej zgonie całe rodzeństwo, już raz sownie wyposażone (córki po miljonie złp.), powtórnie do równego przypuścił działu.

Stryj nasz, maleńki, szczupły, małowowny, ale gwałtowny, jak zaklęty duch chodził po obszernym wiśniowskim pałacu, w lat wiele po nim do fundamentów zgorzałym. Ogromne salony, malowane dobrym pędzlem w ponurym stylu, a bardzo ciemnym kolorycie, posadzki po największej części z czarnego dębu, wysokie toczone okna, po których szeleściły liściem konary przeszło trzystuletnich dębów, w nocy ulubione schronienia przeróżnych sów, lelków i nietoperzy. Szum wody, tuż z wysokości bijącej z hukiem o kamienne łoże, którem upływała, by chwilę zatrzymać się w stawku i uchodząc z niego znowu grzmieć po kołach ogrodowego młynka, robiły na mnie wrażenie zaklętego zamku.

W młodzieńczym wieku namiętnie pokochałem tę siedzibę, w której bawiłem miesiącami. W sypialni stryja stał wprawdzie hebanowy modlitewnik z krucyfiksem koralowym, ale na marmurowych kolumnach

spoczywały także popiersia Russa i Woltera, gorzka ironja przedrażnionej wyobraźni. Całe znaczne dochody obracał stryj na zakupno bibliograficznych przepychów, porcelan, numizmatów, sreber, w czem wszystkim prawdziwe zostawił skarby. Raz w roku wyjeżdżał do Krościenka, a i ta podróż świadczyła o jego dziwnem usposobieniu. Pewnego roku wybrał się na imieniny Benjamina (tak mnie nazywał). Dojeżdżającego do bramy spostrzegł kuchcik i zadzwonił po wazę; „Pan starosta widzę nie czeka na mnie, więc mi nie rad — nawracaj!” — Przez kapelana odesłał przywiezione dla mnie wiązania i nieczuły na prośby, wrócił do Wiśniowej.

Sam ksiądz, księży nie lubiał; gorszył się ich nieprzykładnem życiem. Na jakiś obchód kościelny zaprosił księży z całego Strzyżowskiego dekanatu; po uczcie, przy której nastroszeni dworzanie nie skąpili winem, zadzwoniono na nieszpory, niestety, gości uraczeni zabójczą kapką, leżeli bez przytomności po sofach, więc sam odprawił nieszpory, a zapitych, kazawszy złożyć na przygotowane wozy, odesłał do Przeworska na rekolekcje, w owych czasach bardzo ostre, nawet hiszpańską pokutą uprzyjemniane.

Z Wiśniowy wyjeżdżano o świcie jak z domu, marszałek urządzał jaką karczmę na polu, bo do wsi lub miasta zajeżdżano niechętnie. Gdyśmy dojeżdżali na popas, zwykle obiad dochodził. Cztery godziny popasano, matka kończyła ze mną nieszczęśliwe lekcje, ojciec wertował książkę, służba obiadowała, Nowakowski, paląc fajkę, przechadzał się po sieni,

póki ekscytarz ojca nie zadzwonił na ułożonej godzinie. Nocleg mniejwięcej tym samym odbywał się porządkiem; do spania urządzano szynkowną izbę, otwierano piece, by nie zagorzeć, przynoszono sterty słomy, rzucano na nie dywany, kładziono pościel. Rodzice, kłęcząc, odmawiali pacierze. Koko uganiał za kurami, które tłukły szyby ze strachu lub skakał na wrzeszczące bachury, Blancbek przez sen warczał na te rozpusty, w końcu Łukowska robiła porządek, Koko uciekał pod moją kołdrę, Blancbek się uspakajał i wszyscy się kładli całkiem ubrani pod grube kołdry, przywalone futrami, bo wprawdzie swądu nie było, ale zwykle daleko zimniej, niż w stajni.

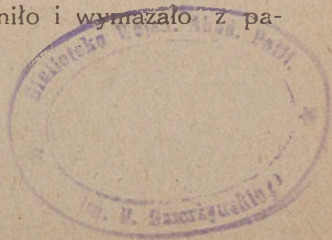
Po pierwszym kukuryku na północ, matka już była na nogach, ojciec perswadował, że noc jeszcze, Blancbek mruczał, Koko się wyciągał, przytulał do mnie i kąsał, gdy kto poduszkę moją ruszył, ja przymeriałem ze snu, chowając głowę pod poduszkę, wszystko napróżno, matka czuwała, na kominie łuczyno, pryskając iskrami, buchało płomieniem, Łukowska przypiekała grzanki, gospodarz w kłapciach rozstawiał świece po izbie, w alkierzu przebudzone płakały bachury, a matka stanowczo wołała: "do kawy",

Moja matka, nadzwyczaj lękliwa w podróży, narażała się znowu samo chcąc na prawdziwe niebezpieczeństwa. Żeby koniecznie na noc dociągnąć do Wojśławia, nadjechaliliśmy dżdżystej, czarnej nocy nad wylaną Wisłokę, droga znikła pod falą, woda wzbierała widocznie, oblewała karety po osie i czasami

po drzwiczkach pluskała. Zwykle zuchwały Marcin z miejsca ruszyć nie śmiał, przy świetle latarni i ka-gańca odczytywała matka cztery ewangelje, napróżno żegnała prawdziwem drzewem krzyża wzburzone ży-wioły, nic pomóc nie chciało. Na szczęście Nowa-kowski poskoczył ku wsi, znalazł jakichś przewodni-ków, przyszło ich kilkunastu, wskoczyło kilku na srokaczy, niechających iść pod prąd wody, żerdziami nawrócili karete i znalazłszy drogę, zaprowadzili do p. Jakubowskich. W koszulach i kaftanikach przyjęła ta poczciwa rodzina nieznajomych po północy przybyłych, ugościła czem mogła i przenocowała. Nie pamiętam, by mi kiedy co tak było do smaku, jak wtedy parę jaj zręcznie z koszyka Łukowskiej zeskamotowanych.

Do państwa Łyczkiewiczów w Kolbuszowej wstąpiliśmy na nocleg, wyjechawszy po opadnięciu Wisłoki z Wojsławia. Tam pierwszy raz widziałem na portrecie Jarosława Tyszkiewicza, poległego pod Borodinem.

Wstępowaliśmy także do Łańcuta. P. Alfred *Po-tocki* dziedziczył go z zapisu marszałkowej Lubomir-skiej. Pałac był powierzchownie podobny do szpi-chlerza, jakie później po nadmorskich widywałem miastach, ale wewnątrz wystawny. Sam pan uprzejmy i gościnnie, mówił dużo z ojcem o księciu Józefie, w którego sztabie adjutantował wraz z bratem, wtedy jeszcze prawdziwe chudopachołki; po Lubo-mirskich i Branickich spadły na nich fortuny, co całkiem ich stanowisko zmieniło i wymazało z pa-mięci hułańskie rabaty.



W końcu dociągnęliśmy do Lwowa, powitałem go oryginalnie, bo usłyszawszy nieznany mi capstrzyk, skoczyłem i puściwszy głowę przez szyby podwójnego okna, byłbym prawdopodobnie spadł między huczące bębny, gdyby mnie Krzyżanowski, kamerdyner ojca, nie był uchwycił za nogi.

ROZDZIAŁ II. ŻYCIE STAREGO LWOWA.

Gdy na placu Marjackim stały domki z ogródkami... — Teatr o dwudziestu dymiących łożówkach. — Do łoży po drabinie! — Zasługa Kamińskiego i pierwsze kroki Fredry, — W kleszczach czarno-żółtej cenzury. — „*Setzen sie siwizna statt ojczyzna!*“ — Magnetyczny łańcuch serc. — Aktorzy. — Stosunki na wszechnicy. — Pod znakiem buczaka. — Trzydniowa wojna z Niemczurami. — Związek „Czarnych braci“. — Tajemnica panny Julci. — Operetkowy Sejm w mundry. — Zawalenie się wieży ratuszowej.

DLA TYCH, co za lat kilkadziesiąt chodzić będą po Lwowie, jednym z najświetniejszych miast trzeciego rzędu, obraz Lwowa z 1817 roku ciekawy być może. Była to wtedy mięścina czterdziestotysięczna, ale brudna i niepokazna, otoczona wokół zwałiskami wałów, u nóg których składano z całego miasta po dołach śmiecie. Śródmieście, zamknięte Krakowską, Ormiańską i Halicką bramą, było mniejwięcej do dzisiejszego podobne, nowe i przebudowane kamienice podniosły go, ale charakteru nie zmieniły. W samym środku Rynku wznosiła się stara wieża od dzisiejszej smuklejsza i kształtniejsza, bezpośrednio otaczał ją czworobok jednopiętrowych, brudnych kamieniczek, krętymi uliczkami poprzerynany. Kilkanaście ubogich sklepów stanowiło całą ozdobę

rynku, sukna zaś i bogate bławaty leżały po składach na Ruskiej ulicy. Około Bernardynów bieliło się kilka kamienic, ulice Pańska, Piekarska, Łyczaków dopiero co zaczynały się budować.

Od Chorążczyzny, recte Sieniawszczyzną zwanej, wypływała bezwstydnie brudna Pełtew, naprzeciwko Hoffmana (Hotel de Russie) skręcała w lewo i sączyła się popod ohydne zwaliska dawnych wałów. Trzy drewniane mostki prowadziły przez nią. Z pomiędzy gruzów, gdzie dziś plac Marjacki, sterczało parę nędznych dworków z ogródkami i żółcił się odwach na moście. Hotel George'a (dawniej rosyjski) stał samotny. Podwałem ciągnęły się dworki i kamieniczki. Parkany okalały stojące sadzawki pełne żab i łysek, aż po Krakowskie; Sykstuska, Jezuicka (Jagiellońska), Szeroka (Kopernika), gdziekolwiek tylko pyszniły się lichymi kamieniczkami o 4 oknach i zapadającymi się dworkami, a duże, niemieckie na rogach napisy świadczyły, kto je do chrztu trzymał. Od Niskiego Zamku (gdzie dziś „Dom Narodny“) zaczynało się czarne miasto; na Krakowskim placu stały stragany Ormian z wyzimą i kawiozem, balje z rybami i kramy z postronkami, owsem i staremi rzemieniami. Całe to miasto było otoczone wsiami (dzisiaj przedmieściami) i jurysdykami, gdzie stały pałacyki, jak po wsiach.

Bezleśna góra białego, szczerzego piasku, ze zwaliskami Wysokiego Zamku, dzisiaj czarujący ogród, wtedy sama do przedpotopowej ruiny podobna, ocieniała z tej strony miasto. Kilka obdartych i zamknię-

tych klasztorów, stara komora (zakład Ossolińskich), spalone Teatyny, w gruzach leżące Karmelity, uzupełniały podobieństwo Lwowa do szturmem zdobytego, spalonego, odbudowywać zaczynającego się miasta, a jeżeli gdzie uda mi się odszukać minionych czasów kamienicę, witam się z nią, jak z kobietą znaną mi w pełni wieku, a teraz zgrzybiałą staruszką, spoglądającą na mnie żałośnie.

Jednakże w tym biednym Lwowie zgromadziło się wszystko, co omijało Warszawę lub Kraków. Towarzystwo było liczne, obyczajnie gładkie i nie zanadto wolne.

*

*

*

Właściwą duszą lwowskiego Towarzystwa, zbiorowiskiem wszystkich koteryj i przedmiotem rozmów wszystkich był teatr. W poniedziałek i piątek, w dniach przedstawień polskich, przed 7-mą wieczór kończyły się wizyty (wtedy zawsze wieczorne) i co żyło jechało na teatr.

Scena polska, z wielkim trudem u nas wskrzeszona przez Bogusławskiego, ograniczona po wyjeździe jego do Warszawy do grona amatorów, tułała się po różnych gmachach. Dawano przedstawienia w pałacu Jabłonowskich, Wronowskich lub w ogrodzie Jezuickim; w lecie grywano pod gołym niebem. Nareszcie pojawił się Jan Nepomucyn Kamiński, wielkiego umysłu, wielkiej pracy, wielkich zasług mąż.

Z najgorętszych, najwięcej obiecujących amatorów zebrawszy szczupłe grono artystów — a była to

po większej części szlachta — wyrobił sobie u rządu pozwolenie, opłacił hojnie u niemieckiego uprzywilejowanego dyrektora niemieckiej sceny dwa dni w tygodniu i szczęśliwie, a z Bogiem, rozpoczął swój długi zawód.

Shczęśliwą miał rękę, a niezrównanym nauczycielem był Kamiński. W lat parę stanął na czele mistrzów, jakich żadna scena polska nie posiadała. Repertuar był bogaty: wszystkie dzieła wielkiej szkoły francuskiej, wszystkie Szylera, niektóre Szekspira lub Calderona, dawano po mistrzowsku: dla motłochu napisał drugą część „Krakowiaków“, uobrazował „Wiśliczanki“ i spolszczył wiele fars, które były prawdziwą rozkoszą galerji, wtedy paradyzem zwanej.

Daleko ważniejsze było stanowisko Kamińskiego, zajęte w zaciętej walce o narodowość. Za jego czasów cenzura była tak ostra, że gdzie tylko przychodziło słowo Ojczyzna, cenzor je wymazywał, a jeżeli było w rymie, proponował inne. Czytałem sam dopisek na manuskrypcie: „*Setzen Sie statt „Ojczyzna“ — siwizna, blizna, oder so was reimendes*“. Aktor deklamował nakazany bezsens z przyciskiem, sypały się oklaski, a cenzor się cieszył, że tak szczęśliwie zapobiegł zgorzeniu. Dar Kamińskiego w dobieraniu scen elektryzujących był niezrównany, często jednym słówkiem, mówiąc np.:

Te pod szyszakiem ubieleła włosy,
Ta pierś poświęcona siwiznie i tobie.

Uśmiechem dwuznacznym, furażerką, przypominającą polski lub francuski mundur, wywoływał burze unie-

sienia, dzisiaj niestety już nie do pojęcia. Sam wielki aktor, więc anatom duszy ludzkiej, znał wszystkie jej tajniki, a drobnostką rozogniał i potęgował uczucia, z którymi się kryć wypadało z obawy więzienia lub kamaszy. Cenzura gryzła palce, widząc skutki, a przyczyn nie odgadując. Łańcuch magnetyczny łączył aktora z widzem. Silne bo też to były magnetyzery, łatwy do zmagnetyzowania przedmiot, gorący, nerwowy, wrażliwy.

Nawet domowe życie aktorów wielkie wzbudzało współczucie, najbogatsze suknie, koronki, blondyny naszych pań, jak to widywałem u siostry, szły na benefisy aktorek. Gdy dziecko której występowało na scenie, witano je jak swoje, obrzucano cukierkami, pomarańczami, prowadzono z łoży do łoży, odwożono do domu. Ale też i aktorki były szacunku godne, żyjąc tylko w atmosferze swego artystycznego świata, nie frymarczyły wdziękami, lub co gorzej jeszcze sercami, ani się kupować pozwalały, ani się oszołomionym żenić z sobą kazały; napływ warszawskich dopiero zmienił wszystko.

Pomnę pewnego wieczora wyszedł Benza, ulubieniec publiczności, na deski w reducie o jednym żołnierzu, ale jakoś brakowało mu werwy i humoru, w tem zaszemrał po zamkniętych miejscach pogłos, że żona jego na śmiertelnej pościeli. „Benza do żony“ zagrzmiało z wszech stron i grać mu nie dano.

Komedje Aleksandra Fredry były pisane dla tych aktorów, oni je sami w myśli autora poczęli, oni zarys działających osób nakreślili, oni dali mu swoje

pojęcia o sztuce i znajomość tajemnic sceny. On w odwet dał ciało ich myślom, w lepszego towarzysztwa odział go szaty i ożywił go swym dowcipem, a to podwójne życie, spłynąwszy się w jedną całość, utworzyło piękne dzieło sztuki. We wszystkich jego komedjach główne role to nie żadne urojone osobistości, ale Benza, Nowakowski, Kamińska dla własnej rozrywki, w dobrym humorze osnutą intrygę, przeprowadzający podług natchnienia. Kto nie widział tej komedji w lwowskim brudnym, ciasnym teatrzyku, na scenie dwudziestoma dymiącymi łożówkami oświetlonej, przez którą się do niektórych łóż wchodziło schodkami drabiniastymi w razie spóźnienia, już po podniesieniu zasłony, ten ich nie widział, widzieć nie będzie, a tem mniej zrozumie. Jak w kalejdoskopie czarowne kwiaty tworzą się z połamanych szkiełek i paciorków, które zwierciadła w cudne splatają desenie, tak i w kalejdoskopie życia drobne, migające wrażenia dusza odzwierciedla i wywija z nich pełen barw i światła, świat myśli i uczucia. W ciężkiej, ciemnej atmosferze, wcale nie poetyczna myśl, a proste słowa, stają się piorunem. Gdy Nowakowski na „Krakowskim weselu“ jako organista wołał:

„Miło tupnąć o tę ziemię
Wszakże to jest ziemia nasza“,

tysiąc rąk konwulsyjnie czem mogło łomotało, tysiąc piersi dyszało w gorączce, tysiąc dusz tę ziemię brało w posiadanie...

Pomnę, jak raz na jakieś uroczyste wystąpienie Kamiński ułożył obraz. Na przodzie sceny stał piękny

husarz, oparty na tarczy, herbem Galicji ozdobionej — cóż lojalniejszego? Ale Słoński, przedstawiający husarza, lamparcią skórą zakrył przypadkiem kawki, a w bengalskim ogniu błysnął biały orzeł na czerwonym polu (herb księstwa Oświęcimskiego). Wstrząsł się teatr, jakby się ziemia zatrzęsła, a komisarz policji Fraporta meldował nazajutrz: „*Ein Zufall, wenn nicht der böse Wille des bewussten Słoński gab Anlass zu einem Skandal, dem erst die Polizei ein Ende machen musste*“. Słoński poszedł na trzy dni do kozy.

Rozpisawszy się o polskiej scenie, myślę, że wyrzadzę przysługę, podając imiona aktorów, pod ręką Kamińskiego, tak wielkie oddających usługi sprawie pocziwej.

Byli tedy: Jan Nepomucyn Kamiński, jako aktor odznaczający się szczególnie w Moljerowskiej komice, Skąpcu, Nabożnisiu etc. Witalis Smochowski (Sonsowski) w Franciszku Moorze, Fiesku, Makbecie, Ryszardzie, we wszystkich czarnych charakterach i salonowych rolach. Benza w Karolu Moor, Thezeuszu, Auguście, Hamlecie, Bajardzie, wszystkich szlacheckich, rycerskich i rozmarzonych rolach. Nowakowski równie w wyższej, jak i płaskiej komice, w katuszowych lub kapotowych rolach, szczególnie w karykaturze. To byli skończeni mistrze, w ich ślady wstępowali Rudkiewicz w karykaturze i ojciec, Błotnicki w czarnych charakterach, Słoński wzorował się na Benzie, Krupicki w niższej komice.

Między kobietami odznaczały się: Kamińska w dra-

matach, czarne, Rutkowska (Starzewska) białe oddająca charakter. Salowa, mistrzyni w karykaturze, Marecka (Rudkiewiczowa) niezrównana w subretkach, zalotniczkach, niewiniątkach, Benzowa, pierwszorzędną artystką w wysokiej tragice (Lady Makbet, Mezopa niezrównana) i we wszystkich szlachetnych, salonowych rolach.

Wogóle wyjąwszy Benzową, kobiety były słabsze od mężczyzn.

Tak wyglądała scena polska we Lwowie w pierwszych dziesiątkach ubiegłego stulecia.

*

*

*

Chociaż w uniwersytecie lwowskim ani śladu nie było burszowstwa, panował w nim ruch dziki, osobliwie na logice, w którą gdym wstąpił, było wpisanych 380 słuchaczy. — Buczackie brusy przychodzili w kapotach, opasanych postronkami. Po pierwszym egzaminie połowa odpadała, ale nim przeróżne żywioły oswoiły się i otarły, w salach i na korytarzach szło gorąco, a gęsto słyszeć się dało, grubemi bucza-kami popierane, „Pal go“! Pamięć trzydniowej wojny, przed niewielu laty szczęśliwie odbytej, dodawała animuszu. — Jakiś „Böhmak“, poróżniony z słuchaczami, przyszedł na prelekcje z kuchennym nożem za cholewą, lecz skoro wstąpił na katedrę, groźne „exeat“ żądało, by zstąpił, a gdy zacięty nie ustępował, zagrzmiało „pal go“ i wyleciał przez okno. W lot zabarykadowano Akademię, lepiej niż potem w 48-ym roku, a pałki i kamieni nie dały przez trzy doby

wojsku przystąpić. — Poemat o tej wojnie każdy student umiał na pamięć, był i drukowany, szkoda, że już całkiem go nie znajdzie.

Od pierwszego dnia zrozumiałem, że bez buczaaka trudno będzie wyrobić sobie znośne stanowisko, więc uzbroiwszy rękę sękatą i tarniową pałąką, głośniejszy i napastliwszy od innych, zdobyłem sobie wkrótce posłuch i kółko popleczników. Parę młynców wystarczyło, byśmy na zawsze byli wolni od napaści.

Chodziłem w trójce z Władziem Rozwadowskim i Ksawerym Skrzyńskim, przez Fredrów z obydwojoma spowinowacony, a czasem w parze z Henrykiem Janką.

Stanąwszy z grubym buczaakiem w rękę na Logice, zebrałem w dni kilka kółko popleczników; najbliżsi z nich byli trzej bracia Wyszkowscy, Krasicki, Łepicki, Poradowski, Potocki, Jasiński i Stadnicki. Rozmarzywszy się piosnkami Körnera, sprzysięgliśmy się w związek „Czarnych braci“, który, jak wszystkie dziecinne, śladu po sobie nie zostawił, tylko miłe i na starość jeszcze rozgrzewające wspomnienia wieczorów razem przegorączkowanych. Wł. Rozwadowski szalone natchnienia wydobywał z fortepianu, jam w pioski wspólne szaty układał, a drudzy odpowiadali chórem:

„Dawaj koń! Dawaj broń!
Hura! hura! hura! ha!

albo znowu:

„Ostróg brzęk, to mi dźwięk,
Hułań Pan, nuże w tan,
Brzdęk, brzdęk, brzdęk.

Po paromiesięcznym pobycie w uniwersytecie, rozszerzył się świat moich przyjaciół. Zwarliśmy się w jeden hufiec i wtedy stało nas 78-miu, jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Było to w r. 1826. Najstarszy Maciej Borowski (Skarbek) miał lat 19-cie, ja najmłodszy 16-cie. Miłoś to było wtedy wyjść na ulicę, wszędzie nasze czapki na prawym uchu, buczaki górą, a czasem i augustówki w powietrzu. „Cześć polskiej ziemi cześć“ było naszym hymnem, a zarazem pierwszym i ostatnim słowem naszej politycznej wiary i wiedzy. Ot, podobno było to i lepiej jak 1830 rok udowodnił, w którym z Halickiej ziemi 15.000 stało w naszych szeregach, prawie $\frac{1}{8}$ całej armii.

Nauki szły jako tako, ale swawolni smarkacze (ja byłem najmłodszy i miałem rok 16-ty) nadto ciekawie wertowaliśmy w księdze życia. Z tego powodu byłem świadkiem smutnego zdarzenia.

Mieliśmy naszą kawiarnię pod Sobieskim na ulicy Krakowskiej, w której lubiało się całemi wieczorami odpoczywać po akademickich trudach. Po między garnuszkami i imbrykami kwitła tam kawiarka Julka, białe ładne, schludne stworzonko, zawsze w białym pod szyję fartuszk, z uśmiechem na ustach, z gotową odpowiedzią na języku i rączką to do przytulnego uściśnienia, to do paca skórą, podług potrzeby i humoru. Kim i skąd była mówić nie

chciała, ale jakoś była między nami jak między swoimi i często nie ona nam, ale my jej usługiwali, coś niedziwkwatego wyrwało się jej czasem. Nieraz mówiła nam wszystkim „Ty“! a sympatyczniejszym „On“. „Niech się qn ustąpi, niech mi poda tackę“. — Otóż pewnego wieczoru, gdy się jak fryga kręciła między nami, wchodzi jakiś oficer. Już oczami szukamy buczaków, gdy patrzemy: Julka stoi jak wryta, blednie, wypuszcza z rąk tackę z filiżankami i pada na podłogę, a ów oficer pochyla się, opiera o bilard i omdlewa. Teraz rozwiązała się zagadka; mniemana Julka była w rzeczywistości Panną Marją X. z zanego i poczciwego szlacheckiego gniazda w Jasielskim, a ten oficer jej bratem. Pietnastoletniem dziewczątkiem, jakiś łotr S. ją ukradł i uwiódł, ojciec, nie mogąc przeprowadzić pójścia zamąż w chwili szalu przymknął klapy parowego kotła i wysadził się z nim w powietrze. Brat wyniósł ją na rękach z kawiarni, zawiózł na wieś i uratował, pomścić nie mógł, bo uwodziciel już nie żył.

*

*

*

Wypełniając, raczej omijając warunki wiedeńskiego traktatu, uszczęśliwiono Galicję Sejmem postulatowym i Stanami. Sejm ten, którego jedynym zadaniem było przyjąć nałożony podatek i zobowiązać się dostawić żądanego rekruta, z wielką odbywał się jednak powagą i wystawą. Cesarz mianował dwóch komisarzy, pierwszego z magnatów, drugiego ze stanu szla-

checkiego, wręczał im postulaty do przedłożenia Sejmowi i otwierał obrady.

Pierwszego sejmu był pierwszym komisarzem Cezar Rzewuski, drugim podobno Dzierzkowski. W przeddzień otwarcia sejmu komisarze w całej paradyje wyjeżdżali za gródeckie rogatki, w chwilę po nich wyjeżdżał Gubernator, by powitać jadących z Wiednia i wszystko razem wracało do miasta. Nazajutrz o 10-tej z rana cały Garnizon stał pod bronią.

Fresnel, Wartensleben, Hiler, otoczeni sztabem, przejeżdżali popod szeregi, milicja formowała szpaler, na dany znak wszystkie muzyki wojskowe grały hymn austriacki, witając wjeżdżających komisarzy. Za nimi jechali: Gubernator, prymas z kruciferem przed końmi, arcybiskupi w szklanych karetach, otoczonych służbą oraz stanowi, wszystko stawało przed salą obrad (w 48 r. spaloną biblioteką uniwersytecką) i tam zebrałszy się całe zgromadzenie, pomostem, okrytym zielonem sukniem, szło na „veni creator“ do fary. — Gdy po tej uroczystości wszyscy w obradnej sali zasiedli, jeden sekretarz od wyższych krzesel komisarzy po niemiecku, drugi po polsku, odczytywali króciutkie postulaty i sesja się kończyła. Po takiej niezbyt uciążliwej pracy puszczano przodem komisarza, prymasa i gubernatora, a tuż za nimi jechali wszyscy złożyć im winne uszanowanie. Obiad u pierwszego komisarza wśród odgłosu band i grzmotu dział z Wronowskiego góry zamykał dzień tak uroczysty. Przez trzy dni powtarzały się obiady i poufne posiedzenia, czwartego z wielką okazałością guber-

nator dziękował stanom za tak wypróbowaną gorliwość i sejm zamykał.

Sejm zostawiał dla załatwienia bieżących spraw, z których najważniejszą były legitymacje szlachty, wydział stanowy. Składali go prezes (pierwszym był Stadnicki), dwóch płatnych, dwóch honorowych deputatów, a po jednym z duchowieństwa i lwowskiego mieszczaństwa.

*

*

*

Będąc z siostrą, która właśnie swój nieszczęśliwy rozwód przeprowadzała we Lwowie, wyszedłem pewnego poobiedzia na rynek, zastałem tam popłoch i usłyszałem wołanie stróża „Wieża się wali“. — Od dni kilku wisiało to niebezpieczeństwo nad miastem, komisja bowiem rządowa, czyniąc jakieś naprawy pod spokojną wieżą, wyciągnęła z pod niej węgielny kamień nakrywający pamiątkowe napisy i medale. Wieża, oburzona taką grabieżą, chmurzyć się i marszczyć zaczęła, lecz zesłana komisja uznała to za babskie fochy, być może patriotyczne wybryki i zaręczyła, że stać jeszcze wieki może (ściśle prawdziwie). Staruszka byłaby przykładnie napastników ukarała, gdyby, czort wie po co, miejski budowniczy Kawka, wmieszawszy się w sprawę z szwabskimi łotrzykami, przylepionym na ścianie arkuszem papieru, który od razu pękać zaczął, nie był swawolników opamiętał. — Musiało się to dziać na chwilkę przed mojem przyjściem na rynek, gdyż ledwo wścignąłem schronić się pod bramę przechodniej kamienicy, wtedy Andreolego, ujrzałem, jak szczyt wieży się kołysze, a sama

pani jakby coś niemiłego z głowy zrzucić chciała, ale jak na poważną matronę przystoi, pochyła czoło i bez żadnych podrygów przysiada jak w menuecie. Ani chwilki nie przyszło nikomu na myśl, że nas robroną nakryć może, tak poważny i przyzwoity był ruch cały. Obłoki gęstego czerwonego pyłu rozścieliły się nad miastem i zrobiła się brudna noc, przez którą po omacku trafiłem do domu. — Dla swoich dziwnie łagodnego usposobienia była nieboszczka; córka stróża miała czas po linie spuścić się na dół, sam stróż do ostatniej chwili wołający przez tubę, trzymając się balkonu, bez szwanku osiadł na gruzach, tylko na kilka dni straciwszy mowę. — Kto pamięta jakie gniazdo kamieniczek tuliło się pod wieżą, temu śmierć 32 ludzi cudem się wyda. — Odę na zgon wieży napisał jakiś bernardyn, z której dwa wiersze pamiętam:

„A kiedy już śmiertelna porwała ją czkawka —
Kona! Kona! zawołał obywatel Kawka“.

ROZDZIAŁ III.

TOWARZYSTWO LWOWSKIE.

Piękności lwowskie. — Hr. Castiglioni, amatorka muzyki. — Prawda o Gertrudzie Komorowskiej. — Salon dziwaczki Poniatowskiej. — „Mój imperator“, karzeł w kontuszu i kozak Pana Jezusa. — Wieczory męskie u Cetnera i Kalinowskiego. — Strzelanie do cygar i talarów. — W znaku szalu. — Lwowski *l'abbé charmant* i jego kłopoty. — Sykstyna z twarzą aktorki Rutkowskiej. — Dziewięć łóż dla prymasa. — Dziwactwa arcybiskupa Stefanowicza. — Na pensji u p. Depan. — Córka kardynała i księżniczka Denasów. — Ks. Lobkowitz gubernatorem. — W domu generała Fresnela.

BYŁEM zanadto młody, bym mógł osądzić owoczesne lwowskie towarzystwo, nieśmiałem chłopięciem przypatrywałem się jego powierzchownemu życiu w domu rodziców, lub siostry, lecz wcześniej żyć i uważać zacząłem i o wielu rzeczach z widzenia mówić mogę.

W lwowskim świecie pięknocią i cnotą górowała nad inne siostra moja, Skarbkowa, po niej szły bratowa jej, Ignacowa z Potockich Skarbkowa, Czosnowska jej siostra (Zosia księcia Józefa) Aleksandrowa Starzeńska (później Nakwaska), z Miączyńskich Konopczyna, z Stadnickich Głogowska, z Komorowskich Gołaszewska i wiele innych. Z obcych, pani Baroni z domu hr. Castiglioni, piękność rzeźbiarska z cudnym głosem, krzewicielka

muzyki, której u nas taki dała popęd, że ulicami szło się jak przez różgi pomiędzy dziwne brzęki fortepianów i fałszywe nuty nieudanych trylów.

Otwartych domów było wiele, między innymi wojewodziny Potockiej. Mężem jej był stary ojczym rodzonej siostry żalösnej pamięci Gertrudce Komorowskiej. Tragedja ta została odegrana w najbliższem sąsiedztwie rodziców mojej żony. Podanie to, często fałszowane, opowiem tak, jak słyssałem. Stary wojewoda, dowiedziawszy się, że syn poślubił jakąś szlachcianeczkę, wydał rozkaz, by ją przystawić do Krystynopola, gdzie na Zamku dwór prowadził. Pod niebytność męża, dworscy kozacy, przebrani to za hajdamaków, to za muzykantów, napadli jej dwór, (jeśli dobrze pamiętam w Nowem Siole). Między tymi ludźmi byli: Wilczek, Kobylański, Kowalczuk, — ten ostatni żył 110 lat w Bełskim, o dwóch kijach chodził po żebrach i opowiadał całe zdarzenie. Ów stary żebrak, chodzący po jałmużnie, gdy go nasyceno i podpojono w piekarni u rodziców mej żony, przyznawał się, że był jednym z tych kozaków i opowiadał wyprawę. Gertrudka byłaby może i ocalała, skrywszy się między graty w alkwie, lecz widząc, że jej łóżko przewracają, wyskoczyła z krzykiem: „idźcie sobie precz łajdaki, bo to moje łóżko, a ja Gertrudka“. Uradowani odkryciem, porwali ją w koszuli, rzucili na sanie i pomknęli; czy, omijając jadących, lękali się jej krzyków i nakryli pościelą, położywszy się na niej udusili, czy popełniwszy jeszcze szkaradniejszą zbrodnię, obawiając się skutków, ślad

zatrzeć chcieli i jedni mówią, że w sadzawce, drudzy aż pod Krystynopolem w Bugu, pod łód puścili — dzisiaj już odgadnąć trudno. Chociaż to podanie, nie tak poetyczne jak treść ślicznej „Maryi“, ma nad nią wyższość, bo prawdziwsze. Rozpoczął się proces, gardłowa groziła sprawa Potockim, więc jej zapobiegli, żeniąc wojewodę z siostrą zamordowanej. Splendory stąd na Komorowskich spadłe były zapłatą za krew biednej Gertrudki.

Salon generałowej moskiewskiej, z Jaksów Małachowskich Poniatowskiej, miał swoją całą odrębną cechę. Inwentarzem siedziały w nim trzy zgrzybiałe respektowe panny, u drzwi przedpokoju stał dziwnie przebrany kozak, półwarjat, tytułujący się kozakiem pana Jezusa. Kilka papug w klatkach, bezlik bonońskich piesków i brzydki karzeł w kontuszu, milcząc czekali na gości. Za pierwszym poruszeniem klamki, wszystko wpadało w wirowy ruch. Kozak witał pokłonami, papugi wrzeszczały, bijąc skrzydłami o klatki, pieski darły się w niebogłoso, karzeł krzyczał, uganiając się za nimi w obronie ciężko zagrożonych łydek wchodzącego, panny wyszczerzały zielono-pomarańczowo-czarne szczątki zębów, zielonawo-ceglastemi wdzięcząc się ustami, słowem i uszy i oczy czem nasycić było. Wnuczka gospodyni, Olimpja, z ślicznego ciała śliczniejszą promieniejąca duszą, świetlana Psyche w osłonkach świetlanej Heby, (w pierwszej młodości usnęła w Dreznie) i najwięcej przestraszonego uspokoić musiała.

Sama Pani, przeszło ośmdziesiątletnia staruszka, wszystkim była rada i wszystkich witała nadgrobowym uśmiechem, który już ma coś dziecięcego w sobie. Kto chciał odrazu chwycić ją za serce, nadmieniał o cesarzu Aleksandrze, wtedy się ożywiała twarz jej, spojrzenie rozjaśniało, a zawsze mając co do opowiedzenia o nim, ile razy z namaszczeniem wymawiała sakramentalne „Mój imperator“, na rękach oparta, podnosiła się z poręczowego krzesła i pochylała czoło, jakby stał przed nią. Przy tem wszystkim był to dom gościnny, w którym się doskonale bawiono co niedzieli.

Mężczyźni zgromadzali się u wojewody Cetnera (po 1848 pisali się Centnery), u pisarza Rzewuskiego, na karty u pocziwego Ignacego Szumlańskiego, księcia Ponińskiego lub Kuropatnickiego, najchętniej zaś u generała Kalinowskiego. Wdowiec po bogatej żonie z gniazda Potockich, którą będąc pułkownikiem wykradł, sam bogaty, żył otoczony kozakami w swej czarnej kamienicy Królewskiej, na rynku, jak na stepie. Dziwnie podobny do księcia Józefa, lubiał wspomnienia wieczorków pod Blachą, a gdy go odwiedzała Bielska, czasami po głowie dziwne mu majaczyły szумы, choć nieszkodliwe i zawsze wesołe. Liczne grono pieczeniarczy nie opuszczało go nigdy, jeździł, chodził, otoczony nimi, jak generał sztabem. Odznaczał się między nimi żartobliwym dowcipem pocziwy Sagatyński (z lewego syn Stanisława Augusta), powierzchownością mocno przypominający wizerunki Ezopa.

— Tęgo strzelasz panie arendarzu — mówi raz Sagatyński wjeżdżając do karczmy, w której wrotach kula w samym czarnem tkwiła — drugi raz ci się tak nie uda!

— Dla czego się tak niema udać — odrzeczże żyd, czapkując, — ja Jgo pana nauczę, to i J. pana będzie trefer!

— Jakże to robisz? — powiedz.

— *Kinderspiel!* niech J. Pan pierwej strzeli, a potem namaluje szwarc.

Major Obuch, chłop srogi, a mąż sławnej Rozengartowej, przy jednym obiedzie przedrwiwał sobie z wątlej budowy Sagatyńskiego.

— Majorze! O kosz szampana, że cię utrzymam na dłoni, jeżeli staniesz!

— Dawaj dłoń! — zawołał podochocony major.

— Stawać! — krzyknął Sagatyński w postawie gladiatora, wyprężając rękę przez otwarte okno drugiego piętra.

Ten Sagatyński umiał czasem dla konceptu i łba nadstawić.

— O zakład wystrzelę ci z ust cygaro! — mówi szalony, a niebezpieczny warjat Kuszal.

— Próbuj!

Cygaro kulą trafione, upadło.

— A teraz stawaj ty!

— A umiesz-że strzelać?

— Nigdy w życiu pistoletu nie trzymałem, ale spróbuję! — odrzeka z zimną krwią Sagatyński. Słowo

się rzekło, z kwaśną miną staje Kuszel, a Sagatyński strzela ponad drzewa.

Takie strzelania, ulubiona zabawa tężyzny, były i u nas w modzie, sam nieraz i strzelałem i stawałem. Z Nereuszem Hoszowskim wystrzeliwaliśmy sobie talara po trzeźwemu, dukata po pijanemu z pomiędzy palców, nieraz w takim szale Bachusowym, tłuczono wszystkie naczynia, gryziono szkło, wybijano szyby, łamano co padło pod rękę, druzgotano drzwi, wrywano posadzkę. Dom stawał pustką, służba uciekała w las, dosiadało koni i nuże w przegon z wiatrami w pole, póki szaleństwo nie wyszumięło. *Tempora mutantur!* Dzisiaj ludzie słabują na bezkrwistość i żywią się pigułkami z żelazem, myśmy go podobno zanadto w krwi mieli. Bóg wie co lepszym. Po nich zostaną miliony, po nas spustoszone ojcowizny. „Złamać, nie ugiąć“ można było naszych.

Prymasował wtedy w Galicji Ankwicz, syn powieszzonego w Warszawie, o którego ostatnich chwilach generał Czyż, komendant eskorty, zawsze opowiadać lubiał. Prymas wychowany był w Wiedniu i wiedeńskim towarzystwie, w którym go zwano *l'Abbé charmant*. Wysoki, przystojny, wypudrowany, wyróżniony, od rana w czarnym fraku i węgierskich butach, musiał być w młodości gorliwym *Coureur des Quelles*, teraz pod infułą spoważniał, dla duchowieństwa ostry, nieprzystępny, dumny, był w domowym życiu dosyć, chociaż nie gorsząco światowy. Generał Kalinowski coś miał do niego na wątróbce i tysiączne

płatał mu figle: wpierał stosunek zabroniony z piękną i jak mówili trudnego przystępu aktorką Rutkowską (Starzewską) i na tem tle niezmordowanie haftował. Pewnego razu, mając go u siebie w licznych towarzystwie na obiedzie, ofiaruje do arcybiskupiej kaplicy obraz Matki Boskiej; wnoszą ogromny, pysznymi firankami zakryty obraz, sam prymas uchyla zasłonę i czem prędzej spuszcza ją, ujrawszy pyszną kopję Sykstyny z dziwnie trafioną uśmiechniętą twarzą Rutkowskiej.

To znowu na benefis niewinnej może trapiicielki kościelnego dostojnika, zjawia się jakiś pan w biednym jej poddaszu, zanim postępuje dworak w liberji Ankwicza i składa na stole sztukę pysznego bławatu.

— Od kogo? — pyta zdziwiona.

— Nie kazano wymieniać nazwiska, ale proszono o 10 łoż za przyłączony rulon dukatów — odpowiada tajemniczy pan.

Beneficjantka, widząc liberję, zdradzone incognito, uśmiechając się, wydała bilety. (Prezenta na benefis aktorek polskich, o których ubóstwie wiadano, bywały im często bez żadnych pretensji posyłane). Abonenci, mający pierwszeństwo do swoich łoż, odesłani z kwitkiem, podnoszą rokosz bezowocny, „zajęte dla prymasa“ odpowiadają tajemniczo, a podczas przedstawienia dziesięć próżnych łoż oczekuje o niczem nie wiedzącego prymasa. Benefisowe przedstawienie polskiej lubionej aktorki było wtedy ważnym zdarzeniem, więc i oburzenie wielkie w pokrzywdzonych domach. Zamknięto drzwi dla prymasa, a otrzeźwiono się do-

piero, dowiedziawszy się, że to sztuczka Kalinowskiego, któremu wszystko uchodziło płazem.

Inaczej działało się w kapitule ormiańskiej. Późniejszy arcybiskup ormiański, Stefanowicz, gdy był kanonikiem, już wtedy siedmdziesiątletni starzec (żył 105 lat) popadał chwilami w szały fanatyczne. Spowiednik wszystkich pań wielkiego świata, rozgorączkowanywał je do śmieszności i dziwnymi okładał pokuty; tej zabraniał chodzić na teatr, tamtej chodzić na wieczory, jeszcze innej przyjmować wizyty, a niejedną obwłócił w włosiennicę lub zakonną kutę. W wielkim poście zamieniał Lwów w pokutną celę, wesołe buduary obwlekały się kirem, z którego wyglądały trupie głowy, wytrzeszczające straszliwe zęby, pałały gromnice, a kobiety z rozpuszczonymi włosami, w szarych worach, obsypane popiołem, leżały krzyżem, zalewając się łzami, gotowe białe ciała oddać pod hiszpańską pokutę (ulubioną zabawę Katarzyny Medycejskiej) byle uratować duszyczki. W końcu przebrało to wszystko miarę, na rozkaz ks. Samuela panie i myć i czesać się przestały, bladły, więdły i histeryczne miewały napady, więc ze strony bezbożnych mężczyzn czynna nastąpiła reakcja, niebogie kryć się z swemi szaleństwami musiały, ale chodziły z zapuchniętymi oczyma, cierpliwie znosząc srogie przesładowanie mężów, którym się małego paluszka nawet dotknąć nie pozwoliły, a gdyby Siemiradzki był wtedy odsłonił pochodnie Nerona, kto wie, czy która nie byłaby gromnicą podpałiła sama swojej sukni (oczywiście w przytomności męża), by żyjącą

zapalać pochodnią. Koniec tych histeryj był niespodziany a smutny. Pewna pani, chcąc swobodnie wypłakać łzy Magdaleny, kazała w Mikołajowie, w obręży urządzić pokutną celę, w której się z jakimś duchownym zamknęła na dłuższe rekolekcje. Na nieszczęście Ascherot czy Lucyfer, bo któż inny? szepnął o tem generałowi Wartensleben, ten gbur, roszczący sobie dziwne prawa do pani, wpadł niespodzianie, znieważył święte schronienie i zbyt po huzarsku zakończywszy rekolekcje, wyniósł rozpaczającą pokutnicę z katakomb, usłał na sankach i jednym galopem cudnej wilczatej, moskiewskiej czwórki odwiózł do Lwowa. Podanie ludowe milczy jakim sposobem duchowny ojciec dostał się do domu. Takie bezbożne wystąpienie mniej lub więcej uprawnionych Dioklecjanów, złamało opór pań. Zimną wodą obmyły zapłakane oczęta, w ubieralniach zawoniał znowu Cooll-Crem i kolońska woda, szatany się uśmiechnęły i znowu wszystko iść zaczęło dawnym grzesznym torem. Sam ks. Stefanowicz był bogobojnym, spokojnym pastorem, a potem świątobliwym biskupem.

*

*

*

Oddając mnie w 16. roku życia do szkoły, matka umieściła mnie w zacnym domu pp. Depan. Sama pani poczciwa, niegdyś słynna z piękności, była z szlachetnego rodu francuskiego, lecz tem niezadowolona, twierdziła, iż jest córką sławnego kardynała Ludwika de Rohan, nieszczęśliwego kochanka Marji Antoniny.

Pan Depan, wyszedłszy z austriackim wojskiem z ojczyzny, odbył kilka kampanij w huzarach, a teraz administrując Krzywczyce, majątek Antyma Nikorowicza, mieszkał w własnej pięknej kamienicy. Żyli dość wystawnie, otoczeni Francuzami, służącymi w wojsku. Komenderujący Fresnel, generał Piret, Picard, Marquis Baquin, l'Abbé Parmentier, A. Moris, Karol Lanckoroński, Stadion, kawaler maltański, generał Steininger z śliczną, a smutnej przyszłości, córką, byli codziennymi gośćmi i wielką korzyść z ich towarzystwa odnieść mogłem, gdyby zbytnia młodość i nie do przewyciężenia nieśmiałość, nie były mnie trzymały na uboczu.

Na dole w tej samej kamienicy, mieszkała p. Budiakin. Księżę de Nassau ślicznem greckiem dzieckiem kupił ją w Odessie. Sama twierdziła, że była jego córką i często na gorąco sprzeczały się z Depanową, każda swego ojca wyżej stawiając, a l'abé Parmentier, zażywając tabaki i otrzepując ziarnka z sutych żabotów, godził zacierzewione zawsze jednym frazesem: „*Mesdames les Rohans c'est a dire les Chabots — Rohans sont d'une sonche souveraine mais les onenges le sont aussi. Vous n'avez pas a Vous plaindre*“. Czasem mięszała się p. Geisruk, córka byłego gubernatora, osobiste godności ojca wynosząc nad inne, wtedy, w lot między sobą pogodzone, wpadały na niemkinią, co bardzo komiczne tworzyło sceny. Otóż owe własne, czy kupione dziecko Denasow, jak go Mickiewicz nazywa, umieścił w Econnen u pani Campon, skąd ładną a bardzo dowcipną

i sprytną miniaturką kobiety wyszła (była bowiem prawie karliczką) przerobiona na czystej wody paryżankę. Wydano ją za Budiakina, politycznego agenta Moskwy we Lwowie. Swawolne i samowolne ptaszę klatki znieść nie mogło, uleciało i wyrobiło sobie rozwód. Jej uroczy i dowcipny szczebiot był wdziękiem salonu p. Depan, gdy znowu w własnym buduarze przyjmowała chętnie wszystkich mężczyzn, szukających jej ślicznych szafirowych oczów i pełnej życia rozmowy. Po 1831 r. Aleksander Cetner ożenił się z nią już blisko pięćdziesięcioletnią kobietą i dla niej postradał spadek po stryju.

Po moim powrocie (rok 1820) zima we Lwowie była bardzo ożywiona. Dotąd stosunek Galicji do Austrii wcale nie był serdecznym. Stary cesarz, chociaż chodził czasami w hułańskiej kurtce, co wcale nie wyglądało po hułańsku, nie miał sympatji. Zabór sreber, redukcja waluty, nadewszystko zdrada na mężu córki popełniona, wszystkie serca od niego odwróciły, a bezustanne nasyłanie czeskiego plugastwa na konsyljarzy i prezesów świadczyło ciągle o złem usposobieniu dla krąju, więc mocno zdziwiło zesłanie ks. Lobkowitza na gubernatora. Że ks. kanclerz nie jest całkiem zadowolony ze skutków wiedeńskich traktatów, było rzeczą wiadomą, że przewiduje katastrofę w Kongresówce, prawdopodobną, że wielka część szlachty koronę Bolesławów chętnie by widziała na skroniach którego z synów arc. Karola, nie tajną, lecz że tak nagle Gaisruków i Hauerów, czystej wody biurokratów i szlachtożerców, zastąpi

czerwonej krwi szlachcic — całkiem niespodzianą. Karmazyn rodem, wysokiego umysłu i serca, ujmująco gościnny, otwarty, lubiący polskie obyczaje, sympatyzujący z szlachtą, pomiatający biurokracją, przyznający się do polskich Popielów w polskim, jeszcze 63 rokiem nie skalanym stroju występujący na sejmach, był różczką oliwną, rzuconą przygnębionej prowincji. Sama księżna, młodziuchna, nieśmiała, uroczą, choć Niemka (ks. Schwartzenberg) z polską uprzejmością robiła honory zawsze otwartych salonów. Szlachta też garnęła się tłumnie; wieczory, maskarady, sankowania z pochodniami, następowały jedno po drugim, tak, że w końcu wszystkim się zdawało, że mają polskiego szlachcica wojewodą, równie z nami nienawidzącego Niemców, a mszczącego się za nas na biurokratach.

Niemniej uroczym był dom p. Fresnelów. Krzywiliśmy się wtedy jeszcze na Francuzów, służących w cesarskim wojsku, bośmy na własnej skórze nie poczuli do jakiej wściekizny doprowadzić może panowanie ohydnej demokracji, starszej siostry biurokracji. Ohydy rewolucji uszlachetniał zapal wojsk, bohaterstwo wodzów, huk dział zagłuszał wrzaski komuny, a płaszcz z pod Lodi i Jeny zakrywał krwawe błoto, temi wspomnieniami i my żyliśmy. Więc Fresnel, choć Francuz, nie używał miru, dopiero gdy zaślubił p. Strzembosz, by ją zasłonić przed ojcem, jako siedmziesięcioletni starzec, zbliżył polski świat do siebie. Wysokiego rodu, a pełen jeszcze żywych tradycji Wersalu, umiał dom swój uczynić bardzo

przyjemnym, do czego biała, wdzięczna gosposia, niemało wdzięku dodawała. I na polskich nie brakowało ich salonach, więc żyło się, nie skąpiąc życia, gdy dwie równie piękne i wdzięczne, a w niczem niepodobne do siebie kobiety, ks. Lobkowitz i p. Fresnel bengalskim ogniem rozjaśniały całe towarzystwo.

ROZDZIAŁ IV.

UPADEK GOSPODARSTWA I ZMIERZCH SZLACHTY.

Marnowanie ziemi. — Gorzelnie i folwarki. — Wieś zabawką i rezydencją. — Fatalne metody. — Zabiegliwość i majątki Ormian. — Dzierżawy. — Brak gotówki i długi. — Idylliczna taniłość życia.

MOŻE KIEDY gospodarz jaki, z nudów plądrując po strychu, znajdzie te świstki, niech i dla niego coś będzie, a może, gdy pozna naszą nędzę, dola jego lepszą mu się wyda.

Onego czasu, jak halicka nasza Ojczyzna duża, wszędzie było trzech-polowe gospodarstwo, a wielu uskarżało się, że za nadto mają ziemi; bo też prawdę mówiąc, ziemia nic nie czyniła i była tylko warsztatem, na którym marnowano pańszczyznę. Ugor już nie starczył, po nim rodziła się tylko stokłosa, tytułowana żytem, i dzikun, przez łatwowieczne konie, jako owies pożywany. Obornik palił się, nie wywieziony, a ziemia jałowiała swobodnie. Za mojej dopiero pamięci przyszły owce, chów bydła, płodozmian i gorzelnie. Owce czyniły mało, byłem się bawiono. Płodozmian źle pojęty, był zgubną teorią, gorzelnie bankructwem, a co gorsza, tępiły odwieczne lasy.

Pamiętam dobrze, jak na gazonach siano koni-
czyne do podoju, kartofle sadzono w ogrodzie za
kuchnią.

Pamiętam gorzelnie, zwane wtedy winiarniami.
Ciemne, niskie pod strzechą budynki, do których
brnęło się pomiędzy stadami kaczek i świń, sadzaw-
kami gnijącej brachy. W kadziarni stały półtora kor-
cowe kadeszki; w nich parobcy rozbijali wiosłami
znoszone w cebrach kartofle gotowane. Gdy już za-
cier czosnkiem woniał, to jest potem parobka, żyd
gorzelnik z powagą ręką badał ciepło, (bo ciepło-
mierzów nie lubiano), sypano sól, poddawano droz-
dze i na 5 dni nakrywszy rogożą, zostawiano, by
robota przywdziała kożuch, opadła na dno i wystąpił
„klar“. Ten pierwszy szedł osobno na kocioł, po nim
gąszcz. Za pierwszym odpędem zyskiwano wódkę
16-tu gradusową; tę później przepuszczano na alem-
biku, a prądem grubości cienkiego szpagatu szła szu-
mowa. Też 3 kwarty z korca było na całą okolicę
sławnym wypadkiem. Skarbek, który pierwszy w Ga-
licyi wysadził 1.000 kg. kartofli, (czemu mało kto
wierzył) przyjechał urządzić nam stosowniejszą go-
rzelnię. Ci, co się pierwsi rzucili do prawdziwych go-
rzelni, osiągnęli znaczne korzyści, kiedy zaś każda
wioska musiała dla honoru mieć gorzelnię, wyrabiano
taką masę wódki, że w roku 1839 czy 1840, skarb
komarzański Lanckorońskiego sprzedał z odstawą do
Lwowa 100.000 garncy okowity po 12 gr. Gorzelnia
stała się zabójczym sposobem marnowania lasu, kar-
tofli, robocizny i inwentarza.

Za gospodarstwa matki, od 1820—1830 roku, gdy inne dobra prawie nic nie czyniły, Lubień płynął złotem; nędzne budynki i łazienki przy źródle rzucały 4.000 dukatów, browar wyrabiał 3.000 beczek piwa; sprzedano go po 16 fl., gdy korzec jęczmienia kosztował 2 fl., a na beczkę piwa brano 3/4 korca. Za woły brano srebrem, ile zapłacono walutą. Każdej niedzieli pisarze, browarny i gorzelniany, w lecie łazienkowy, wchodzili do kasy z pakami banknotów, prowadząc parobków, dźwigających wory srebra i miedzi. Matka była oszczędną, komisarz nieskazitelny, więc wkrótce urość musiały kapitały, ale i wtedy szczęścia w naszej rodzinie nie było. O granicę sprzedawano starostwa za bezcen. Gródecczyzna poszła za 1/10 wartości. Kriegshaber, Chudec i Skulimowski spłacili dobra Szczerzeckie sągami drzewa, które zastali narąbane w lesie. Bracia stawali na każdej licytacji, lecz wracali z niczem, choć matka oba te starostwa zakupić chciała, bo woleli wziąć w spadku kapitały, niż dobra, na których się nie znali. Któż wtedy znał się na nich?

Nad szacunkiem głowy sobie nie łamano, wartość robocizny podług fasji mnożono przez 20 i to dawało cenę dóbr, ile i jakiej ziemi nie pytano wcale. Łąk nie lubiano, — bo cóż robić z sianem? Stawów — bo to wieczna dłubanina koło szluz i grobli, lasów — bo chłopci kradną, nawet na suche dochody krzywiono się czasem, słowem wieś uważano jak przed wiekami za zabawkę lub gniazdo, chroń Panie, za narzędzie produkcji. Za Winnikami dla na-

szych zaczynało się Podole, mieć tam majątek znaczyło to samo, co go mieć nad Amurem. Już po roku 1848 bardzo racjonalny gospodarz, Ludwik Skrzyński, sprzedał w posagu wzięty Kotuzów za 60.000 fl., a za ten sam majątek w lat cztery zapłacono 170.000 fl. Za całą Skafatczyznę, Poniatowscy żądali 40.000 dukatów, Turkuł dać nie chciał tylko 36.000. W 1849 Lanckoroński sprzedał Strusów, to jest 12.000 morgów obszaru, zagospodarowanego, zabudowanego wzorowo z urzędzoną do najmniejszych drobnostek pańską siedzibą, za 450.000 fl., to jest za czwartą część prawdziwej już wtedy wartości.

W owych to latach urosły dziś szanowane, bo poczciwe ormiańskie rodziny, trzeźwo sądząc o rzeczach, a prawdziwą wartość dóbr upatrując w ziemi, szczególnie sianach i paszach. Sunąc się ku nam od Bukowiny i Pokucia, w krótkim czasie nabyli najpiękniejsze majątki za bezcen. Niestety, gdy nie ma prawidła bez wyjątku, nie zawsze godziwymi sposobami. Pamiętam ja dobrze ich antenatów, jak siedzieli za ladami po składach sukien, win, bakalij, jak w zatłuszczonych kozuchach, koło starego teatru, często wali przechodni weyzem lub kawiozem, jak z kawałem koziny i bryłą tłuszczu w torbie, ciągnęli za stardami wołów do Ołomuńca. Pamiętam to dobrze, szanuję ich wytrwałość i wysoko ich cenię, bo się czuli zawsze, dziećmi przybranej ojczyzny i nie wyparli się jej nigdy.

*

*

*

Do całkowitego upadku szlachty, którego niefortunnym byłem świadkiem, prócz ciągłych politycznych zawichrzeń, które być może miljardy roztrwoniły, przyczyniło się głównie wychowanie kilku pokoleń naszych. Gdy wtedy pod klątwą niewolno było wstępować do służby politycznej, a nawet do wojska, tylko hreczkosiejami wolno nam było zostać, a do tego zawodu i pierwszych rudimentów nam nie dano, mogę zapewnić, iż wraz ze mną połowa moich współczesnych dopiero po objęciu gospodarstwa dowiedziała się o różnicy między oziminą a jarzyną. Większe majątki rozbiła palestra, lub rozkradli oficjaliści, mniejsze poszły z dymem, nie, jak często twierdzą, na zbytki, lecz po prostu na odziedziczone i konieczne długi, którym niedoświadczeni sprostać nie mogli. Gdzie było rodzeństwo, tam zwykle najrzutniejszy spłacał schedy, oczywiście zaciągając długi. Obciążony nad siły, zostawał wprawdzie przy gnieździe, lecz, jeżeli nie znalazł posażnej żony (co się nie często trafiało), ginął do lat kilku. Drudzy szli na dzierżawy z małym kapitałem i bez żadnej znajomości gospodarstwa.

Sposób brania dzierżawy był wszędzie jednakowy, wyjąwszy po wielkich skarbach, gdzie szły z ojca na syna. Właściciel, nie mogąc sobie dać rady, ogłaszał chęć wydzierżawienia, zjawiali się pretendenci — najmniej rozważny zadzierżawiał. Na pierwszą ratę, przed podpisem ugody, wypuszczał za bezcen „suche dochody“, biorąc za lat parę pieniądze, sprzedawał w trawie zboże i wódkę lub potaż, mając nadzieję,

że do jesieni wystawi gorzelnię, napali popiołu i potażu narobi. Na drugą zaciągał lichwę, trzeciej prosto nie płacił. Zwolowano sąd polubowny, z wspólnych przyjaciół złożony; ten sądził ani podług prawa, ani podług sumienia, ale podług uczucia. A sąd i dla najuczciwszych niełatwy: zasądzą dzierżawcę — wyleci bez kawałka chleba, zasądzą dziedzica — jeszcze dychać może, więc podtrzymany dzierżawca szedł bez grosza doświadczać szczęścia na innej dzierżawie. Właściciel zostawał z wyczerpanemi naprzód dochodami, zamiast pszenicą, owsem obsianemi łanami, szczątkami budynków, skórami z inwentarza, starannie w pustym rozwieszonemi spichlerzu, jak po napadzie złotej hordy. W tym położeniu, oczywiście, sam popadał w ręce lichwiarzy. Ci pilnie przygotowywali go dla kapitalistów, a gdy już był rozbity, jeden z nich zacierał ręce z uśmiechem, mówiąc „już gotów“ i zabierał za co bądź majątek. Tą drogą poszło szlacheckich imion setkami.

O długach mówiąc, chcę dać przestrozę rodzicom przyszłych pokoleń. Osadzić młodych ludzi w mieście, kazać im bywać w towarzystwie, do którego z rodu i położenia należą, a nie wyposażyć ich tak, by wymaganiom swego położenia sprostać mogli, jest to strącić ich z tego stanowiska i wpoić w nich na całe życie nieśmiałość, pogrążającą ich swawolnie w długi. Byliśmy wszyscy dziećmi mniej-więcej zamożnych rodzin, wszyscy należący do lepszego towarzystwa, a goli jak tureccy święci. Ja miałem wprawdzie mieszkanie i stół, ale na wszystkie inne potrzeby 10 fl.

miesięcznie, co ledwie na rękawiczki wystarczyć mogło. Zmuszony bywać po wizytach i wieczorach, musiałem mimo najlepszych chęci chować się po kątach, by nie odkryć niedostatków ubiorów, lub robić długi. Miałem strzelbę, zegarek i dykcjonarz Lindego — te trzy skarby wykupywały się kolejno, aż pewnego dnia zagrzęzły wszystkie razem. Zmuszony piechotą chodzić na wieczory, często w podmalowanych atramentem skarpetkach, by mniej raziły dziury w butach, zaciągnąłem 50 fl. długu. Matka zapłacić kazała, poleciwszy komisarzowi, by z miesięcznych 10 fl. potrącał. Widziałem dobrobyt w domu, wiedziałem, że ojciec przekazał na moje utrzymanie 3.000 fl. rocznie, a często na paczkę chłopskiego tytoniu nie było grajcara. Stan taki musiał przyprowadzić rozjątrzenie, nieśmiałość i pełnego życia chłopca zamienić w dzikuna i odludka — ale jakże skromne wtedy były moje żądania, małe moje potrzeby? Pomnę raz pani Trzecieska z Dynowa z córką, śliczną pocziwą Kasią, znajomą od dzieciństwa, do której wielką czułem słabość, wstąpiła do matki na objad, a ja musiałem udać słabego, na żaden sposób w mojem ubraniu pokazać się nie mogąc.

Dzisiaj dom prowadzony z wszechstronną gościnnością, ledwo dla największego pana byłby możliwym, wtedy o takich wydatkach i mówić nie było warto: Czajkowski, niespożytecznej uczciwości komisarz, twierdził, że 1.500 korcy owsa dokupuje dla gościnnych koni, ale owies był po 30 gr., mięsa dostarczali własni żydkowie po 3 g. funt, drób szedł z danin, ryba

z jezior i sadzawek, przed marszałkiem stali co dnia chłopci z rakami i pękami błotnego ptactwa: para kszyków 6, dubeltów 9, cyranek 12—15 kosztowała grajcarów, bo to wszystko było na dworskich błotach kradzione. Taka zaś tego ptactwa była ilość, że po każdym wylewie po kilka sztuk spuszczałem jedynym strzałem; raz w trzech przynieśliśmy 18 par dubeltów z błota.

Służba prawie nic nie kosztowała; 4 fl. miesięcznie i liberja, było płacą najporządniejszego lokaja, 10 fl. kamerdynera, 15 fl. marszałka lub koniuszego. Do tego posada lokaja, kuchty, stróża była obsadzoną, prócz funkcjonującego dostojnika, bezpłatnym aspirantem, czekającym cierpliwie na awans, zadawalniamym się czeladnim stołem i piwem (podpiwkim), którego szło dla ludzi 3 beczki tygodniowo. Mięso leżało w otwartej komorze. Kto był głodny, krajał sobie kawał, przypiekał na węglach i pożywał, gdy do tego aspiranci mieli przywilej chodzenia bez butów, przyznać trzeba, iż ci dobrowolni, przyszli dworscy, nie byli do pożałowania. Od służby byli nietylko wolni, ale odpędzani. Wytłukać w lot prętami chrząszcze, łapać żabki do stołu, wrywać z dachów gąty na strzały i uganiać za księżniczkami od krów lub balji — było ich całem zatrudnieniem, ale za to ostatnie złapani na gorącym uczynku w marszałkowskiej sionce jojkali w niebogłosy.

ROZDZIAŁ V.

O HARABURDACH I DZIWAKACH.

Kozacy dworscy w dawnych czasach. — Dwa typy zabijaków. — Ignacy Kalinowski, Stanisław Pieniążek. — Jan Poniniński i jego sprawa z O. Hordyńskim. — O Wojciechu Mierze i Tomaszu Strzemboszu. — „Pan Panu ten pomnik wystawił..“

NAJŻYWOTNIEJSZĄ może pamiątką dawnej polskiej pańskości byli za moich lat młodych kozacy dworscy. Wielcy panowie trzymali ich po kilkudziesięciu, mniejsi po kilkunastu; u nas w skarbcu widziałem jeszcze kotły i buńczuki kozackie z Korsunia. Ale i szlachcic każdy miał choć jednego, zwał się Trypka, Mogiła, Pohrom i wraz z legawcem, faktorem i antybyą stanowiął jakoby uzupełnienie młodego szlachcica, a raczej jego władzę wykonawczą. Pensji żadnej kozak taki nie miał, żołd pobierał w potrzebie z leżącej na stole pańskiej sakiewki, do której wstęp miał, jeżeli nie uprawniony, to przynajmniej tolerowany. Zato w karczmie kozak rej wodził, mołodyce bawił, parobków giał przez kolana, bo siłaczem być musiał, dziewczkom plótl smalone duby i żenić się na „jej Boh“ obiecywał, (na razie chrzciny sute wyprawując). Kozak na służbę przed północą nie przychodził i sy-

piał w sieniach z chartami. Gdy pan krzyknął „wyrzucić żyda“! — już dudniło po schodach, nim wymówił: „a no w mordę“ — już puchła, więc i ustawa przeciw lichwie zbyteczną była.

Wówczas jeszcze tu i ówdzie szorstkie przebijaly obyczaje, które wpływ Francuzów dopiero co łagodzić zaczynał, a butę szlachecką zastępowało zwolna uczucie honoru. Przejście to odbywało się już za moich młodych lat, a widoczne też było w dwóch rodzajach haraburdów. Taki zabijaka dawnego autamentu jechał zawsze na wysoko wysłanem siedzeniu, trochę podcięty, jak sum pod wąsem, grubemi czerwonymi łapami oparty o kolana. Na koźle kozak z pletnią za pasem, obok siedzenia dubeltówka i pałasz, w ręku samorodna antyba z bursztynem. Za należną mu część królestwa niebieskiego nie byłby ustąpił ani na cal z drogi, po rogatkach beszał żydów, po zajazdach burmistrzował, w mieście, na ulicy, przechodni łokciami rozpierał, a z podobnymi sobie na całe gardło się nawoływał, przy objedzie stanowczo a nie cicho objawiał swe zdanie o wszystkim i wszystkich, a jako weredyk (proszony czy nie) jednym słodko, drugim cierpko bryzgał w oczy tak zwaną prawdą.

— „Jak cię kocham i poważam zrobiłeś głupstwo“, było zwykle początkiem allokucji, gdy jednak trafił na swego, łagodniał, zaciemniał oblicze bałwanami dymu z fajki, brał ogon pod siebie i czasami milczkiem z miasta się wynosił. Wyzwany, zwoływał sądy honorowe, czy aby sobie nie uchybi, stając przeciwni-

kowi, „w każdej chwili i na armaty, byle nie z tym egomością“, a jeżeli w końcu nie udało się sprawy; załatwić „po obywatelsku“, to jest węgrzynem, odwoływał i przeproszał.

j Był jeszcze i występniejszy rodzaj takich dzikunów takie brusy modelowały się na starostę kaniowskiego, Ignacy Kalinowski kazał żywcem zakopać księdza, gdy mu nie chciał małpy chować na cmentarzu; była to niby facecja, ale gdy księdza do połowy zasypanego odkopano, nieborak już był warjatem. Stanisław Pieniążek niewierną kochankę w spichlerzu, całkiem gołą, kazał obsypać mrowiskiem. Inny facecjonat związanego żyda w tak nieprzyzwoitem miejscu obłożył wizykatorjami, że przez tydzień usiąść nie chciał. Już wtedy jednak tacy panowie byli wyrzutkami, nikt im ręki nie podawał i odsądzeni od ognia i wody, jak wściekłe wilki, samotnie błądzili po świecie.

Więcej francuskim wpływem lub wojskową służbą ogłodzone chwaty, żyły podaniami tak zwanej tężyzny księcia Józefa. Z nich przebijało zwykle coś hułańskiego, eleganckiego, tajemniczego coś, co świadczyło, że nie na jednym polu szukali tryumfów i słowo szablą poprzeć gotowi. Narodowość w nich górowała „Jakiem Polak“, „Jakiem szlachcic“, „*Verbum nobile*“, było ich zwykłym zakłębieniem. Wątpić o nim, lub tylko uśmiechem zdradzić niewiarę, było to samo, co na wiatr puścić augustówki. Obelga „*Je vous touche*“, wymówiona przy położeniu ręki na ramieniu przeciwnika, zastępywała policzek. Z nimi żyć było

bezpiecznie, a i pociupać czasem miło. „No, a teraz daj zdrową łapę i kochaj mnie, jak ja ciebie“ — takie powiedzenie zwykle po pierwszej „manszetcie“ kończyło bratnie rozterki. Zawsze trzeźwi, z obawy by się przy kieliszku nie zbłąznić, sami nie wywoływali starcia, „*qui s'y frote s'y bique*“ było ich godłem, często na pieczętkach używanem.

W moich czasach żyło jeszcze kilku takich prawdziwych szlachciców. Typem był Jan Poniniński. Dwóch Niemców zastrzelił, ilu porąbał, zapomniałem, ale wiem, że nie skapo. Piękny licem, rosły szlachetną postawą, gładkiem obejściem, przypominał d'Artagnana, a często lowelasa. Śmierć jego została zagadką. Jedni twierdzili, że odebrał sobie życie z żalu po kochance, p. S . . ., która nie mogąc wyjść za niego, zażyła truciznę, drudzy mówili, że wysłany przed 1830 do Lobkowitza nadto się rozgadał i z lęku więzienia popełnił samobójstwo. Inni, podług mnie najbliżsi prawdy, domyślali się, że w szale wyzwawszy się z najlepszym przyjacielem Onufrym Hordyńskim, po wyciągnięciu „czarnego losu“, na trzeci dzień po ślubie poderznął sobie szyję. Onufry, który na próżno pragnął rzecz całą w żart obrócić, milczał do śmierci i przed najbliższymi, więc tajemnica została między poległym a Bogiem. Po wielu latach przyszedłem do przekonania, że wyciągnął zły los w pojedynku z Adamem Hoszowskim, który mu dopiero po ślubie rozkaz spełnienia czynu przesłał. Onufry był tylko jednym świadkiem, drugim zaś Ne-reusz Hoszowski, stryjeczny Adama.

Rozpaplawszy się o pojedynkach, o jednym wspomnę jeszcze. Albert Mier, niewidziana gorączka i ostrzelany, jak należy, wyzwał się z jakąś zawadką, niezłym, ale napastliwym szlachcicem na pistolety. Mier miał zwyczaj przed każdym pojedynkiem kłaść się do łóżka i krew chłodzić limoniadą. Szlachcic, dowiedziawszy się o tem — a był to chłop barczysty i siłacz nie lada — wpada do sypialni szczupłego przeciwnika, mota go w kołdrę, a nie zważając na krzyki i kuksy, wynosi na środek ulicy i rzuca na kupę śniegu, by się lepiej ochłodził. Ten Mier, poróżniony z rodziną, oddał śliczny klucz leżański Alfredowi Potockiemu za dożywotnią rentę. Działo się to 1830—31 r., a gdy Mier w kontumacji umarł na cholere, po pierwszej rencie klucz objął hr. Potocki. Nie pierwszy to dar ślepej fortuny potoczczyznie, że wspomnimy o ogromnych dobrach Pieleckich, Pieniawskich, Lubomirskich. *Felix Austria nube*. Szczęśliwi Potoccy w spadkach.

Gdy o dziwakach i haraburdach mowa, chyba pierwsze miejsce należy się Tomaszowi Strzembowski. Był to człowiek pięknego rodu i mienia, pan na licznych włościach, waleczny oficer za ks. Józefa; wcale szlachetnego usposobienia, ale podlegał napadom furji, w których całkowicie przytomność tracił. Zły duch taką obdarzył go siłą i budową, że zetknięcie się z nim w takich chwilach śmiertelnem się stawać musiało. Kilku służących, dwóch synów, których kochał, skonało w jego ręku, ulubiona córka wskutek szarpnięcia za warkocz, umarła, młodsza,

już ostatnie dziecko, uciekła piechotą z Lackiego do Sakramentek. Generał austriacki w Galicji, Fresnel, przeszło siedmdziesięcioletni starzec, ożenił się z nią, by ją zasłonić przed ojcem. Lat kilka była ozdobą Lwowa, po śmierci męża poszła drugi raz za mąż za drugiego starca, do tego naboźnisia Ożarowskiego i została zakrystjanką.

Pomimo, iż tylokrotne zbrodnie tylko kasie pana Tomasza czuć się dawały, sumienie praw się swoich nie wyrzekło. Starość jego była pełna zgrozy, ogrom ciała wstawać mu z łóżka nie pozwalał, różnica między dniem i nocą, gdy ciągle drzymał, znikła. Po przebudzeniu się ze strasznych snów, zwoływał ludzi, bo sam chwilki uleżeć nie mógł; przy objedzie po każdej potrawie zasypiał i spał parę godzin czasem, gdy obiad czekał i biedna żona (druga, bo pierwsza go porzuciła), siedzieć przy stole musiała — okropneż to rzeczy być musiały.

Wojewoda pomorski, Łoś, dziedzic Narola, człowiek wspaniałej postawy, wsławił się również tysiączeni dziwactwami. Nadjechali raz karocą nad wezbraną rzekę Tane w, gdy stangret zatrzymał konie.

— A co tam *nequam*?

— Jaśnie panie, rzeka wylała, a woda głęboka, karetą spłynie, będzie na chłopa!

— Jedź stupidusie, kiedy na chłopa, to senatorowi po kolana! — krzyknął zirytowany śmiałością Tanwi. Z największem niebezpieczeństwem płynące konie płynącą przepawiły karetę. Ile zaś *oremusów* wojewoda odśpiewał, nie mówią dzieje, ale na tem

miejscu wystawić kazał dziękczynną figurę z napisem :

„Jaką przysługę na rzece Tanwi
Pan Panu oddał? — Pan wie.
A że Pan Pana z nieszczęścia wybawił,
Za to Pan Panu figurę wystawił“.

Ten sam Łoś, przeszedłszy na Niemca, został wielkim kuchmistrem u Dworu, a dyplom wojewody królowi odesłał; wówczas biskup przemyski powitał wracającego dwuwierszem :

„Żegnaliśmy wojewodę Pomorskiego,
Witamy dzisiaj kucharza dworskiego“.

Pomimo zniemczenia udała mu się odpowiedź łacińska cesarzowi Józefowi II, który go pytał, czy jest bratem innego Łosia.

— *Est-ne ile frater germanus Do: vestrae?*

— *Deus avertat! Polonus* — wypalił, robiąc znak krzyża świętego.

ROZDZIAŁ VI.

FREDROWIE.

Pan Jacek. — Młodość Aleksandra i jego usposobienie. — „Pan Rewera“. — Śmierć poety. — Rodzeństwo Aleksandra. — „Harald“ Maksymiljana. — Seweryn pod Peterswaldem. — Henryk i Edward. — Aleksander, syn poety.

OJCIEC Aleksandra, pan Jacek, pochodził z dobrej, ale podupadłej rodziny, dziedziczył tylko lichą wioskę koło Liska, Cisnę, a chcąc się dorobić, długo chodził dzierżawami, nareszcie zaarendował część Jarosławskiego hrabstwa, a odziedziczywszy po Urbańskich Beńkową Wiśnię, uzyskał lepsze położenie w świecie. Żona jego była Dębińska z Nienadowy. Karmazynowej krwi musiała to być kobieta, gdy pięciu synów służyło wojskowo.

Nie słyszałem nigdy, by Aleksander chodził do szkół, więc wychowanie czysto domowe odebrać musiał. Mając lat szesnaście, wstąpił do wojska r. 1809. Podczas odwrotu z Moskwy, zakopał chorego i zamarzającego ordynans Jędrzej w śniegu, a wynalazłszy gdzieś podwodę, przywiózł do Wilna, gdzie w szpitalu dostał się Aleksander do niewoli. Przez jakieś panie wykradziony, przebrany za chłopca, do-

stał się do Galicji, wypocząwszy wrócił do służby i robił kampanję 1813—14 roku.

Wróciwszy do domu, dostał od ojca rocznego wyznaczenia 100 dukatów. Z tej pensji objął w dzierżawę maleńki folwarczek, należący do Beńkowej Wiśni, Jadźwingi. Jak mawiać lubiał, biedował na tej dzierżawce, mając na śniadanie kieliszek „kopciuchy“, na obiad drugi, a na kolacji trzeci z przyjacielem i sługą Jędrzejem, któremu za uratowane życie odwdziczył się odą:

„Jędrzeju, sługo wierny, przyjacielu rzadki,
Ty, co ze mną wojenne dzieliłeś wypadki,
I coś w całej zdobyczy z moskiewskich płomieni
Uniósł szcztokę, dwie pończochy i kilka grzebieni“.

W Jadźwingach pisał Aleksander wiele liryków w sposobie Węgierskiego lub Godebskiego, przepol-szczał osławioną, erotyczną tragedję „Abate Casti“ i w dosadniejsze barwy ubrał sztukę kochania. Żył jak mógł, polując zawzięcie z sąsiadami, szczególnie najbliższym, bratem moim Kazimierzem, pierwszym na ten czas w Galicji myśliwym. Wspomnienia z owych czasów dały mu myśl do poemaciku „Drapieżny“.

Podrostkiem widywałem Fredrę często u brata w kniei i na siwym podjezdku w zielonej kurcie; miał wtedy jeszcze coś wojskowego i bogaty zbiór przypowiastek, facecuj i wspomnień pułkowych. Facecje owe zawsze zgrabnie i dowcipnie podane, czę-

sto tylko w paru słowach rzucone, czyniły go w męskim towarzystwie przyjemnym i pożądanym.

Wzrostu średniego, ale kształtnie zbudowany, ry-
sami do Dębińskich zbliżony, był Fredro lekko ospo-
waty i płci żółciowej na twarzy, zdradzającej skłon-
ności do hipochondrji. Oko miał siwe, w białku także
żółte, wzrok nieujmujący, wąs rudawy, krótko pod-
strzyżony, uśmiech niedobry, ułożenie dość gładkie.
Każdym ruchem zdradzał, że się ma ciągle na uwa-
dze, że — jak Francuz mówi — pozuje. Dowcip jego
był często gryzący, czasem przykry drugiemu, więcej
sposobem powiedzenia, niż treścią rozśmieszający,
spojrzeniem, uśmiechem i ruchem ręki mocno акцен-
towany. W domowym życiu skryty, jak wszyscy Fre-
drowie, prawie zawsze kwaśny, dla sług mroźny,
dla podrzędnych nadmiernie pyszny, obojętny na
wszystko, co go bezpośrednio nie obchodziło. Go-
spodarz pełen praktycznego rozsądku, nie lubiał się
udzielać i tylko, gdy był z zewnątrz popchnięty sta-
wał się wymownym i dobrze wysławiał jasne i otwarte
zdania; w zetknięciu z obszerniejszym światem drob-
nostki na nim dziwne robiły wrażenie.

Nadzwyczajnego sprytu w prowadzeniu zarządu go-
spodarczego i spraw pieniężnych, nawet giełdowych,
z tak praktycznem usposobieniem, ulegał Aleksander
dziwnej słabostce; miał przekonanie, że szanse *rouge*
et noir i loterji dadzą się obliczyć i bardzo często
przemysliwał nad tem.

Naukowe wykształcenie Aleksandra nie mogło być
— jak wspomnieliśmy — dostatecznem. W 21. roku

osiadłszy, po pięcioletniej wojaczce, w Jadźwingach, pola zależyć musiał; sam nieraz powtarzał, że poszarpany tomik Moliera, podany przez Iglą, dał mu pierwszy popęd do pisania komedji. Później dopiero w bibliotece żony znalezione dzieła francuskich, włoskich i niemieckich mistrzów obznajomiły go z wyższą sztuką. Najchętniej czytywał francuski „Théâtre de second ordre“. Z naszych poetów najwyżej cenił Słowackiego.

Oddając zasłużony hołd talentowi Aleksandra, mniemam jednak, że ulotna humorystyka była właściwem jego polem. Kilka z takich drobnostek to arcydzieła, a „Pan Rewera“, którego, niestety, drukować nie można, jest regentem, ręką Celliniego w złoto oprawionym.

Jego poglądu na świat określić nie potrafię, bo zdaje mi się, nie zawsze był jeden, ale to pewne, że gorącym był Polakiem. Poza polskością stałego punktu oparcia nie miał; bezwiednie chylił się ku kosmopolityzmowi, w każdym zdarzeniu oglądał się na hotel Lambert i stamtąd bezwarunkowo przyjmował hasło. Ani dla Napoleona, ani dla księcia Józefa, choć służył pod nimi, religji nie miał, a czasem zadziwiające trapiły go pomysły; pomnę raz mówi mi: „kochałiśmy wszystkich i nic dla nas nie zrobili, żebyśmy też spróbowali kochać Niemców“.

Ostatnich kilkanaście lat życia cierpiał niewymowne męczarnie artretyczne i żył pod ciągłą grozą śmierci miesiącami, długo, rękami i nogami rozkrzyżowany na pościeli. Po takich męczarniach pomału przycho-

dził do siebie. Więc dziwić się prawie nie można, że się zamknął w najściślejszym domowym kółku. W lepszych chwilach pisywał i czytał mi ostatnich parę liryków i satyr.

Sknerą nigdy nie był, oszczędnym zawsze, do mamonny fredrowskie miał szczęście; dopiero z zbliżającą się śmiercią opanowała go idea, że wielkie poniósł straty pieniężne. Przykra ta halucynacja była czystem urojeniem, ale chwilami mocno go dręczyła, często jęczał boleśnie, że utracił wielkie sumy. O kimkolwiek przy nim mówiono, lubiał się pytać, „czy składa?“ Razu jednego opowiadałem o majątku i spokoju życia Turkułów, od nich wyszedłszy. „Ale, czy składają?“ — zapytał. „Nie mając ani dzieci, ani rodziny — odrzekłem — dla kogoż mają składać?“ „Niech tylko składają, niech składają“ — powtórzył po razy kilka. To były ostatnie słowa, które od niego słyszałem.

Po bardzo długiej ostatniej chorobie gangrena pokazała się na nogach i w dni parę takie zrobiła postępy, iż zasnawszy wieczór, nad ranem oddychać przestał i głębiej zasnął, gdyż jednym muskulem nie drgnął, konając. Żona i rodzina przy nim stojąca ostatniej nie dostrzegli minuty, a głowa zwieszona na piersi, jak po zaśnieciu, po skonaniu została na zawsze.

Z rodzeństwa Aleksandra najstarszym był Maksymiljan, który dzięki pięknej postawie i względom księżnej z Czartoryskich Wirtemberskiej wyszedł na generała, a po 1815 r. został Flügeladjutantem cara.

Car ożenił go z panną Gołowin, wielkiego rozumu i majątku, ale tak szpetną, że męża znaleźć nie mogła. Po śmierci ojca pokazała się kreda, milion rubli jednak uratowano. Była to kropla, w morze rzucona; tu we Lwowie dom książęcy prowadził. Car stworzył dla niego urząd marszałka dworu Kr. Pol., i kilka razy długi płacił, ale wszystko było napróżno. Po 1831 roku, uratowany z rąk ludu, chcącego na nim sprawiedliwość wykonać, przez Mochnackiego, osiadł w Paryżu; gdzie w wielkiej nędzy wraz z żoną umarł. Pisał tragedje; najlepszą, „Haralda“, przedstawiano we Lwowie. Potomstwo bezdzietnie wymarło.

Chociaż nie czernił papieru, najzacniejszym z rodu był po nim idący Seweryn. Jako rotmistrz szwoleżerów gwardji, szedł na jary Samosierry. Pewnej nocy, przez Anglików napadnięty, zebrał szwadron w koszulach, na nieosiodłanych koniach uderzył i rozbiwszy w puch napastników, wziął dużo jeńca, a w r. 1813 własnoręcznie syna Blüchera pod Peterswaldem. Jeden z całej polskiej armji był podany do orderu „Trzech złotych run“, który nie przyszedł do skutku. Dotacja tego krzyża miała być 100 franków.

Czwarty, bo młodszy od Aleksandra, Henryk, był w 1831 adjutantem Umińskiego, dusza najpocziwsza, przy kieliszku niezrówanego humoru, tryskającego dowcipem. Miał za sobą moją bratankę, Marię. Zostawił syna Stefana i trzy córki. Pisał i tłómaczył dużo komedj.

O najmłodszym Edwardzie, który także służył 1831 w 6-tym pułku hułanów; tak zwanych dzieciach Warszawy, cóż powiedzieć? O Ryczywole zamilczeć wolę, toż samo i o jego synie Edwardzie.

Syn Aleksandra, także Aleksander, robił węgierską kampanję w 2-gim pułku hułanów, pisze wesołe komedje i ma syna Jędrzeja, który, by nie wyjść z rodzinnego zwyczaju, także parę komedyj rzucił na scenę.

ROZDZIAŁ VII.

MÓJ SZWAGIER, SKARBK.

Koleje życia dziwaka. — Interesy i kombinacje. — Życie rodzinne. — Teatr i aktorzy. — Kancelarja pana dyrektora. — Budowa gmachu. — Podróże do Wiednia.

PIERWSZYM mężem mojej siostry był Stanisław Skarbek, przyszły założyciel teatru we Lwowie i zakładu sierót w Drohowyżu. Dziwnie ten człowiek przechodził koleje nim ślepią okiełznał fortunę. Pan na wielkiem imieniu i majątku, po ojcu i matce Bielskiej, po ciotce Rzewuskiej dziedzic Obertyna, rozsypał swe życie i mienie po wiedeńskim bruku i teatralnych deskach. Około roku 1809 z wszystkich dziedzicznych imion została mu tylko Roźniatowszczyzna (miasteczko z 14-ma wsiami), ale zadłużona po uszy. — Odśpiewując gorzkie żale pod Wiedniem w Nussdorfie, (gdzie miał pałacyk) za utracomą zamogą i rozmyślając, jakimby to cudem wydobyć z skarbcza pierścień rzucony weń przez praojca — z żalością spoglądał Skarbek na raj utracony. Nagle nadchodzi list od Verlegera, poufnego żyda z Roźniatowa, donoszący, że odkrył bogate żyły rudy żelaznej i chciałby to odkrycie zużytkować. Tonący i brzytwy się chwytając, zaczął Skarbek odwrotną pocztą posyła żydowi

skąpe fundusze, ale pełnomoc nieograniczoną. Żyd sprowadza górników, buduje piece, „friszerki“, wynajduje odbyt i złoto płynie strumieniami do próżnej niedawno kasy. Z powracającym dostatkim wraca i pańska fantazja.

W roku 1814 poznaje Skarbek we Lwowie siostrę swoją — wtedy, jak twierdzili, nadziemskiej piękności — piętnastoletnią, niezwyklego uroku dziewczátko i zakochuje się w niej na zabój. Wiek wielką był przeskodą, (Skarbek już czwarty przeżywał krzyżyk), ale ujmujący wielkoświatową ogłada, nie traci nadziei, sposobność przychodzi mu w pomoc, a próżność piętnastoletniego dziecka ułatwiła zwycięstwo. Szlachta daje składkowy bal dla uganiającej za zemstą Neapolitańskiej królowej Karoliny, Skarbek jest gospodarzem. Królowa przybyła; stają pary do poloneza, orkiestra milczy zawzięcie. Skarbek, na którego hasło czekają, znikł gdzieś. Dumna królowa ściąga brwi, gdy wtem wchodzi Skarbek, podając rękę pannie Zofji, trąby i kotły grzmia na jej powitanie, a królowa z uśmiechem puszcza się drabanta. Ona, co tak wysoko cenić umiała kobiecą piękność, musiała chętnie przebaczyć uchybienie w etykiecie.

O ile czterdziestoletni mąż może być dobrym dla młodzusięńskiej żony, o tyle był nim Skarbek. Każde jej życzenie odgadywał i wypełniał, ale w zamian za taką uległość, znosić musiała gorączkę męża, już wtedy trawionego pragnieniem zwiększenia majątku i potrzebą ruchu. Głód złota na najdziwniejsze rzucał go pomysły i drogi, to dzierzawi propinacje

w kilku miastach, to się podejmuje sypać kilkanaście mil drogi, to czterdziestu wozami (po 3 jarzma wołów) wozi opał do Lwowa, to nakupuje dobrą masę i dobrowolnie pogrąża się w długi. Wtedy perły, tyftyki, klejnoty żony, czasem i srebra i powozy szły w zastaw, a sam w najlepszym humorze po pustych apartamentach zabawiał się z dziecinną żoną, lub się kładł do łóżka i leżał, twarzą obrócony do ściany, tygodniami, nagle wynajdywał jakiś sposób wyjścia z kłopotów, płacił długi, wykupywał zastawy, przyjmował gości, dawał objady i wieczory, wychodząc z domu ubijał rękami w kapelusz zwitki pomiętych bankocetli i wracał obładowany wszystkim, co znalazł dla żony po składach i złotnikach, sprowadzał z Wiednia sztukami aksamity i bławaty, a zasypawszy tem wszystkim swobodne ptaszę, puszczał się znowu na złamanie karku w rozgoń za mamoną.

Pewnego razu bez grosza w kieszeni, pożyczwszy u ciotecznoego brata, generała Kalinowskiego, na kaucję, kupił od kamery duży klucz Drohowyski i obowiązuje się wystawić w nim do roku stajnie na wszystkie ogiery Galicji wschodniej. Pomimo, iż trzystu murarzy pracowało bez przerwy, kto wie, czy na tem przedsięwzięciu nie byłby skręcił karku, gdyby nie przyjazd do Lwowa cesarza Franciszka I. Będąc, jako szambelan, na służbie, wyprasza sobie jego odwiedziny w pełnym mundurze, stosowanym kapeluszu i przy szpadzie. I on, który nigdy na siodle nie siedział, kłusuje cztery mile przy drzwiczkach karety, rozrywając dobrodusznego cesarza tysiąc-

nemi, wiedeńskimi facecjami, podawanemi z wiedeńskim zacięciem i akcentem i gościnnością, a w oczy bijącemi dowodami przedsiębiorczości. Tak wtedy Skarbek zachwycił cesarza, iż kazał rozłożyć wypłatę dóbr na wieloletnie raty, a asygnując znaczną przedpłatę na dokończenie budowy, zbawił tonącego.

Odtąd zaczęło się majątkowe powodzenie Skarbka. W rękę jego pieniądź żył i pracować musiał w tysiącznych przedsiębiorstwach, często bardzo niebezpiecznie, a nie narastał lichwą lub samopłodem, jak to dziś czyni w skrzyniach dostojnych papierników; między nim a nimi jest ta sama różnica, co między zapalonym, co chwila łeb nadstawiającym graczem, a zimnym, pewnym wygranej, poprawiającym szczęście, szulerem.

Skarbek z usposobienia nie był ani skąpy ani brudny, jak jego nieprzyjaciele utrzymywali. Za młodu rozrzutny, więc na pastwę lichwiarzom oddany, stał się później w sprawach pieniężnych twardy i podejrzliwy, co zrozumieć łatwo.

Gdy już dopiął swego, droczył ludzi cynizmem, za miejsca w własnej łoży przyjaciele z ręki do ręki płacić musieli, „bo ubodzy tracić nie powinni“. Po objedzie schodzono się do niego na wista, jeżeli przegrał płacił biletami do swej łoży, śmiano się i brano, trafiało się, że niejednen po kilkanaście biletów chował do kieszeni i innym odsprzedawał, czego Skarbek nie lubiał. Przed samą siódmą Rózia, dawna mej matki pokojówka, nalewała doskonałą kawę, kończyć ją trzeba było z pospiechem, bo z pierwszym zadzwono-

nieniem w teatrze gospodarz porzucał karty i zabierał wszystkich, którzy mieli bilety do łoży.

Do południa leżąc w łóżku, w otoczeniu aktorów i aktorek, spowiadał, godził, waśnił, beształ, wypędział, słowem rządził tą czeredą niby stadem czarnych niewolników. Na starość mścił się za młodości zawody, w tym świecie tajemnicy żadnej nie znosił, może nadto dokładnie roztrząsał sumienia, ale nie nadużywał praw spowiednika „któż ci pomoże jeżeli nie ja“, mawiał zakłopotanej grzesznicy i często istotnie radą, czasami i workiem pomagał.

W najzawikłańszych sprawach nigdy nic nie pisał, „moja kancelarja tu“, mawiał, uderzając się po czole. Adwokatami dziwnie pomiatał, a z zadziwieniem widywałem, zarozumiałych, napuszonych mecenasów, uwijających się podczas przedpołudniowych audyencji z fascykułami pomiędzy „diwy“ i baleryny, bo Skarbek jednym uchem słuchał sprawozdania o prawnych sprawach, drugim wysłuchiwał zwierzenia z zakulis. Za godnościami nigdy nie uganiał, wpływów wywierać nie chciał, gwałcenie szczęścia miał jedyną zabawą, pieniądz więcej narzędziem, niż celem. Widywałem go nieraz obliczającego paki banknotów, z wyrazem skąpca na twarzy, potężny nos zakrzywiał się dziubem krogulca, brwi rozchodziły, oczy świeciły, wąskie a szerokie usta poruszały lubieżnie, wszystkimi zmysłami połykał rozkosz posiadania, a często widywałem znowu, jak bez namysłu i rachunku wyrzucał pieniądz z uśmiechem szalejącego marnotrawcy.

Matka nasza była do ostatka bardzo przeciwna rozwodowi, nie lubiła świata, w który siostra nierozważnie wchodziła. Skarbek wiedział o tem, często i po rozwodzie bywał u niej i nazywał ją jak dawniej mamą. Po pewnej bytności panna służebna niezrównanej piękności i uroku, ale za to wyższej nad wszystkie pokusy uczciwości, Anusia Pawlicka, wlatuje do matki, zaperzona i zapłakana, by cisnąć w ręce przestraszonej matki serwetę pełną banknotów „pan hrabia rzucił mi to na kolana i uciekł“ wyszłochała. Matka się uśmiechnęła, przywołała kamerdynera, kazała ułożyć papiery (było przeszło 10.000 fl.) zapieczętowała i odesłała napisawszy na wierzchu: „Zapewne przypadkiem zgubione dobro ubogich odsyłam pospiesznie“.

Gdy umarł, zapoznany, na cichym pogrzebie nie było nikogo. Jan, stary lokaj matki, 50 lat liczący służby w naszym domu, twierdził wróciwszy, że ludzie nie przyszli, bo ś. p. pan hrabia był farmazorem, a i to było oszczerstwem, bo on nim nigdy nie był, na to był za szlachetnym.

Olbrzymie budowy prowadził sam, nie mając żadnego wyobrażenia o budownictwie i to swoimi poddanymi, bo obcych nie lubiał. Siedząc w poręczowym krześle, otoczony pieczeniarczami, w mróz lub sotę, dozorował robotników. W epoce dorobkowej na prostym wozie z klucza jechał do klucza, najczęściej spiący, słuchał (nigdy nie czytał) raportów i ostro trzymał oficjalistów, którzy wszyscy byli dawnymi dworskimi. Głównym komisarzem

na wszystkie dobra był wysłużony kamerdyner, Kuźmiński.

Brat rodzony, Ignacy, syna zostawił, stryjeczny Jan, zwany drugim Jasiem miał aż dwóch, lecz i on i jego latarośle popadali tak wielkiemu umysłowemu kalectwu, iż nie mogli podeprzeć gasnącego imienia. W Kongresówce są jego imiennicy i tych na przyszłych kuratorów zakładów powołał. Inny względ także powodował go do tego bezmyślnego czynu, który całkiem w jego charakterze nie leżał. Budując przyszłość od początku na karkołomnych przedsięwzięciach, potrzebował pomocy ludzi, stanów, rządu, uzyskiwał ją tym zapisem, więc po namyśle na kilka lat przed śmiercią go podpisał.

Dobrego wzrostu, ściągłej wyrazistej twarzy, wesołego, prawie dobrodusznego spojrzenia, mocno wykształconego nosa, wielce pańskiego wielkoświatowego ułożenia, swobodnych ruchów, z kobietami często nadto poufałego obejścia, co ciągle życie z aktorkami tłómaczyło, był bardzo odznaczającą się nad wszelkie komunały wyższą osobistością, bez żadnych książkowych wiadomości, ale pełen swobodnego dowcipu i żartów. W odpowiedzi szybki, wszystko odgadujący i przenikliwy, nie był ani gorzkim ani uszczypliwym, ludzi po wartości, zatem bardzo nisko cenił, ale przyjacielem być umiał i miał przyjaciół.

Nie zdarzyło mi się u nikogo widzieć tak gorączkowej czynności, połączonej z takim sybarytyzmem. Leżąc w łóżku zasypany papierami, odgryzał się adwokatom, wtedy zwykle się zajadał i mówił tak

szybko, że stawał się niezrozumiałym, w chwilę potem zapominał o wszystkim i facecjonował podług zwyczaju.

Leżenie było jego ulubioną postawą, ile razy wyjeżdżał do Wiednia, wyścielano mu w powozie łóżko, rozbierał się do koszuli i leżąc pięć dni i nocy nie wstawał aż w Wiedniu. Stanąwszy przed Wildenmannem zarzucał na siebie płaszcz i w pantoflach szedł prosto do łóżka, aby wypocząć po tak nużącej podróży.

ROZDZIAŁ VIII.

O DAWNEJ PALESTRZE GALICYJSKIEJ.

Mecenas Józef Dzierkowski i jego działalność. — Rycerz dziwnej
industrii. — Złote czasy dla komorników. — Historia majątku
p. Z. — Bratanek mecenasa. — Hulaka i powieściopisarz. —
Nieszczęsne losy talentu.

JAKO wyobraziciel dawnej palestry lwowskiej ciśnie się pod pióro mecenas Dzierkowski, a za nim bratanek jego Józef. Pierwszy w swoim czasie wielką odgrywał rolę; był to w kontusz zawinięty półtrzecia centnarowy (dosłownie!) bałwan mięsa i tłuszczu, z ogromną pełnią na byczym karku tak, iż się здавало, że z nienacka szpilką ukłuty wyciekłby czystym tranem. O ile bezradny ciałem, o tyle gibki był umysłem. Obywatel, jurysta, literat, człowiek polityczny, wolnomularz, słowem w każdym zawodzie mistrz, a raczej arcyzręczny linoskok. Wymowny jak Skarga, gładki, przebiegły z tabliczką Pytagorasa miasto serca, nieubłaganą logiką uczucia, przytem ujmujący i dworakujący bez żenady, gdzie uznał tego potrzebę — stał się wyrocznią całej szlachty. Wszystkie sądy polubowne ostatecznie rozstrzygał zawsze na rzecz tego, którym się opiekował, wszystkie działały

układał, zawikłane interesa rozjaśniał, na literackich posiedzeniach bezwzględnie pochwalał lub ganił, na publicznych zebraniach burmistrzował poważnie i długie lata kręcił światem, jak szewc skórą. Wybrane grono adeptów tylko z kadzielnicą w ręku śmiało się zbliżyć do niego, pochwytyjąc każde słowo bożyszczaka i roznosząc po świecie niby wyrocznie. Najpopłatniejszym rzemiosłem Wielkiego Kofty były — jak utrzymywano — sprawy testamentów; te nagał, te prostował i te podkładał, te poprawiał, nie zapominając o sobie lub powiernikach (w owej epoce podobne zarobkowanie było w modzie). Przy jednej operacji, rozzuchwalony powodzeniem, nie dość dołożył uwagi. Zaprzysięgli świadkowie nie potrafili opisać domu, tem mniej sypialni konającej testatorki, (która wezwwała ich jakoby, gdy przypadkiem przejeżdżali, do podpisania testamentu) i zostali uwięzieni.

Po szczęśliwej rewindykacji nastaly złote czasy dla palestrowych łotrzyków, jakich ja jeszcze nie mała pamiętam. Sędziowie z małemi wyjątkami byli przekupni i to prawie otwarcie. Gdy się zbliżała stanowcza sesja, referent dawał znać, pan komornik (tak tytułowano adwokatów) robił odpowiedniej ciężkości zwitki dukatów i od jednego konsyljarza idąc do drugiego, prosił o poparcie zdania referenta i z ręki do ręki *argumentum ad hominem* podawał. Nietylko w krzywej, ale i w najprościejszej sprawie trzeba było w ten sposób kaptować *benevolentiam*. Wyjąwszy kilku, jak Mochnacki, Wisłobocki, Kozieradzki, Pa-

sławski, adwokaci lwowscy nie przebierali w środkach. niszcząc nawet księgi tabularne, z których karty wyrywali, szperali tylko za sumami jakim bądź tytułem niespodzianie na biednych ludzi spadającymi, odkrywszy taką zdobycz, wyrabiali w sądzie *ex offio* bezpłatne prowadzenie sprawy, a łudząc i zwlekając, marniejącą z głodu rodzinę przyprowadzali do rozpacz i za parę set reńskich nabywali często grube tysiące. Takie rzeczy działały się całkiem otwarcie.

Jedno zdarzenie przytoczę, bo mistrzowskim pomysłem i przeprowadzeniem da wyobrażenie o ówczesnej palestrze.

Był fałszywy gracz na wielką skalę Z..., jakich wtedy kręciło się niemało. Polem jego popisów były węgierskie kąpiele; za zdobytą tym sposobem gotówkę kupuje majątek Ż... i układa się spokojnie na laurach. Bawił przy nim nieletni bliski krewny p. T. Ż., i temu umierając, zapisuje formalnym testamentem cały majątek, zapomniawszy wszakże o bliższem określeniu, że to swemu wychowankowi, a nie innemu p. T. Ż. zapis ten czyni.

Przypadek chciał, że ów pan szambelan Ż., miał także nieletniego syna Tadeusza. Skoro gruchła wieść o niejasnym testamencie, jedzie do Lwowa, oddaje się pod opiekę adwokata Sk. Mistrz nie traci czasu, podrabia list nieboszczyka nadmieniający o synu szambelana, jako możliwym spadkobiercy. Złoty deszcz spada na uradowanych konsyliarzy. Szambe-

lan na mocy prowizorjum obejmuje administrację majątku i sprawa szczęśliwie ukończona. Lat przeszło 30-ci ciągnął się ten proces między bogatym panem Ż., a ubogim, żadnego oparcia nie mającym właścicielem; w końcu pieniądź przemógł, a prawy właściciel majątku, chodząc po żebrach umarł gdzieś w szynku. Nie wahałem się podać tę sprawę, bo całemu światu znana, a ów nieprawy właściciel był wyjątkowo bardzo prawym człowiekiem i do śmierci nie wątpił o prawności swego posiadania.

Na arkuszu nie spisałem majątków w nieprawę przeszłych ręce to fałszem, to szacherką adwokatów. Na arkuszu nie spisałem karmazynowej szlachty wyzutej z mienia przez imienników, zmarłej po szpitalach i szynkach. W mojem bliskiem sąsiedztwie były trzy piękne majątki w nieprawych rękach, a wszystkich trzech wyzutej jako żebraków znałem.

A cóż dopiero mówić o wsiach, w których mieszkała tak zwana chodackowa szlachta obok bezsumiennych kundli, jak dzisiaj chłopskie niwy przecho-dzą w ręce żydów lub dorobkiewiczów, tak wtedy obszary poczciwej lackiej ziemi stawały się pastwą takich większych ziemiożerców.

Wróćmy jednak do Dzierzkowskich i pochowawszy stryjaska, mówmy o bratanku. Był nim zawsze dowcipny, często zajmujący, gorzki, ale czasami tylko niesprawiedliwy, ogólnie lubiany, choć przez zakrystję wyklęty, powieściopisarz Józef Dzierzkowski. Powierzchnością przypominał stryja, w poczuciu

moralnej godności nie o wiele go przewyższał, a jedynie pojęciami różnił się od niego. Należał do organizmów nerwowych, namiętnych, na złe lub dobre gotowych podług natchnienia chwili, towarzystwa, czy podług dobrze lub źle przebytego procesu trawienia. Józef Dzierzkowski był od stryja rozumniejszy i dowcipniejszy. Prowadził od dzieciństwa życie bardzo nieporządne, później błotniste, ale sztuczki jego (za które stryjasek chłosty nie skąpił) miały więcej cechę rozpusty może niedozwolonej, niż występku. Nie kalając się hipokryzją, broił całkiem otwarcie z podniesionem czołem szydził z przeciwników. Wracając po 1831 roku z Warszawy, zastawił u Bossinga w Dreźnie jakąś pałkę w futerale, mieniąc ją marszałkowską laską sejmu, a w sejmie zasiadał, zamianowawszy się sam posłem (jeżeli dobrze pamiętam) Smoleńskim.

Przy końcu życia straciwszy wszelkie moralne poczucie, birbantował w najhaniebniejszych towarzystwach po szynkach i kawiarniach, stał się był dla jednych przedmiotem litości, dla drugich szyderstwa, a ożeniwszy się w końcu z prostą ulicznicą i pijaczką, żył i umarł w ostatniej nędzy. Powieści jego rozrywano, o artykuły do dzienników zabiegały wszystkie redakcje — to powodzenie mogło mu zapewnić dostatnie utrzymanie, gdyby nie był po uszy zadłużony. Od świtu do nocy podpity, już i czasu i siły nie miał, wówczas zamykano go jak Bronikowskiego lub Dumasa na rygle, ale to nie wiele pomagało, bo wówczas najczęściej — odsypiał przebirbantowane noce.

Tkwiło jednak coś lepszego w tym człowieku. Przy takim rozuzdaniu i nędzy, żadnej nie dopuścił się zbrodni, co więcej, nawet pewnej szlachetności odmówić mu nie można.

ROZDZIAŁ IX.

O KRÓLEWICZU ARAKAŃSKIM I INNYCH OSOBLIWOŚCIACH.

Królewicz arakański. — Zbrodnia stanu. — Obrona klasztoru. —
Amo, amare... — Giryga. — O Ludwiku Zielińskim. — Dziwny
cukiernik.

W ROKU 1816—17-tym pojawia się u pewnej obywatelki w żółkiewskim, jakaś tajemnicza postać. Gościnnie przyjęta, po paru dniach pobytu zwierza się, że jest następcą tronu króla Arakanu. Służąc w sztabie Wielkiego Księcia na placu boju pod Lipskiem, miał być ciężko rannym zostawionym, a później wyleczony, uszedł ze szpitalu i teraz z obawy przed Moskwą, skrycie do swojego państwa wraca. Przez gospodynię bez trudności za króla uznany i bliższym znajomym odkryty, wielu znajduje wiernych. Trzyma dzieci do chrztu, nawet przez prokurację przyrzeka się żenić z córką domu, (p. Lipską), rozdaje ordery białego słonia, djamentów i pereł obiecuje na garnce, przyjmuje festyny ku czci jego wyprawiane, z uśmiechem podejmuje dość znaczne sumy u nóg jego składane, w końcu pięknego dnia ulatnia się na wieki. Nie mogłem się doczytać żadnych śladów królewicza Arakańskiego w dziejach wielkiej armii, lecz byli tacy,

którzy twierdzili, że istniał, a bliżej z nim obznajomieni utrzymywali, że to był żyd kamerdyner istotnego królewicza, poległego pod Lipskiem, który odziedziczył po nim papiery i za pomocą nich wyzyskiwał łatwowiernych tak długo, póki zagrożony odkryciem nie umknął do Moskwy, skąd go wywieziono na Sybir.

Zbrodnia Stanu. Gdy cesarz Franciszek z cesarzową pierwszy raz odwiedzili Galicję, przyjmowano ich z wielkimi demonstracjami. Stany ofiarowały 15 tysięcy dukatów w złotej, kamieniami sadzonej szkatułce. (Widziałem ją obok węgierskiej w skarbcu, lecz ta przyniosła 50 tysięcy dukatów). Bal stanowy odznaczał się przepychem, a w głównym oknie salonu czerniała austriacka dwugłowa w pałającym transparentie. Panienska Puzynina szesnastoletnia, oburzona tym widokiem, wpadła z ulicy z nożem w rękę, roztrąciła tańczące pary i silnym cięciem rozpruła transparent. Ulica radośnie zawrzała i wszczął się zamęt, z którego korzystając znajomi panny mężczyźni okryli ją płaszczem i wzięwszy między siebie, odprowadzili do rodziców.

Obrona klasztoru. Gdy po skasowaniu licznych klasztorów, miano oddać kościół zdaje się po bosych karmelitach dyrektorowi towarzystwa niemieckich aktorów, kilkadziesiąt zakrystjanek pod buławą ksieni z Karczewskich Mrozowickiej, na czele wszystkich przekupek i rybiarek, ustawiło się na schodach wołając, że „tylko po ich trupach“ przystąpić dadzą do znieważonej świątyni. Na ten hałas i lud groma-

dzić się zaczynał i wojsko stanęło pod bronią, policja zbeszczeszczona ustąpiła z pola i *brachium militare* miało rozpocząć działanie, gdy komenderujący, zimniej rzeczy osądając, wojsko ściągnąć kazał. Po kilkunastu godzinach zimna i głodu obrończynie świątyni rozeszły się spokojnie do domów, a *sacrilegium* spełnionem zostało, z wielkim ukontentowaniem mnichów, którzy choć z grobów nacieszyć się mogli hopkami i trylerami występujących baleryń i diwów. Bądź co bądź nadto po wolnomularsku postąpiono i jeżeli nie *sacrilegium*, to znieważenie grobów popełniono. Około 1850 roku dopiero po spaleniu teatru, zaczęto oczyszczać podziemia. Sam widziałem kilkadziesiąt trumien i pełne wozy strupieszających kości, które wywieziono na cmentarz.

Amo, amare... W Buczaczu u OO. Bazylianów, i wogóle w szkołach owoczesnych, Alwar jeszcze jeździł na nahajce. Edward Dulski do śmierci wspominał, jak wezwany do księdza rektora na tajną konferencję za zbyt czule serce, całe *verbum „amare“* przekonjugował na ławie, (bo to było przecież pańskie dziecko, więc nie na podłodze). Za każdą pomyłkę dostawał bata, co jak twierdził, nadzwyczajnie zaostrzało pamięć i uwagę. Zaczęło się od „*Amo*“ — i wśród *joj! joj!* zatrzymywało na „*Amavi*“, gdzie już było „*joj! joj!*“ *avi! avi!* i kończyło na *Amaturus sum! sum! sum!* jak Boga i księdza rektora Kocham już nie będę“. Od tej konferencji przysięgał, że nigdy nie konjugował tego czasownika po łacinie, ale zawsze w innym języku. Pocałowanie nahajki kończyło

sprawę, *frater* odstawiał ławkę, podawał szklanę wody i wszystko szło w niepamięć.

Giryga. Była to ulubiona gra młodzieży. Gdy nieraz stanąwszy na dziedzińcu zakrzyknął „do girygi“, po kilkunastu ciurów wylatywało z opalonymi kołami i furczała wartka dębowa giryga, (pewnie wschodnie słowo, kto wie, czy nie od dziryda). Stłuczone szyby śmiertelnym zawodziły brzękiem, guzy na czołach wyrastały, jak grzyby po deszczu, podbite oczy siniały, zapuchając, z nosów krew ciekła, a gracze w warjackim szale bez opamiętania szaleli tak długo, póki rozbite girygi, lub okrzyk „hola smarkacze“ jakiej starszyny, nie ukończył zabawy.

Bądź co bądź było coś rycerskiego w tej girydze, która i starszych czasem do siebie porwała. Dzisiejsze papinki z duszą na ramieniu uciekaliby od niej, bo giryga była z klutej a zeschniętej dębiny, osmolona jak należy, kół gruby a gibki. Nieraz i wodą trzeba było odlewać nieogłédnego gracza, bo giryga szła niewidzialna jak kula, a jak kartacz furczała w powietrzu, gdzie pomacała, tam cierpło i ciekło. Raz gdy w pierś dostałem taki pocałunek, w oczach mi poczerniało, a krew buchała ustami, dopiero butelka wody z lodu, wypita duszkiem na kurzące się płuca, zatrzymała wybuch krwi i pozwoliła dalej szaleć. A jakie to były uniesienia, wyżywania, tryumfy, gdy już giryga wszystkie pominąwszy koły za bramą obita się o lipę! Nie pojmuję dlaczego żołnierzom nie każą się bawić w girygę, było by to praktyczne zastosowanie gimnastyki, wprawa dla oka i sposób

odkrywania tchórzów, bo przy tej zabawie bez osłony pokazują się usposobienia, a jestem pewnym, że komu giryga często zafurczała koło ucha, na fuknięcie kartacza nie będzie zbyt czułym. Po kilku dniach girygi szturmak prosto z zapiecka wzięty, jakoś się prostował, głądniał, podnosił czoło, nabierał elastyczności w chodzie i choć jeszcze bosi i w koszuli już coś dworskiego mieć zaczynał, na każdą klęskę lub zwycięstwo czulszy, mimowiednie nabierał honoru.

Z powodu girygi raz dziwną odprawiłem podróż. Wśród najzaciętszej walki kółko wpadło do studni. Studnia nie była jeszcze całkiem skończoną, ale zawsze na 9 sążni w skale wykutą. Waleczniki opuścili koły kamieniarze byli na obiedzie, na namysł czasu mało, chciałem się dostać do drabin, z mej strony dosięgała je tarciczka, husz na tarciczkę, w tem zdrajczyńi oślizguje się po cembrynie a ja pomiędzy skalistą ścianą i pompami na dno. Moźnaby obliczyć ile sekund trwała podróż, ja nie liczyłem, wiem tylko, że się znalazłem w wodzie po kolana, obłany cudnym chłodem. Z girygą w rękę wydrapałem się po drabinie na górę, lecz tam miasto tryumfalnych okrzyków, powitała mnie straszna niespodzianka. Czajkowski, blady jak śmierć, stał przedemną, a włos że nie powtórzył przechadzki *ad inferna*, było zapóźno, silną pięścią za czuprynę ujęty i do matki zaprowadzony gorzką musiałem przebyć chwilę, ale giryga była uratowaną.

O *Ludwiku Zielińskim*. Naprzeciwko hotelu Georę'a był most drewniany na Pełtwi, na nim pod

figurą zawsze widzieć było można niskiego barczystego chłopca, stojącego z pękiem „hanswurstów“ na ręku, przed koszem pełnym mydełek, szwarcu i innych mniej niewinnych bawidełek, z zadziwiającym bezwstydem zalecającego przechodniom swe towary. Tym chłopcem był Ludwik Zieliński. Pierwsze godziny dnia poświęcał na odwiedziny swych mecenasów. Z niemiecka opakowany, z koszem przed sobą wchodził, ofiarując swoje towary. My, leżąc w łóżkach targowaliśmy, rzucali pod meble „cwancygiery“, by aportował, z legawcem Trylonem na prześcigi. Co przed nim złapał było jego, ale Trylon był doskonały lampart i rzadko którego opuścił cwancygiera. Po tem na gimnastykę przychodziła kolej, przewracał koziołki, chodził kołem, przyczem Trylon go łapał za nogi; słowem pastwiliśmy się nad nim, jak niepoczciwi smarkacze. Trwała ta heca, póki nie nałapał cwancygierów, wtedy stawał na środku pokoju, poprawiał czupryny i poważnie gestykulując deklamował satyry na Bernardynów, poemata o płochych, zakonnicach i inne głupoty.

Pewnego dnia Zieliński wyciągnął dumnie z koszyka swe arcydzieło, drukowaną tragedję „Gonzalw z Korduby“ (nie Kordowy). Oczywiście jako mecenasy tej nowej muzy, wzięliśmy po kilka egzemplarzy i — zmarnowaliśmy z wielką szkodą, bo był to w swym rodzaju unikat, a teraz odszukać go trudno. Pomnę jeden ustęp. Gonzalw do rozpaczy przywieziony srogością Izabeli, chce się otruć i tak przemawia :

Któż tym jadem sprawił ciebie?
 I czyż nie pił ciebie sam?
 Kiedy jemu miłe życie
 Wszakże miłe jest i nam.

Jeszcze i inny przypominam sobie ustęp:

Ciągną z sznurkiem
 Z dzwonicy kółkiem

I...

Miesiąc smutno tli,
 A wiatr wieje fu, fu, fu,
 A deszcz leje lu, lu, lu.

A jednakże ten poeta lepiej umiał wyzyskać swój geniusz, niż Pol lub Mickiewicz. Przeszedłszy różne koleje, przystał na współpracownika do Bobrowicza, poprawiał herbarz Niesieckiego i prowadząc galicyjską heraldię za 100 dukatów, dziwne rody wywodził od Piasta, a gdy wszystkie zamknęły się drogi, odwoływał się do aktów watykańskich. Mistrzem był do wprawiania dziadów, bez których trudno było przywrócić związek między długim szeregiem praocjów a osamotniałym potomkiem. W tym zawodzie stał się dzielniejszym od samego Bobrowicza korsarzem, co nie mało po zapleśniałych nagrobkach przeżłobiał litery naprzykład z B robiąc K. To wszystko mniejsza, ale czem prawdziwą popełnił zbrodnię, to fałszując akta Bernardyńskie, niszcząc prawdziwe a fałszowane podkładając dokumenta. Koniec końców kupił wieś i umarł po długim panowaniu, jako dziedzic Lubyczy — żyjąc okazał.

i prowadząc z elegancją pański dom, w którym na gościach nie brakło.

Dziwny cukiernik. Jakób Lewakowski, pierwszy cukiernik lwowski, wybrał się pewnego razu do Wiednia i to „lonkuczerem“. Gdy podróż 20 dni trwać miała, zapobiegły człowiek wziął z sobą faskę bigosu, nieco szynki i półgąsków, a jechał z nim kułmistrz francuz z Petersburga. Nieborak, spuściwszy się na oberżę, przymierał z głodu, więc pan Jakób wziął go na swój wikt i tak podpaść francuza. Przyjechawszy do Wiednia, wdzięczny Francuz nauczył Lewakowskiego tajemnic hiszpańskiego tortu, jeszcze u nas nieznanego. Gdy go p.^o Jakób po powrocie w przyzwoitem zaprezentował ubraniu, zrobił sensację. Ni wieczór ni obiad nie obszedł się bez „hiszpana“ a gdy to były szalone bankocetlowe czasy, płacono po 100 fl. za półmisek, Lewakowski tym datkiem francuza zrobił dwie ogromne kamienie i wsi parę, które synowie po części strwonili. Dziwnego kroju był to człowiek, w jego cukierni nic nie stało na stole (ciastami się brzydził, „tego szukaj u pasztetników lub piekarzy“). Wszedłszy, trzeba było grzecznie prosić o kieliszek likworu, wymienić rodzaj było już uchybieniem. Pan Jakób mierzył okiem przybyłego, po namyśle ujmował bez wahania flaszkę pomarańczówki lub miętówki i napełniwszy odpowiedni kielich lub kieliszek dawał znak ręką że pić pozwala, poczem pierniczek lub migdał kandyzowany na zakąskę własnoręcznie podawał. Za to przyjęcie trzeba było zapłacić trzy razy tyle, ile

w innej cukierni i odejść zadowolonym. Trafiało się, że gdy jaki zbyt zarozumiały wyrostek zażądał wódki p. Jakób nic nie mówiąc, przyrządził szklanę limoniady i podawał mówiąc: „za parę lat dam wódki, dzisiaj to stosowne dla panna“.

ROZDZIAŁ X.

O RUSINACH I BOJKACH.

Idylla polsko-ruska w dawnych czasach. — Księża i popi. —
Kanonik Witostawski i kanonik Derzko. — Protopłaści roku
1846. — O Hucułach. — Skarbek w Żabiem. — Pustacy.

MY JESZCZE wtedy nie znaleźliśmy różnicy między nami a Rusinami i oni sami tego poczucia nie mieli. Żyliśmy ze sobą w szkole, a potem we wojsku jak bracia w 1831 r., wielu alumnów ruskich zrzuciło kuty i służyło w naszym wojsku, dopiero później Moskwa zakupiwszy Stauropigią i kilku łotrów w konsystorzu, a Austria burząc Rus na szlachtę rozerwała odwieczny związek. — Nie jeden Rusin spowiadał się przed łacińskim księdzem, Polacy brali śluby i chrzcili się w cerkwiach jak Rusini w kościołach, gdzie komu było na rękę, gdyż nikt z wyznania narodowości wywodzić nie myślał. Dopiero w lat wiele zaczęły się spory w małżeństwach podług jakiego obrządku chrzcic dzieci, było to pierwszą oznaką rozdwojenia. Przez nienawiść do szlachty, rząd chcąc mieć w księżach szpiegów (czytałem dwa takie wezwania do księży) popełnił dwa wielkie błędy, pierwszy przez niezrównanie ruskiego kalendarza z naszym (czego sama Ruś wtedy pragnęła), drugi przez pozwolenie,

aby do cerkwi wślizgnęły się szyzmatyckie obrzędy, jak carskie wrota i inne. Różnica w uposażeniu i wykształceniu klerów wiele się przyczyniła do złego: łaciński zamożny, wykształcony przy tem patrijotyczny wszędzie prymować musiał nad ruskim, zawsze ciemnym wstrętnych obyczajów i brudnym, niechlujnym, odpychającym. Czyż podobna było naprzykład równoważyć kanonika Witosławskiego, świętego, wykształconego, zacnego człowieka z kanonikiem Derżkiem, znanym nam¹ szpiegiem, w zachlapanej rewendzie przychodzącym na obiad, oblizującym fłaszke podanej musztardy, pijącym z talerza resztki rosółu, po każdej potrawce połykającym kielich gorzałki i wśród tysiąca obrzydliwych śmieszności, chwalcącym się, że jego córka taka mleczna, iż dla całej czeladzi mleka codziennie dostarcza? A ten Derżko jeszcze był wyjątkowo ugładzony. Póki zupełna noc była w ich mózgach, nie czuli położenia, któremu sami byli winni, gdy już młodsi cokolwiek lepiej wychowani, zaczęli obsiadać po parafiach, zapalali za zdrością do łacińskiego kleru, a do nas nienawiścią. Około 1846 r. dopiero zdarzało się słyszeć: „my Rusyny“ i zdanie, że obrządek stanowi narodowość.

Metropolita Angiełowicz z swym kanonikiem Harasiewiczem (baron von Neuschtern) pierwsi zaczęli kierować Ruś w szpony białego cara. Oni pierwsi wprowadzili do cerkwi niektóre obrzędy szyzmatyckie, oni nakazali zjazdy księży po dekanatach; w dzień dla pozorów radzono o sprawach duchow-

nych, w nocy zamykano się w cerkwi, denuncjowano dziekanowi czynności każdego szlachcica, i przygotowywano sposoby pozbycia się szlachty, by został tylko „mir“ przeznaczony na szyzmę i szyzmatyckie swiaszczenniki. W roku 1809, wojska austriackie walczyły nad Dunajem, a jedyny korpus generała Pekinga z trzech tysięcy morawsko-czeskich nibyto ochotników (*Freicorps*) (zwanych *frei kurami* przez chłopów, bo mieli *frei* kraść *kury*), złożył broń pod Winiawką przed kilkuset szlacheckiej ruchawki pułkownika Czosnowskiego i Lwów przez jedynastu ułanów zdobytym został. Wówczas Angiełłowicz i Harasiewicz podali do rządu gotowy plan wyrżnięcia szlachty za pomocą chłopów. Plan ten został pono przez Chomińskiego w 1846 roku odszukany w aktach i wykonany. Po cerkwiach święcono noże a rząd rakuski w niepojętym zaślepieniu roboty te (dla niego jeszcze zgubniejsze niż dla nas) cierpiał i skrycie pochwałał.

Dosyć spojrzeć na pierwszego lepszego popa, na te ciemne włosy i oczy, na ukośne spojrzenia, krwawymi odbłyśki zdradzające w wnętrzach kipiącą nieprześląganą nienawiść, na ostrokątne brody zakrzywiające się ku nosom, na zielono-żółtą skórę, o rzadkiej czarnymi kopcami odznaczonych porach, skłoną do przyszycy i węgrów — by się przekonać, że to jest całkiem wynarodowiony ludek.

Hucułów poznałem dzięki Skarbkowi. Kupił on w głębi Karpat dobra Żabie sławne gniazdo opryszków w którym przed nim nikt mieszkać nie śmiał.

Skarbek przecież, kazawszy powyrywać żelazne drzwi i okiennice, a wszelką strzelbę wyrzucić, sam z lokajem po kilka tygodni tam przebywał. Byłem w Rożniatowie, gdy przyjechało kilku górali z młodycami płacić czynsz za pastwiska na połoninach. Lud to był piękny, chłop w chłopa jak dęby, po huculsku pojedynczo ubrany, zato „młodocyce“ w bogatym stroju, rosłe, cienkie, gibkie niby jodły, w siwych wysokich czapkach wyglądały malowniczo. Na cienutkie koszule, suto zawłóczką dziergane, spadały aż poniżej piersi złote, grube monety, zawleczone w kilka sznurów, których rząd jeden także na wskos czapkę opasywał. Przez gospodarstwo gościnnie przyjęci i ugoszczeni, mężczyźni odpieli trzosa, wysypując na stół 1000 dukatów, nowiusieńkiego czerwonego jeszcze złota. Gdy kasjer chciał liczyć, Skarbek nie pozwolił. „*Dobre mate panoczku*“, rzekła z dziwnym wyrazem w sarniem oku najładniejsza z młodyc „*to gospodari a ne pustaki*“. Nie jedna z salonowych pań mogłaby pozazdrościć swobodzie ruchów i spokoju tym hucułkom.

Pewnego razu Skarbek sprzedał szmat lasu, huculi dowiedziawszy się o tem, złożyli mu całą wartość sprzedanego lasu, byle ich jedli nie ruszał. Był to dowód przywiązania do ziemi.

Do trzydziestu lat każdy hucuł był pustakiem, to jest opryskiem i chodził na Wołoszę w odwiedziny do Żydów i do Ormian. Po trzecim krzyżyku zenił się z jaką hucułką i stawał się porządnym gazdą, niestety czasem i watażką polującym na dawnych to-

warzyszy. Czy dobry ezy zły obyczaj nie rozsądze, dosyć, że odwieczny. Nie bez powodu świątobliwy proboszcz z Felsztyna radził wytepić hucułów, bo to lud butny, a Karpaty innemi zaludnić osadami.

Gdy w Stanisławowie tracono sławnego Doboszczuka (a może Boiczuka, bo oba w jednym czasie zginęli) z kilkunastu innemi pustakami, kilka tysięcy hucułów zalegało błonie, żegnając ich dumkami, każdy skazaniec wstępował na drabinę, podając następnemu fajkę, ostatni Doboszczuk pociągnął parę kłębów dymu i rzucił między górali. Czerwoną harasówką spięta koszula lat wiele była żalobą górskiego ludu po swym bohaterze. Z Żabiego i wielu innych wsi czas długi nie brano rekruta, bo pustak wzięty w kamasje parę miesięcy sował, dumał i w końcu umierał z tęsknoty za halami.

ROZDZIAŁ XI.

PIERWSZA PODRÓŻ DO WARSZAWY.

Przy 30^o mrozu. — Kapłony p. Bazylego w Opatowie. — Przygody zmarzlucha. — Smutny wygląd Warszawy. — Na saskim placu. — Sanki W. księcia. — Przegląd wojsk. — Psie figle Konstantego. — Spoliczkowany Windischgrätz. — Obiady u Rozengartowej. — Ciocia Karczewska w Ciepeliowie.

...RAZ Brat Franciszek wziął mnie z sobą do Warszawy. Już to do niej szczęścia nie miałem! Jechaliśmy saniami czwórka, fornałem Maciek, na Szczucin i Opatów. Maciek pierwszy raz jechał tą drogą, lecz choć śnieg na pół łokcia często nakrywał ślady, ani razu o drogę nie zapytał i, jak wyżeł trzymając się wiatru, nigdy nie zbłądził. Muszę wspomnieć o jednym z noclegów, bo bardzo uwydatnia ową epokę. Już ciemnym zmrokiem Maciek palnął trzy razy z bata w Opatowie i zarył końmi przed zajazdem. Zajazd był całkiem zajęty, ale faktor widząc nasz kłopot, ofiarował się zaprowadzić nas do domu p. Bazylago, Ormiana, który chętnie widzi gości przyjezdnych.

— „Tam wszystko jest za darmo tylko trzeba prosić o wino, bo gospodarz lubi pogadankę przy kieliszku.

— Przyjęcie znaleźliśmy pełne gościnności. Na wieczerzę podano pyszne kapłony, gospodarz raczył nas uprzejmie i zapytał brata czy nie chciałby spróbować wina? — Przyniesiono 2 butelki zamśzone i dziwnego kształtu. Późno w noc trwała pogadanka, a gdy po rozkoszonym noclegu i doskonałej kawce brat zapytał o rachunek p. Bazyli roześmiał się.

„— Co Bóg daje, tem się chętnie bez zapłaty dzielę, tylko, jeżeli łaska, to pan zostawi za wino wzięte u kupca po 20 zł. flaszka“. Tym manewrem i wilk był syty i owca cała i gospodarz zadowolony.

Mróz trzymał dwudziestokilko-stopniowy, jechałem, a raczej wieźli mnie¹ w cienkich ciżemkach, pokojowym surduciku i bandyckim płaszczu z aksamitnym berecikiem na głowie. Wprawdzie matka dała mi na drogę naukę, bym w ciężkich razach brał drugą koszulę, poszedłem za nią skwapliwie, ale i tego dla rozpieszzonego pieszczocha było za mało. Zdawało mi się, że umarzę na śmierć i chociaż już Maciek, palnąwszy z bata, stanął na rogatkach, utraciłem nadzieję dojechania żywym do Warszawy. Mrozu było dnia tego 31^o. Rosengart był przepelniony, więc nas umieszczono w ogromnym, nieopalonym salonie. Białe ściany szły z śniegiem o lepsze, iskrząc się atomami lodu. W tej lodowni odtajałem do rana, a w nocy marzyło mi się, że mnie zamknięto gdzieś na Sybirze w lodowej jaskini, abym niedźwiedziom dawał lekcje matematyki! To znowu śniło mi się, że jestem na wspaniałym balu, a kobiety piękniejsze od aniołów, przebiegają jedna po drugiej, a każda, śmiejąc

się, podaje mi miseczkę lodów, mówi: „jedz, bardzo dobre od Lesła“ i wciska na gwałt w zamknięte usta. O anielskie me siostry, Warszawianki, złotowłose wietrznice, cudneście w waszych białych, kwiatami podpiętych osłonkach, ale czyż się godziło tak trapić przymarzającego do muru brata? O bracia Warszwacy, czyż można na 31^o mrozu w piecu nie palić? O matko Warszawo musisz mieć kawał lodu miasto serca, gdy po 17 latach niebytności wracające twe rodzone dziecko, tak lodowemi witasz uściskami! Od tej nocy brzydzę się, jak grzechem śmiertelnym, lodami.

Może dlatego Warszawa wydała mi się zimną, sztywną, odpychającą. Miasto iskrzącym śniegiem zasypane, wojsko nawet dziwnie wyglądało w skopcach, które mu Moskal na głowę założył. W zamkniętych kółkach i domach mej rodziny, jak u Krasińskich, Łubieńskich, Ossolińskich, w gronie młodzieży i oficerów, kwitnęło życie i ogień, ale po mieście, w teatrach i po kawiarniach snuł się gęsty szpieg i wszędzie odczuć się dawała łapa moskiewskiego niedzwiedzia, zostawiając tylko zupełną swobodę heterom Powiśla i strzygom furmańskiej ulicy, które w stroju Ewy z okien zapraszały na pięciogroszowe rozkosze. „Sołdat musi się bawić“ — mawiał wielki książe Konstanty.

*

*

*

Wyobraźnia moja upiększała Warszawę wspomnieniami księcia Józefa. Widziałem go przed plutonem

guidów w kurtce hułańskiej z czapłą kitą u czapki (haftowanej ręką księżnej Hortensyi), wystawiałem sobie księcia Józefa, wyjeżdżającego galopem z pod Blachy, w sobolej burce, zarzuconej przez lewe ramię, albo znów odbywającego przegląd szkoły kadetów na Nalewkach, czy też galopującego przed liniami wojska na saskim placu; więc teraz, chodząc po Warszawie, najchętniej zachodziłem na plac Saski. Było się czemu przypatrywać. O 8-mej z rana stawał od pałacu na lewo batalion polskiej, na prawo litewskiej piechoty, pod samym pałacem szkoła Podchorążych, na lewo od niej pluton artylerji, a do niego prawem skrzydłem dopierał czasem polski, czasem litewski półszwadron jazdy. Luzaki uwijały się z szczotkami i czernidłem, glancując buty i ocierając pianę z wędzideł i strzemion. Około 9-tej ukazywały się sanki, uprężone czwórką dzikich, myszatyh koników. Sanki stawały w ulicy, poczem wyskakiwał z nich Wielki Książę, zrzuciwszy bobrowy płaszcz choćby w najtęższy mróz, w pełnym mundurze. Różnym krokiem kroczył w czworobok, harknął „Jak się macie dzieci“ i zaczynał *smotr*. Na skinienie rozstępowały się szeregi, on zaś rozpinał tornistry, zaglądał w sakwy, olstry, i za najmniejsze uchybienie, posyłał oficerów pod białego orła. Potem znowu stawał na środku placu jak mistrz w balecie, łamał, zwijał i rozwijał piechotę, rzucał jazdą jak piłką, fukał się na szkołę Podchorążych i po dwóch lub trzech godzinach wrzasków, odjeżdżał do Belwederu, zawsze niemiłe po sobie zostawiając wspomnienie. Widzia-

łem oficera artylerji, posłanego pod białego orła, za to, że nie mógł znarowionego konia zmusić do kłusa.

— Kłusem, — harczał Konstanty.

— Kłusem, — krzyczał Hauke.

— Rysiom, — jęczał generał moskiewski, — a koń rwał galopem dalej.

— Za front! — krzyknął Wielki Książę — i oficer poszedł pod białego orła, gdzie się wcale nie nudził, bo towarzyszy bywało nie mało, a do Lesła dziesięć kroków!

Co dnia był raport w Belwederze. Każdy szedł tam jak na ścięcie, nie mogąc przewidzieć na jaką trafi chwilę. Pewnego dnia stanął tam sztabowy oficer 1-go pułku ułanów, z opowieścią powrotu z zagranicy; sumienie miał bardzo nieczyste, więc wąs pokręcał i szablą szturkał po ostrodze. Z nienacka wpada carewicz, oficer sprężył się jak struna.

— Jak się masz Tomicki? — harknął Konstanty.

— Zdrow, wasze carskie wielicestwo!

— Słuchaj Tomicki, czyś nie słyszał, kto to uszy podciął Austriakowi?

— Ja, wasze carskie wielicestwo.

— A kto to łeb uciął Prusakowi?

— Ja, wasze carskie wielicestwo.

— Chwat, chwát Tomicki — dodał Konstanty, klepiąc go po szlifach — dam ci pułk!

Innego dnia stanął tam dzierzawca ceł, zdaje mi się Mendrychowicz czy Nowachowicz. Sprawa była o kontrabandę okowity, przemycanej przez jakiegoś szlachcicę dla wojska. Carewicz był o sprawie uprze-

dzony, więc przybliżywszy podaną flaszkę do nosa, „acet“ mówi, podając Zandrowi, i tak idzie kołem, i każdy generał mówi, wachając, „acet“. Delator nie bity w ciemię, bierze także butelkę i z wielkiem zdziwieniem wykrzykuje: *Acet, wasze carskie wieliczestwo!* — i na tem skończyła się sprawa.

Bawiąc podczas kongresu r. 1815 w Wiedniu, W. ksiązę Konstanty manewrował swoim pułkiem kirasjerów, a chcąc, by szedł wpływ przez Dunaj, prosto na rzekę, puszcza go marsz marszem. Pułkownik ks. Windischgrätz, o kilkadziesiąt kroków od Dunaju, w którym połowa ludzi zostać by chyba musiała, zakrzyknął „*Halt!*“, czem rozwścieklony carewicz dał mu w twarz. Chociaż Konstanty był w swoim prawie, wielkie to wywołało oburzenie. Ale zanadto wysoko stał car, by bratu jego narazić się miano, więc po kilku okładach zimną wodą Niemiec został Niemcem, a carewicz carewiczem.

Gwałtowny, nerwowy, źle wychowany, często podcięty, nieznośnym był tyranem. Dwóch naszych oficerów — jak wiadomo — strzeliło sobie w łeb przed frontem. Dopiero bliższe zapoznanie się z naszymi obyczajami ochłodziło go, a wpływ księżnej Łowickiej mocno ukochanej, znacznie go uspokoił.

*

*

*

Wiejska kawa i Hotel Rozengartowej były żywymi jeszcze pamiątkami lepszych czasów Warszawy. — Pomimo trzech francuskich domów berło czystej polskiej kuchni trzymała Rozengartowa. Z uderzeniem

drugiej siadano do wspólnego stołu. Wchodząc, zwracałem zawsze trwożliwe spojrzenia na drzwi balowej sali, w której odmarzałem pierwszej nocy. — W jadalni było zwykle gwarno. Obiad o pięciu dobrze przyrządzonych potrawach kosztował 2 zł. polskie. Na pierwszym miejscu zasiadał wąsaty major Obuch, mąż gospodyni, po obu stronach Obucha siadali dwaj wyżsi wojskowi: Chłopicki i Sagatyński. — W niedzielę bywał znów barszcz, z białym drobiem, zwierzyną i szpik z olbrzymich rur. W piątek były sławne na całą Polskę, Rosengartowskie pierogi ze śmietaną. Nieprzywieźć z Warszawy karmelków od Lesła a wspomnienia o tych pirogach, było dać dowód bardzo złego wychowania. — Po obiedzie garsony roznosiły czarną kawę i fajki na długich cybuchach z bursztynami; nie przyjmując grzeczność nie pozwalała, bo to był dodatkowy traktament gospodarza. Przy fajkach zaczynała się żywa pogadanka, niedługa, bo zwykle jeden z panów czasu tracić nie lubiąc, w tajemniczonych słowach wołał do salonu Obucha, gdzie stół zielonem sukniem nakryty i kupa złota przed bankiem zapraszały do Faraonika dla strawności. To wszystko odbywało się, jak w szlacheckim domu na wsi, a zapomniawszy o lichej zapłacie można było myśleć że się jest u sąsiada. — Dawano się słyszeć masońskie „Panowie stół nakryty“, *Messieurs le jeu est fait*“ zamykało zaciętrzewione usta i już w ciszę padało stereotypowe „Kto gra ten przegra Kto nie gra, to nie wygra“.

Charakterystyczne jest bardzo, że w Kongresówce

nie uznawano ani zimy ani mrozu. — U mojej ciotki Pni Joachimowej Karczewskiej w Ciepielewie danem mi było widzieć jeden z ostatnich polskich domów. Obszerny modrzewiowy pałac z narożnymi basztami miał dach w karpia łuskę, brzegami złoconą, co w lecie ładnym być mogło. W bawialnym pokoju, stał komin trzecią część ściany zajmujący; od czasu do czasu dwóch stróży rzucało nań niełupane kłody sośniny, buchały płomieniem, że o kilka kroków nie ustał, ale cóż? przez wysokie okno szparami zadma miotła śniegiem i do pół salonu tworzyła zasnę, ściekającą do komina. Na kanapie starzy Państwo ciągnęli pasjansę, otuleni dobrze w pokojowe futra. Córki domu, ładne dygotały wraz z nami zębami, lub płonęły, zbliżywszy się do komina. W gościnnych pokojach drzwi i okna tylko się przymykały, zatem rozmarzeni ciepłem ognia na kominie, budziliśmy się w nocy, przesypani śniegiem z włosami przymarzniętymi do poduszek. Chciałem się zerwać, by choć połowę kozienickiej puszczy rzucić na komin, gdy dwoje ognistych oczu i ostre warknięcie dało mi poznać, że mój nieznajomy towarzysz życzy sobie, bym leżał spokojnie.

Przy śniadaniu uśmieano się serdecznie z mego przestraczu, bo to Rozbój i Tyran, gdy im nie dadzą dość słomy do bud, zawsze idą do gości przy kominku. — Nie mniej wesołości wzbudziłem w moich ciotecznych braciach, gdy zdobywszy butelkę wody, umywać się zacząłem.

— „Jacy wy Jabłonowscy musicie być niechluję kiedy się tak często myć potrzebujecie“!

Wolność osobista niczem nie była ograniczoną, w sali jadalnej, 30 kroków długiej, wisiało kilkanaście przerażających portretów, ciemnych zupełnie, z których proajce w deljach i pancerzach mierzyły nas wcale niegościnnym spojrzeniem, po środku stał duży stół na nim do 12-tej kto chciał to pożywał śniadanie po i 12-tej i pierwszym zadzwonieniu objad. Razem siadać do obiadu nie było zwyczaju, jedni siadali drudzy wstawali, każdemu inne podawano potrawy, a starzy państwo skończywszy obiad, szli do pasjansu, o nic się więcej nie troszcząc. Ale cóż to wszystko w porównaniu z ciotką Szymanowską, starościną Wyszegrodzką? W Izdebnie było daleko gorzej. Dom nowo murowany, biały, że aż za oczy chwytało, a kominy jaśniały białe jak nagrobki, żadnym dymem nie pokalane, już o ćwierć mili na sam widok tego domu mróz po krzyżach chodził. Cóż dopiero w pokojach? wprawdzie po kątach stały białe kafłowe piece, ale wynalazek palenia w piecu nie doszedł był jeszcze do Izdebna. — Do tego cioteczka Piotrowa Łubińska, pułkownikowa (francuska) Galiché, a kilkanaście lat odemnie starsze, ani myśleć nie pozwalały że się w swoim ciepłym pokoju ogrzać pozwolą.

Gdy Jacek Olbrzymi, służący mego brata, w dzień przy rozbieraniu raportował, że się Maćkowi nudzi w Warszawie, bo jakoś koniom woda nie służy, a brat pokończył interesa, puściliśmy się pewnego

w podróż, zaopatrzeni na podróż pięćdziesięcioma parami sarderek od Mazona (najmilszym darem jaki nam Warszawa zrobiła). Maciek porwał z miejsca sanie, konie pomknęły, aż grudy śniegu palnęły nas po twarzach niby ostatni pocałunek Matki Warszawy, strzelił trzy razy z bata i hura ha! na Ruś, gdzie woda zdrowa, gdzie w piecach palą.

ROZDZIAŁ XII.

DREZNO I WIZYTA U MICKIEWICZA.

Miasto bez powozów. — Niebezpieczny wynalazek. — Sykstyna. —
Emigranci polscy. — Dom pp. Orłowskich. — Mickiewicz. —
Jak wyglądał? „No, cóż tam słycać w Galilei?”

MIAŁEM lat ośmnaście. Po gorącym lecie, bo rok 1829 był kanikularny, matka chcąc trochę ochłodzić moją głowę i serce, wysłała mnie z Henrykiem Janko za granicę.

Oblecieliśmy z Henrykiem spory kawał ziemi, za-trzymawszy się dłużej w Dreźnie. Dzisiaj ma to być uroczce miasto, wtedy było małym, ciemnym, w czarnej chmurze węglowego dymu duszącem się gniazdem. Turkot powozu był tu prawie całkiem nie znanym, zato snuły się po ulicach po cichu lektyki, unoszone przez cytrynowych drągarzy. Zdawało się że to w jakim zapowietrzonym mieście, roznoszą chorych lub umarłych po szpitalach. Dziwna sprze-czność: dwa główne rynki miały już wtedy gazowe oświetlenie, a zapalki bez których u nas żaden chłop się nie ruszył, były znane tylko z opowiadań. Gdy, zepsuty Galilejczyk, obejść się bez ognia na zawoła-nie nie mogłem, zaprowadzono mnie po wielu wy-

wiadywaniach do laboratorium jakiegoś chemika. Stary wychudły Niemiec, w czarnej szlafmycy, powiedział mi najmniej sto razy *schön, schön* nim z uśmiechem zadowolenia oświadczył:

— *Diese hübsche Erfindung ist mir nicht fremd, aber in Sachsen noch nicht in Gebrauch.* Kazał przyjść za parę dni. Po upływie tychże wręczył mi trzydzieści nieogładnych smolaków, umaczanych w fosforze i stary kałamarz z kłakami napuszczonemi kwasem. Zapłaciłem talara a w dodatku dostałem ojcowskie napomnienie jak to trzeba być ostrożnym „*mit dieser höchst gefährlicher Art Feuer zu erzeugen*“. — Można było zrobić miliony zakładając fabrykę zapalek w Dreźnie, ale kto wtedy myślał o milionach?

Jedna Sykstyna przemówiła do duszy mojej w Dreźnie, ale jak ona słoneczna, w ciemnej mroźnej galerji czuć się musiała obco! U jej stóp stojąc, raz pierwszy przyszła mi myśl, że barwy nie działają na wszystkich jednakowo i pewnym być nie można, czy to, co inni widzą czerwonym drugiemu nie wydaje się zielonym. Mówimy oba zielone, bo nas ktoś tak nauczył, ale cóż możemy odmienić i niema sposobu przekonania o tem. Na barwę krwi oba weźmiemy karmin, tylko iednym wydaje się karmin czerwony a drugim zielonym. — Gdyby dwoje dzieci można nauczyć nomenklatury barw, nie przywiązując jej do przedmiotów jedno by wołało: „moja biała Mamusiu“, drugie „Moja ty niebieska Mateczko“.

W owych czasach było Drezno przytuliskiem przesładowanych, między innymi prowadziły dosyć otwarty

dom córki cesarza z wyspy Haiti' czarne ale kształtne. W ledziuchnych, białych sukienkach, ubranych czasem w grube perły, czasem w korale, wyglądały wdzięcznie, doskonale mówiły po francusku i z pa-ryska robiły honory salonu. Tylko włosy ach włosy! Jeszcze najlepiej im było w pąsowych lub poma-rańczowych turbanach. Mieszkało także w Dreźnie kilka polskich rodzin, jeszcze z pierwszym Sasami przybyłych. Pp. Ostrowscy, Błęszyńscy, Beierowie, Orłowscy.

W domu Orłowskich ujrzałem po raz pierwszy Mickiewicza. Sonety i Wallenrod były już roz-głosiły jego imię. Szczerze wyznać muszę: jeżeli z go-rączkową niecierpliwością zbliżałem się do tej osobi-wości, to znalazłem ją mało sympatyczną. Nic w Mic-kiewiczzu nie było wtedy takiego: Płeć żółta, zielon-kowata, pory skóry rzadkie. spojrzenie zarozumiałe, a ponure. Zimny, zepsuty hołdami, pozował ciągle. Tylko gdy mu się udało na chwilkę zapomnieć o so-bie, stawał się cieplejszym w ułożeniu i obyczaju. Rozmawiając ze mną, siedział trochę za poufale, w poręczowem krześle wobec towarzystwa, w któ-rem się znajdował.

Córka domu, ujmująca panna, podała Mickiewi-czowi filiżankę herbaty. Przyjął całkiem obojętnie: i skosztowawszy, oddał spokojnie stojącej mówiąc — „Za mocna!“.

Jak zbliżenie tak i poznanie nasze było lodowate. Mistrz, słusznie lekcewarzył wyrostka, a po przedsta-wieniu zapytał:

— „No cóż tam słycać w Galilei“ ?

Niechętnie dawałem sobą, tym mniej Galicyą pomiatać, Ojczyzna mogił i Karpat była mi droższą od innych dzielnic Polski, a co najmniej *equipar* Litwie, do której nigdy słabości nie miałem. Draśnięty przyjęciem w dość długiej pogadance pomściłem się po studencku, umiejac mego Byrona i Götego na pamięć (gdy wtedy między młodzieżą zwykle poezya i nauka z klasycyzmem dostarczała przedmiotu rozmowie). Skierowałem mowę na nich i jak od niechcenia recytowałem całe ustępy które on licząc na małą znajomość litewskiej publiczności w balladach zużytkował. Że to nas nie zbliżyło do siebie, nic dziwnego. Gdym później czytał „Pana Tadeusza“, gorżko drwiłem sam z siebie i z tej paniczowskiej buty.

ROZDZIAŁ XIII.

NOC LISTOPADOWA WE LWOWIE.

Poczta pantoflowa karczmarza. — „Moskał z Warszawy weg.“
— Lwów w ekstazie. — Komitet galicyjski i jego współpracownicy. — Pan Ksawery, pierwowzór Wincentego Pola.
— Umizgi austriackie. — Lobkowitz, Reitzenheim i Zagórski. — Metternich.

PIERWSZEGO grudnia 1830 r. siedzieliśmy u brata mojej przyszłej żony, na wsi o parę mil od Lwowa, przy herbacie i koniaku z fajkami papląc o niebieskich migdałach, gdy za lokajem wśliznął się ostrożnie Lukas, syn propinatora. Śmiały, jak każdy żyd gdy w pokoju ani psa ani strzelby niema, a panowie w dobrym humorze, zdjął jarmurkę a kłapnąwszy lewym kłapciem powiedział: „*Tatele krank skazał szczoby panom skazaty, że Moskał z Warszawy weg*“. Zerwaliśmy się, jak gdyby piorun między nas uderzył, — „pakuj! konie! bryczki! zaprzągaj!“ rotowym ogniem szło po całym domu i ciemnym dziedzińcu. W okamgnieniu latarnie, uwijały się baby, baty trzaskały, co kto złapał porywał i siadał na bryczkę. Po chwili zastanowienia zdało nam się niepodobnem, by żydzi tak prędko otrzymali wiadomość. Telegrafu

jeszcze nie było, ale Lejbuś kłał się pod „hejrem“, że „tatele“ wie dobrze, bo byli u niego żydkowie von Brody, więc konie z miejsca kopnęły jak szalone, bryczki jęły i po nocy błocie kałużach, zaspach, jednym galopem dotarliśmy do Lwowa. Już na rogatce przekonał się, że Lejbuś nie zwodził i że wiadomość elektrycznym prądem od karczmy do karczmy przeleciała.

Gdyśmy wpadli do Lwowa była noc późna, ale turkot kilku na przegon lecących bryczek nie obudził nikogo, bo ulicami było gwarno a z okien biły światła. W jadalni Hofmana mrowiła się ciżba, czy znany czy nie, krzyczał, opowiadał wiadomości, długiwał ile serce zapragnęło, zdawało się, że każdy ma po trzy butelki szampana w głowie a nawet szklanki nie było na stole. — Skoczyłem jednym skokiem na piętro do Broniewskich, u których grywano nocami w karty. Zostałem tam kilkunastu naszych w gorączce w szale, ale więcej od nas nikt nie wiedział. Niepewność dręczyła nie do wytrzymania, panowie z Patryjotycznego Związku zaglądali do nas po nowiny. Kawiarnie i cukiernie do rana stały otwarte, nikt nie chciał pójść do siebie by nie zasnąć jakiej wiadomości. Niemcy chodzili, jakby każdy zjadł łut trucizny na szczury. Wszystkich oczy paliły jak węgle, z ust odstawała skóra, nogi się trzęsły, laski, cybuchy pękały, jak trzciny. Półtora doby trwał stan taki, dokąd przyszły wiadomości pewne.

Ile razy zdarzenie wielkiej wagi niespodzianie zaskoczył jaki związek niemający bliskiego wytkniętego

celu powstanie w nim zamieszanie. Ile głów tyle zdań, spójność znika, całość rozpryska się w dzikim nieładzie. Temu prawu uległ „Związek patrijotyczny“. „Gmina nadwiślańska“ i nasze akademickie związki. Wszystkie się rozprężyły, a skoro wypadki Warszawskie całkiem się wyjaśniły młodzież lwowską, ta nawet co nie należała do naszego koła, zgarnęła się koło nas kilku, równie nieprzygotowanych, jak warszawscy Belwederczycy. Iść samym, wyprawiwszy ile będzie można, postanowiliśmy zgodnie: w dni parę otwożyliśmy drogę do Zamościa, co dnia kilkudziesięciu ochotników, między niemi ruscy ułani i Niemcy dostawali po 3 złote na podróż i przepustki do leśniczego, który znowu za dukata od sztuki przeprowadzał za granicę. — Tajemnie dziać się to nie mogło. Wkrótce hotel Hofmana wyglądał na kwaterę głównego sztabu, a miasto na obóz Wallensteina, konie w rynsztunkach, powstańcy w dziwacznych mundurach snuli się gęsto ulicami. Z dniem każdym rosła śmiałość, na miejsce dziesięciu wyprawionych stawało dwudziestu nowych. Pewnego dnia zjawił się u nas po przepustkę syn naczelnika tajnej policji komisarza Reitzenheima, a naczelnik Brezani, przez znajomych upraszał, byśmy jak najspieszniej wyprawiali i szli, bo sprowadzamy kolizję z Moskwą.

*

*

*

Gdy my się tak krzątamy starszyzna „Związku patrijotycznego“, zaczęła się skupiać około Ksawerego Krasickiego, przybyłego na pierwszy odgłos do Lwowa

i zawiązała „komitet lwowski“, którego osobistości nader ważne bym o nich zamilczał. Każdy obwód dostał po kilku kolektorów do zaciągania podatku, a na pierwsze potrzeby przysłał p. Tomasz Strzębosz 5 tysięcy złotych.

Komitet galicyjski składali w pierwszej chwili członkowie: Ksawery Krasicki, Ks. Henryk Lubomirski, Wincenty Tyszkowski, Izydor Pietruski i Jan Kanty Podolecki. Ks. Henryk Lubomirski, wiele zawdzięczający rodowi i stanowisku, był obywatelem, pełnym najlepszych chęci. Pięknych rysów twarzy, pańskiej postawy, wyższych talentów politycznych nie posiadał. Słabą jego stroną była żona, brzydka, złojęzyczna, chimeryczna Czartoryska, która go sobie posłusznym czyniła.

Ksawery Krasicki, znany całej Galicyi jako „pan Ksawery“, był za młodu towarzyszem na kresach (on to podaniami natchnął Mohorta, pod którym służył). Później był dryliszkowym — jak mawiał — huzarem za Kościuszki. W r. 1809 obskoczony przez „derdydasów“ (tak zwał Niemców), spuścił się z sanockiej skały schodami na koniu i, przepłynąwszy San wśród ciężkiej pukaniny, uszedł szczęśliwie. Gdy go poznał, dobrze po piątym krzyżyku, był średniego wzrostu, krępy, barczysty, od rana wytrefiony i wypudrowany, poufalszych żegnał i witał uściśnieniem kolan.

Zwykle otoczony szlachtą, serdecznie podejmowaną, mieszkał w Lipsku, polując i biesiadując po dawnemu. Jego osobistość, zwyczaje, opowiadania stworzyły —

nie cofam tego wyrazu — Pola. Dopiero zetknąwszy się z p. Ksawerym stał się Wincenty Pol sobą, a ta lackość, w której nikt mu nie dorównał i prawdopodobnie nie dorówna, była wpływem duszy p. Ksawerego, magnetyczną siłą, która wprowadzała błędną myśl Pola na prawdziwą drogę. — Znałem ich dobrze obydwoh i ukochałem, a dziś, gdy po raz setny odczytuję „Mohorta“, Winnickiego lub S. Kiślańskiego słyszę wyraźnie mowę p. Ksawerego. Nie mogę twierdzić że zmysł polityczny był dany p. Ksaweremu, jednak miał dużo praktycznego rozumu i bardzo zdrowy sąd o ludziach. Wincenty Tyszkowski, najbliższy sąsiad p. Ksawerego, prawy, światły, majątny, bezskazitelný stał się, rzekłbym, jego spowiednikiem i sumieniem, jego echem, potakującym półsłówkami. W niczem nie podobny do P. Ksawerego, był lzydor Pietruski. Rodu i majątku bardzo pomierne, najczęściej w czarnym fraku, białej chustce i kamizelce, ożywionej czarną wstążeczką od lornetki, (tz. żałoba po Sandzie), niski, pękaty, kwadratowy, na grubych krótkich nóżkach, o brzydtko wykrzywionej twarzy, byłby istotnym chochlikiem, gdyby poczciwość i zacność charakteru nie były mu jedną powszechnego szacunku. W owych czasach nikt do rządowej służby nie śmiał wstąpić. Prócz dwóch stanowych radców gubernialnych, nie było w całej Galilei i dziesięciu Polaków urzędnikami i, to nie z szlachty. Pietruski przełamał przesąd, ale pomimo istotnych zdolności, nie doprowadzał wyżej, jak do komisarstwa cyrkularnego, ulubionej posady najpodlejszych drani.

Sekretarzem i kasyerem komitetu był Jan Kanty Podolecki, również sąsiad pana Ksawerego. Niby szperacz, niby poeta (w r. 1844 czytał mi poemacik „Pisanka“, całkiem nie słabszy od Grażyny). Rudawy, mocno łysy, kędzierzawy z okrągłą, czerwoną, jak Bernardyn twarzą, chadzał zawsze w krótkiej bronzowej czamarze, wykrzywionych butach, za krótkich o wiele spodniach, bezzębny, rzadko kiedy umyty, nigdy nie zaczesany. Koło tych ludzi skupiła się starszyczna. Ściągać podatek, kupować broń, wysyłać ludzi, pośredniczyć między warszawskim rządem, a krajem i zagranicą — było zadaniem Komitetu.

Granica rosyjska była przez Austryę tylko dla formy obsadzona, więc w dni kilka komitet galicyjski już był w porozumieniu z rządem warszawskim. Z Austryą sprawa nie była trudną, szczerze nam sprzyjający Ks. Lobkowitz.

Sekretarzem prezydialnym był wtedy niejaki Zagórski, Wołoch, udający Polaka, we Lwowie wychowany, gładki, sprytny. Kolega Pietruskiego w politycznej służbie, stał się wkrótce jego powiernikiem i stanął wobec ks. Lobkowitza jak Pietruski wobec p. Ksawerego i komitetu. — P. Ksawery odprawiał co dnia długie konferencje z Lobkowitzem, udzielali sobie wiadomości, układali sposoby działania, rozchodzili się całkiem z siebie i położenia zadowolnieni, a popod niemi porozumiewali się Zagórski i P. Izidor, i robili co chcieli a raczej co chciał Zagórski. Stosunek taki mógł być dla sprawy naszej nawet

korzystny gdyby p. Izydor był wyrównywał wołoszynowi w przebiegłości, czego jednakże nie było.

Naczelnikiem tajnej policji w owej chwili był komisarz gubern. Reitzenheim. Pomagać skrycie powstaniu nienarządzając się Moskwie, a w razie pomyslnego końca mieć pewny tron dla którego z arcyksiążąt, było — jak wtedy myśleliśmy — myślą Metternicha, ona też kierowała Reitzenheimem. Lobkowitz był mniej więcej tak, zostawiony na boku przez Kanclerza, jak p. Ksawery przez Ks. Adama Czartoryskiego. Wola kierująca objawiała się Reitzenheimowi, ten w stosownych porach podawał ją Zagórskiemu, a przez niego po mistrzowsku panu Izydorowi. Temi drogami chciał oddziaływać Lobkowitz na rząd warszawski. Metternich oczekiwał od Polski rozpaczliwego wyteżenia sił, stanowczych czynów, wielkich zwycięstw. Przyjmował wprawdzie z uśmiechem i tajemnie noty z Warszawy, doręczane mu przez Ks. Konstantego Czartoryskiego i Ks. Ludwika Jabłonowskiego, ale czekał, nie narażając się Moskwie. Ks. Ludwik Jabłonowski opowiadał mi, że sondowano, na którym z arcyksiążąt austriackich społecząby nadzieja kraju? Ale rząd warszawski nie chciał wyjść poza okólniki.

Ufając więcej mieczowi niż dyplomacji, wyjechaliśmy przez Zamość, Lublin i Kozienice do Warszawy.

ROZDZIAŁ XIV.

NIE MASZ PANA NAD UŁANA!

Galileusze w Warszawie. — Pierwsze rozczarowania. — Na posiedzeniu Sejmu. — Honoratka i zapaleńcy. — W przedpokoju Chłopickiego. — Nareszcie w pułku! — Pierwsza noc w koszarach. — Ambitni szeregowcy.

NIE BYŁO tam natłoku w tej Warszawie, dostaliśmy kilka pokoi u Rozengartowej, a gdy wieczorem i mój tabor nadciągnął, było nas trzydziestu kilku w tych koszarach. Ubiór mieliśmy prawie wszyscy jednakowy, czarne kitle a siwe reituzy. — Dziś zdaje się mi musieliśmy być podobni do podpitej szajki wpadającej między trzeźwych, bo też to trzeźwo było w Warszawie. — Starsi na nas spoglądali z góry jakby pytali: „a was tu poco?“. Z młodzieżą z razu nie sympatyzowaliśmy wcale bo czyż to było możliwem gdy my mówili dorzuć trzasek na kominek „a oni“ ciśnij że tam wiurów na kominek. Co było śmiesznem nieprawdaż?

Gdy naszych z dniem każdym przybywało, hotele zaczęły się przepelniać, a i nasze koszary prawie na całego Rozengarta się rozlały. Prawdopodobnie przez Nabelaka, Belwederczyka, wszystkim nam dobrze

znanego Galilejczyka, wprowadzeni, zjawili się między nami Maurycy i Kamil Mochnacy, Goszczyński, Górski i inni.

Przy pierwszym wyjściu na miasto uderzy nasz sztandar wywieszony z balkonu ratusza, z napisem: „Dawną wyrocznię Lecha niebo nam ogłasza, Polacy to wasz Orzeł, to ziemia jest wasza“!

Prawdę mówiąc błakaliśmy się po Warszawie jak gdybyśmy byli przyszli do Pekingu, walczyć pod cytrynowym sztandarem Pei-hi-ksi, syna niebieskiego smoka przeciw pomarańczowemu znakom Ksu-tfu-he syna zielonego smoka.

Po bardzo przykrych (dla nas Galicjan) doświadczeniach z pułkownikiem Błędowskim, który chciał nibyto formować legię litewsko-rusko-wołyńsko-ukraińsko-podolską, postanowiliśmy po starych pułkach szukać awansu na szeregowców.

P. pułkownik Józef Zabielski z nami przybyły z Galilei namówił nas do 5-go ułanów. Ordynacja Zamojska była obowiązana w razie wojny wystawić pułk jazdy. Zabielskiego wzięto na pułkownika Sztab. pułku i kancelarja były w Pałacu Zamojskich nas 18-tu z Galilei zapisało się jednocześnie. Z moich bliższych byli tam: Grottger, ojciec malarza, Jan Żółkowski, Szymon Szymanowski, Juliusz Potocki, Krasicki, Tomasz Bogucki, Władysław Rozwadowski, Henryk Broniewski, Teofil Jordan, Seweryn Ober-tyński i Bielski z Lubelskiego. Umundurowanie dni kilka trwać musiało. Nim wyruszę do kirasierskich,

teraz naszych koszar, parę słów o polityce, bo raz w mundurze, to już o niej sza!

*

*

*

Przez pokrewnego Henrykowi Janko posła Obniskiego, zostaliśmy wprowadzeni na posiedzenie sejmowe. Wrażenie Izby Sejmowej było dla mnie przykre. Postawy wystudjowane, twarze zastraszone a zarozumiałe, słowa karmelkowane, wymowa adwokacka, wszystko urągało położeniu. Wypatrywałem Dantona grzmiącego: „Na koń lub na lance“! (bo to było dostatecznym), wyczekiwałem burzy podobnej do tej co trzęsły konwentem przy pasowaniu się stronnictw, ujrzałem karzełek a usłyszałem miódopłynne szepty. Wtem ucichł gwar, dał się słyszeć cichy szmer; z ławki przemawiał Ks. Adam. — W jego dyplomatycznej postawie, spojrzeniu bezdusznym, głosie beztonnym nie było nic męskiego, w mowie żadnego polotu, chwili porywu silnej woli lub przekonania.

Mała ciemna salka zwana po 29 listopada, nieumiem powiedzieć dlaczego, Honoratką, ulubionem była zbiorowiskiem ówczesnej demokracji. Mochnacy, Pułaski, Gurowski, Goszczyński Seweryn, mieli w tych zgromadzeniach głos przeważny. Znałem ich wszystkich mniej więcej, ich cele i myśli. Byli to młodzi ludzie, oburzeni bezczynem Rządu przeklinali go, widząc, że to chwila wymagająca bezwzględnej energii, ale ująć rząd w ręce, by przeprowadzać społeczne cele, nie było nawet ich marzeniem. Lelewel uczony niedołęga, w którego zdolność, sami niewie-

dząc czego, wierzyli, przypuszczony do udziału w rządzie wtedy ich najzupełniej zadowolnił. Późniejsza wieszanina nie po ich myśli przeprowadzona, była wybuchem rozpacz i zemsty za bezprzykładne niedołęstwo Rządu, Sejmu, Naczelnego wodza, ale chybiła celu gdyż oszczędziła właśnie skazanych. Wiem, że jeden z doświadczonych miał się rozliczyć z „Janem Czwartym“, co stało na zawadzie? — niewiem.

Pewnego dnia o dziewiątej z rana zaprowadził mnie Pan pułkownik Zabielski na karę do wysłużonego generała, Antoniego Potockiego z Monasterzysk; mieszkał on w saskim Pałacu w pokojach nieszczęśliwego Stanisława Potockiego, do śmierci zwanego Stasiem. Zastaliśmy tam pułkownika Skarzyńskiego już o tej godzinie wytrefionego, jak na bał lub wystąpienie, kościstego, mięsistego, dalej kłębiącego dymem z pod ogromnego węża gen. Wąsowicza, oraz dowcipnego, do obu strzelającego żarcikami gen. Morowskiego. Rozmawiano swobodnie, mówiono o wszystkim, tylko nie o wojnie, ten nie miły przedmiot omijano starannie. — Starszyzna wypaliwszy fajki poszła do pałacu namiestnikowskiego, gdzie był sztab główny, wszedłem za nią do pierwszych salonów, gdzie parę godzin przesiedziałem bawiąc się natłokiem wyższych wojskowych. Przez drzwi do jakiegoś tajemniczego pokoju wchodził i wychodził kilka razy jakiś sztabowiec średniego wzrostu, z stojącą do góry czupryną a paką papierosów pod pachą, był to szef sztabu Chrzanowski a za temi drzwiami pracował Chłopicki nad planami kompanji.

Gdy tak milcząc siedział, przystąpił do mnie jakiś zgrzybiały starzec w dziwnym mundurze, przedkościuszkowski gen. Dulfus. Chciał wstąpić do czynnej służby, ale snąc młodym niedowierzał. Był, jak każdy starzec, rozmowny, mówił wiele o Kościuszcze. „Jakoś tu porządniej wygląda jak wtedy“ rzekł rozgadawszy się, „daj Boże by się tylko nie skończyło na Maciejowicach“.

*

*

*

Nigdy nie zapomnę pierwszego wieczora i pierwszej nocy w koszarach. Dziwne zrobił na nas wrażenie sypialny salon całego szwadronu, czterema rzędami prycz opatrzony, kilku szabasówkami oświetlony. Tu szmer cichych pogadanek, tam szydercze „Moskalu kochany“, porykiwane chórem, szybami wstrząsającym, to jakaś ruska dumka jakby przez sen nucona, wśród brzęku szabel i ostróg włączających się żołnierzy. Były to dawne koszary kirasjerskie, więc w oczach mi ciągle stały moskiewskie kolosy, tak niedawno rozkładające się na tych pryczach. Wyobrażałem sobie co to za rwetes musiał tu być listopadowej nocy, gdy trąbki na zbiór zagrały. Prycza to wymysł szatański, sypiałem w życiu mojem na śniegu, grudzie na skale, ale tam wszędzie ruszyć się, wyciągnąć obrócić można, tego wszystkiego na pryczy nie wolno, bo się wymknie z pod śpiącego. Pierwszej nocy poślubnej z koszarami, spaliliśmy z Julkiem Potockim na jednej pryczy, tuż obok naczelnego wodza naszej szóstki sierżanta Sadowskiego. Zaszczyt dla rekrutów

był nie mały ale łoża szkaradne, całą noc ćwiczyliśmy się w gimnastyce, co on zasnął, to ja pokrzywiony wyciągałem nogi, a on zsuwał się na podłogę, co ja zadrzemałem, to jemu zdawało się że spada, trącał mnie a ja znalazłszy się pod pryczą zaspany nie mogłem się połapać, gdzie jestem. Choć przykre nasze położenie było jeszcze zazdrości godnem, bo gdzie jaki rekrut z starym wyjadaczem śmiał walczyć o koniuszek siennika? Tam wiarus leżał doł góry brzuchem z rozpartymi szeroko łokciami, a rekruckie ścierwo kuczało na podłodze, tuląc znużoną głowę to do ściany to do pryczy. Na pierwszy odgłos pobudki zaczerpnąwszy po pełnym hańście rumu włożyliśmy błogosławioną manierkę w otwartą rękę naszego wodza, wdzięcznie uśmiechnął się i odtąd lepszą opinię o naszej znajomości sztuki życia mieć zaczął. Przeznaczył nas do kuchni. Poszło nam to w niesmak, ale wódz kazał, leż w kosz grzybie! Ja sprawiałem mięso i łupiłem zdziwione ziemniaki, Julko skrobał marchew i warzył ryż z własnej kieszeni nabyty (rozrutnik był niepoprawny). Ryż miał być z rodzynkami, na mleku wypieczony, w rądlu obłożonym słoniną, a sownie cukrem i cynamonem posypyany. Gdyśmy się tak koło kuchni krzątali, wszedł Sadowski zastraszony, bo, jak się potem pokazało, od włoskich wypraw był wielkim nieprzyjacielem ryżu: „Bo to panie i rano i wieczór ryż, a na objad jeszcze ryż, aż się szkapom owsa zazdrościło“. Zawołał kuchcika który po nas objął fartuchy i kociołki. Niechętni poszliśmy na plac ćwiczeń. Tam nowe na nas czekały zawody

i zgryzoty. Potocki miał kobyłę szesnastej miary, czystej krwi angielkę. Przy pierwszym zejściu spłoszona porporcami kwiknęła i nuż na kozły, lanca poszła w lewo, ciasna ceratówka w prawo, Julko z wielką uciechą szwadronu przed samym frontem w śnieg a kobyła jednym pędem do stajni. Ja miałem, jak wszyscy nasi, pod galonkami ochotnika oficerskie guziki (miasto cynowych) rozsierdziłem tem rotmistrza Grzybowskiego (byłego naczelnika żandarmerji), który bił w] każdego panicza jak piorun w żelazo. Oburzony całym powstaniem, przedewszystkiem nienawidził Galilejczyków, przybyłych bez paszportów, jednak był to żołnierz twardy, miał przysłowie „Furda ha i cóż!“. Wąsy na czarno szwarcował z huzarska i okręcał je koło nosa, lecz czapkę na prawem nosił uchu. Więc Julko za kobyłę, ja za guziki przed frontem ostre dostawszy napomnienie, pojechaliśmy na objad nie do koszar, lecz do Kantego gdzieśmy rozszarpali parę befsztyków i połknęli parę butelek, by zapomnieć o owym ryżu, zostawionym żołdactwu na pastwę.

Kozackie ścierwo z Konstantego szkoły straszło czasami i po młodych półkach. Oficerowie dopiero co z podchorążych wyrosli takie same jak my smar-kacze, pomni szkolnych epitetów, chcieli je i u nas wprowadzić w modę. Wielkie było ich rozczarowanie gdyśmy przy raporcie oświadczyli iż żadnym podchorążym naszych galunków lekcewarzyć nie pozwolimy, ale za pierwszym wybrykiem wystąpimy z pułku i uszy im poobcinać spróbujemy. Grzybowski wpraw-

dzie wasy naszczerzył, ale pułkownik stanął przy nas i odtąd mieliśmy spokój, nawet wyraźny przywilej na oficerskie guziki.

Starszyzna naszego pułku była dość arystokratyczna. Karol Chodkiewicz i Konstanty Kownacki z Żużła byli porucznikami. Załuski i trzech Zamojskich podporucznikami. Maurycy Potocki, dwóch Janków, Włodzimierz Rozwadowski, Henryk Broniewski, wszystko co się do jakiego sztabu wkręciło, białe wypustki przy amarantowych nosiło rabatami. W pierwszym dywizjonie służyło ochotników na własnych koniach tak zwanych podchorążych 24-rech (między nimi nas z Galicji 14-tu), niebrakło nawet tajemniczej postaci. Konstanty czy August Zamojski służył jako prosty żołnierz. Do ogromnego, dwusiecznego przypięty miecza, zawsze chmurny, milczący, snuł się bokami jak odynec.

Zdaje mi się że 5-go lutego mieliśmy wyruszać w pole, zimno było krzepkie wicher i śnieżycy. Ułańska kurtka wprawdzie rabatami grzała, ale płaszcz nie podszyty mógł sobie zostać na kołku obok parasoła. Zaraz z północy zatrąbiono do obrokowania i zaczęto gotować, a my wlecieliśmy do bliskiej w ogrodzie kawiarni. Pułk kaliskiej jazdy także dnia tego wychodził, w salonie zastaliśmy kilkudziesięciu oficerów, zegnających się z swemi paniami. Był to pułk nadzwyczaj mocny, o dziesięciu szwadronach, a każdy szwadron liczył o kilkanaście rot nad normalny stan, dla nas smarkaczy jednak był śmieszny, bo miał czapki wutowane, które w pierwszej śnieżycy

osiadła na głowach, jak grzyby. Przed paru dniami pułk ten wchodził do Warszawy. Lud zachwycony widokiem niezmiernie głębokiej plutonowej kolumny woła: „niech żyją Kaliszanie“! a na to kolumna z jednej piersi odgrzmiała: „Niech giną Kaliszanie, Ojczyzna niech żyje“! Pyszne te szwadrony były zrazu źle prowadzone, tak że poszła w pośmiewisko, a wiara przezwiała Kaliszanów „kaltesanami“ (rodzaj warszawskich kiszek, albo też napojem Kalta Szale“).

„O Warszawo, słodka Ojczyzno i Lesła i Loursa, wołała byś nam dać na pożegnanie choć po kieliszku kapciachy, niż te lody i lody, a do tego bez cukru“ takeśmy do siebie szeptali po szeregach, obcierając lód z wąsów i stojąc na mrozie długie dwie godziny przed Namiestnikowskim pałacem, nim wyszedł stary generał Klicki, lustrator jazdy, rzucił okiem po froncie, przemówił słów parę do Gawrońskiego i lekkim kiwnięciem głowy dał znak, że lustracja skończona. — Gdy odszedł wzięliśmy „na ramię broń“ i rotami od prawego poszło się na Pragę. Julko Potocki był w infernalnym humorze, bo musiał rozstać się z ananasowym ponczem na zimno, który u Loursa po mistrzowsku sporządzano. Po każdej mustrze szliśmy tam obaj i ja próbowałem połknąć kielich „Belwederki“, ale ten rodzaj „aquavity“ był tak mocny, że nigdy połknąć się nie dał, bo nim doszedł do gardła parą w ustach się ulatniał, on zaś zasiadał przed szklankami ponczu i wynurzał przed niemi swoje kasarniane żale.

ROZDZIAŁ XV.

BITWA POD WAWREM.

Niedokończony rosół. — Na linii bojowej. — Wiarusy napoleońskie i dywizyon Skrzyneckiego. — 19 lutego 1831. — Grottger ranny, — Pięć dni o głodzie i chłodzie.

WYRUSZYWSZY z Warszawy, kwaterowaliśmy po wsiach, jednego z leż takich nie zapomnę do śmierci. Sztab nasz stał we dworze, a przy sztabie na służbie jeden pluton przy koniu, drugi w oborze rozsiodłany. Ja dowodziłem właśnie plutonem obrokującym, gdym przechodził po pod dwór. Pułkownik kiwnął na mnie, bym przyszedł na rosół z kury, specjał to był niedziela po kluskach z otrąb, spożytych na obiad, lecz, ledwie popieściłem spojrzeniem udko kryjące się w lanem ciasteczku, padły za wsią od wedet strzały; spojrzawszy smutno na talerz, skoczyłem do mego plutonu i zdrętwiałem wszedłszy do obory. Wiara, usłyszawszy strzały, rzuciła się do koni, te spłoszone, z sakwami na pyskach rozbijały się po ciemnej oborze. Wyobrazić sobie proszę trzydziestu ludzi (pewnych, że już Moskwa siedzi na karku) uganiających po ciemku za trzydziestoma, spłoszonymi i duszącymi się w sakwach, końmi. Istny sądny dzień! W tej chwili kilku Czarnomorców mogło cały pluton zabrać

do niewoli. Na szczęście Gawroński, domyślając się nieporządku, przysłał żołnierzy z latarniami i bez szwanku wyprowadziłem pluton. Grandegarda odpędziła tymczasem Kozacę i skończyło się na połamanych lancach i poszarpanych sakwach. Wszystko się znalazło, ale moje udko w rosole, co z nim się stało? Dopytać się nie mogłem, jeno posądziłem adjutanta pułkownika Biłka, że sobie moją własność przywłaszczył, łakomiec! Po tym noclegu nadciągnęliśmy do pięknie zabudowanego dworu, kazano rabować pałacyk jakiegoś moskiewskiego generała, męża krewnej Potockiego, wielkiego łotra, (jeżeli dobrze pamiętam) Morenhuma. Rabunek ułański rzecz wcale nie straszna; parę szyb wybitych, parę tafli wyrwanych, kilka kiełbas i szynki zdobytych na klucznicy, kilka buziaków, wycalowanych pomimo zakazu, stanowiło całą zgrozę czynu, ale krzyk i lament był niemały, podroczzone psy ujadały, spłoszone kury w niebogłosy krzyczały, uciekające koty pomiędzy nogi się snuły, stara klucznica, klęcząc, oddawała swą cnotę pod opiekę Częstochowskiej Paniarki, a ekonom z flachą słodkiej wódki, wścibiał się pomiędzy wiarę błagając o pomiłowanie. W minut parę wiara zapomniała o rabunku i zasiadła do stołu.

Długo staliśmy odtąd w czystym polu, a srogi głód nas trapił. Konie żyły bożą łaską, popręgi wisiały na sześć cali pod brzuchami, słabielśmy, jak psy na płotach. Siedemnastego lutego 1831 w nocy dygocząc w polu, słyszeliśmy bez przerwy szosą dudniące kolumny naszych dział i wozów z amunicją, serce

rosło bo to była zapowiedź blizkiego spotkania. Nad świtem ruszyliśmy także, szliśmy borami. Ambulanse i wozy z rannymi miały nas ciągle w oddaleniu, na przodzie grały działa. Wyszedszy z lasów na pole ujrzelśmy 4-ty pułk strzelców w dywizjonowej kolumnie, stanęliśmy za nim jak za murem, za nami rozwinęły się w sześciu szwadronach lubelskie krakusy. Do nas na prawe skrzydło doparł dywizjon karabinierów Szejdego. Jako starszy podpułkownik objął nad nami dowództwo. Takiego pułku jak ten żadna armia na świecie nie miała, i mieć nie będzie, jednego żołnierza nie miał bez krzyża, z Italji, Moskwy, Hiszpanji, St. Domingo; były to pełne chwały niedobitki, każdy po kilka razy stał przed Cesarzem. W ogniu posuwając się frontem, trzy łokciowe między sobą trzymali odstępy, by napastnym kulom wolny zostawić przelot. W największej biedzie u nich był dostatek, bo każdego żona była markietanka i mężom dowoziły hojnie. Nie marniał pułk stojąc przy nich, ale brzydziły się sknerami. „A dla kogo skąpisz Paniczu? dla Moskala?“, mawiały do nas, biorąc po 10 zł. za szmat kielbasy, lub manierkę rumu, a czasem i dukata, gdy natłok przy wózku był wielki. „Niema czasu zdawać! — weź Panicz bułkę z szynką w dodatku“, brało się dziękując. Póki były dukaty.

Nam młodym zdawało się obelżywem, choćby ze strategicznych względów, cofać się przed Moskwą, dlatego dziwnie rozstroił nas widok dywizji Skrzyneckiego, cofającej się po rycerskim boju z pod Dobrego. Dywizja szła pomiędzy nas wolnym krokiem.

za nią zwinęły się strzelce konne, za niemi krakusy, a my zostaliśmy w tylnej straży. Po lewej stronie szosy my, po prawej karabinierzy, przed nami po plutonie pieszej artylerji. W minut kilka łysnęły nam w oczy moskiewskie działa, z któremi nasze ożywioną rozpoczęły pogadankę. W jakie pół godziny po przejściu Skrzyneckiego zaczął się i nasz odwrót. Cofa- liśmy się kolejno, zawsze jednym plutonem dział od- strzeliwując się Moskwie. (Kłamie, kto twierdzi, że mu w pierwszym ogniu było tak przyjemnie, jak w salonie obok złotowłosej kochanki), jednak szło wszystko w wielkim ładzie, chociaż Moskwa z dwóch baterji dział do nas paliła. Musiała strzelać pod zbyt otwartym kątem, bo granaty to nas przenosiły, to nad głowami pękały, a rzadko który pomiędzy nami warchotał. Wtem jeden padł pod działo, zgruchotał lawety i koło a jednego artylerzystę śmiertelnie ranił. Wstrzymał się odwrót, chciano wywieść działo, gdy jakiś pułk moskiewski, prawdopodobnie konno-tatarski (bo miał proporzec, jak nasz drugi ułanów) przyspie- szył kroku, by go zabrać. Gawroński postąpił z nami na spotkanie, ale ledwośmy się zetknęli, oni, ujrawszy naszych karabinierów, idących w ich fłankę pierzchnęli jak na komendę: działo jednak, pomimo zapaśnych kul i nadludzkich wyteżeń obsługi, na tej przeklętej oraninie z miejsca ruszyć się nie dało i zostało straconem. Jako ostatnie pomazanie rzucono nań biała chorągiew z napisem: „Za naszą i waszą wolność“.

W odwrocie mało traciliśmy ludzi więc dzienniki warszawskie, nazajutrz Moskwie ostre dały napomnie-

nie, że jej działa górują, pod Wawrem miały się porwać. W borach, pogoń moskiewska ustała. Armia stanęła na błoniach okalających Warszawę, nasz pułk został w pierwszej linii, dając wedety i rozsyłając patrole.

*

*

*

Ośmnastego lutego 1831. wieczorem stałem z półpułtonem w grande-gardzie, drugą połowę rozciągawszy w łańcuch wedet, rozmawialiśmy przy koniach z Grottgerem, gdy on twarzą zwrócony ku Warszawie, nagle krzyknął, ujrawszy widok bardzo tajemniczy. Wielkie światło podnosiło się szybko w górę, zrazu myśleliśmy, że to meteor ale ogon iskier przekonał nas, że to raca wzniosła się wysoko i siedm niebieskich kul rozrzucawszy po niebie zgasła, nad samą Warszawą. Stoimy jeszcze zagawronieni, gdy słyszymy w lesie szum, a o dwieście kroków od nas a może o sto od wedet, wznoszą się całkiem podobne do tamtych trzy race i na znacznej wysokości pękają z wielkim łoskotem. Oddawszy Gdowskiemu komendę, poleciałem zameldować zjawisko stojącemu nieopodal pułkownikowi. Gawroński w ten moment wysłał pułkowego adjutanta do głównego sztabu, gdyż nikt nie wątpił, że to jakieś telegramy Moskwy. Wedety raportowały ciągle, że z boru dochodzą ciągle szelesty, ale patrole wysyłać ciemną nocą w ciemny las, było czystem niepodobieństwem. Nieznośną noc przestaliśmy na koniu.

Po całym dniu mokrej mgły, wieczorem rozjaśniło się niebo i jarki chwycił przymrozek. Cały nasz pułk w przedniej straży był bez ognia, nawet fajek nie paliliśmy, a wszystko o wielkim głodzie. Wedety często alarmowały i szło ciągle: „na koń“ i „z koni“. Gdy szarżę zaczęło, usunięto nas ku Wawrowi na łąkę. Około ósmej zaczęło być gwarno na całej linii, naprzód z borów moskiewskie, potem nasze działa zagrały pobudkę.

Nasz pułk stał o jakie dwieście kroków za dużą, murowaną karczmą, a jeszcze o paręset kroków za nią pod lasem bielił się wśród niskich zarośli piaszczysty pagórek; w okalających gąszczach gnieździły się rude szynele, od czasu do czasu paląc ku nam, ale w owych szczęśliwych czasach nie znano iglicówek, a karabin na taką odległość dużo pukał, ale mało stukał. Ukryty za karczmą stał pluton z baterji Piętki, zakryty całkiem karczmą, milczał zawzięcie, gdy inne po polu rozsypane odpowiadały moskiewskim baterjom. Traciliśmy dużo ludzi, mało od rdzennych, więcej od rykoszetowych strzałów, którym pole bardzo sprzyjało. Gawroński suwał nami jak po szachownicy, ale to mało pomagało: „Karabinierzy stali po swojemu prawie o sążęń koń od konia, więc się wcale z miejsca nie ruszali, koło południa pułk dragonów wysunął się z boru. Szwadron odrazu rozsypał się w flankierkę. Z naszym szwadronem szło im bardzo zgrabnie; robili ósemki, gdy jeden strzelał, drugi nabijał, w końcu ta pukanina znudziła Szejdego, zatrąbiono nam odwrót, a półszwadron kara-

binierów ruszył z miejsca. Stara wiara nie tańczyła ósemkami, ale każdy kłusem poszedł na swojego, i ledwo kilka razy błysły długie łaty, a ruskie dragony, jak spłoszone gawrony, znikli w lesie. Dwóch tylko przewracało koziołki na polu, jeden w same piersi pchnięty konał w przerażających konwulsjach. Przypomniało mi to, opowiadaną przez Seweryna Fredrę szarżę Starej Gwardji pod Hanau; szła ona tyraljerką bez strzału „ot tak jak na bekasy“ (mawiał) i jak od niechcienia zmiotła głębokie kolumny Bawarów.

Zaraz po tej flankierce miałem bardzo przykre zdarczenie. Stojąc przed frontem widzę, że Ruszczak, mój ordynans, (stary wiarus, któryby i karabinierom wstydu nie był zrobił), cofa konia za front, oddaje go wraz z lancą trębaczowi a sam rozciąga się na śniegu. Nim lekarz pułkowy pocziwy Hofman stanął nad nim, już nie żył. Działowa kula tak lekko uderzyła go w brzuch, że sama pod nogi konia padła, ale żołądek i wątroba pękły. Tak piękną i spokojną śmierć daj Boże każdemu! Z południa pułk naszych strzelców na swoich koniach, poszedł eszelonami na las, przez tyraljerów tylko przeleciał, ale w minut parę ostry, dowolny ogień zagrzmiął w lesie a nasz pułk w rozsypce wyleciał na pole i za frontem karabinierów sformował się na nowo. Jako smarkacz pojąć nie mogłem tej szarży na las, naszpikowany piechotą, niby gołą pięścią w gniazdo szerszeni, a dziś, stary także zrozumieć jej nie mogę.

Po tym wybryku na samym płaskim grzbiecie pagórka pojawiły się bataljony, a wśród nich jakiś generał ruski otoczony licznym sztabem, sztabowiec podał mu perspektywę, a on zaczął nią wodzić po naszych liniach. Snać nasze działa spodziewały się podobnego zjawiska, bo w lot wysunęły się z poza karczmy, i strzał po strzale plunęły kartaczami w sztabowe kółko. Zamąciło się w niem, aż oczom spojrzeć przyjemnie! Jeden z pierwszych padł biały arab generała. Sztab znikł w lesie, a rude szynele pierzchły po kilkunastu strzałach, jak gawrony. I nas ruszono ze stanowiska, przy jednym załamaniu się trójkami, jadąc obok kolumny słyszę, że Grottger zaklął po francusku i widzę, że zsunął się z konia; dostał silną kontuzję w udo, ledwo padł na ziemię, już trębacz był koło niego, a ambulans o kilkanaście kroków, więc w minut parę odjechał do Warszawy w karecie zbryzganej krwią ciężko rannych, (w oczach mi stoi moskiewski major z urwaną wyżej kostki nogą białą kością z spodni wyszczerzoną). Nad wieczorem mieliśmy przechodzić jakiś mostek; w krzyżowym ogniu zrobiło się tam tak gorąco, że w pierwszym plutonie zakłabiło, i w nieładzie to ciskał się na most, to zwracał; pułk cały mógł być w ten nieład porwany, ale podoficer Jaszczułg zarył konia na moście w największym ogniu i z pistoletem w rękę zakrzyknął „stać“. Opamiętało się czoło, i porządek przywrócono. Wawer wzmocnił odwrotem zachwiane wojska w czystym polu. Odparliśmy dwakroć silniejszą Moskwę i z boru wyjść jej nie pozwolili.

Po tej bitwie pięć dni wśród przedniostrażowych utarczek i nieznaczących pukanin leżeliśmy patrząc na Warszawę, ale o zimnie i głodzie. Razu jednego ktoś woła mnie za front i podaje haust rumu oraz kawał razowca. Dobrodziej był mi całkiem nieznanym, z innego szwadronu; innego dnia znowu, mój i Potockiego juczny ciura Urbański przywiózł nam i podał w dość ciepłej chwili butel miodu i surowy ozór, ale to była jego ostatnia usługa, musiał zginąć, bo był bardzo ciekawy, nie ręczę czy nie szukał po kieszeniach poległych za rzadkimi numizmatami; dość że przepadł, a z nim nasze dwa luzaki i juki. 23-go lutego mieliśmy także zabawne widowisko: Cudem ostało się na błoniu parę stert siana. Czarnomorcy z jednej, Kaliszanie z drugiej brali na sznury, już na koniach pokłócili się przy pożegnaniu. Kaliszanie w nogi, Kozacza za niemi. aż przykro było patrzeć, więc Gawroński naszemu szwadronowi kazał zrobić porządek, obeszlśmy ich składnie i ułowili tylko ośmiu, reszta uszła, a była ich cała sotnia. — Wielka to była przyjemność, przycupić takie rybki. Jakie to słodkie robiło oczki, a z pod wąsa uśmiechało się, niby panienka całą sprawę w żart obracając a od niechcienia powtarzając: „Pożałuj Batuszka, my nie Rusy“! Adam Rzewuski syn Waclawa, był ich atamanem, jak w 1812 r. Platów. Ten Rzewuski, w tureckiej kompanji na rozkaz W. Księcia z pomiędzy trupów wydobyty i jego kosztem z ciężkich ran we Włoszech uzdrowiony, z wdzięczności stał się Moskałem. Podług praw odwetu powinni byli Czarnomorcy

podyndać, bo naszych (jak ich nazywali) „Chropasów“ przed paru dniami dwóch na Saskiej Kępie przewietrzyli, ale że Lach się stryczkiem brzydzi, więc jeńców odesłano na Pragę.

Później brałem udział w bitwach pod Grochowem i Ostrołęką.

ROZDZIAŁ XVI.

O DYPLOMACJI I O CHOLERZE W WIEDNIU.

Z depezbami do Wiednia. — W zadżumionej stolicy Austrii. —
Audjencja u cesarza. — Powrót do Galicji. — Lwów się
bawi!...

...GDY armja ściągała się pod Bolimów, zostałem wysłany z depezbami do Marszałka Maisona i Ks. Konstantego Czartoryskiego. Po wielu przykrościach dojechałem do Wiednia i zastałem tam wielu naszych oficerów z korpusu Dwernickiego. Jechali do wodza, który był osadzony w Gracu, czy też Lincu. Kazano mi czekać na odpowiedź mającą przyjść podobno aż z Paryża. W dni parę wybuchła cholera, była to moja dobra znajoma z obozów, szczególnie między Moskwą wielkie robiła spustoszenia, podczas utarczek, kilku czasem kilkunastu zostawało na polu konających w męczarni, ale nam tyle nie dokuczała, może być że z powodu przymusowej diety. Byłem w kawiarni, gdy pierwsza wieść się rozeszła o dwóch wypadkach śmierci, twarze wyciągnęły się i pozieleniały, większa część śniadających odsunęła z wstrętem zaczętą kawę z obawy przed niewinną śmietanką. Na taki stan umysłów trafiwszy, zaraza zabójczo działać musiała.

Do tego czas był chmurny, dżdżysty, zimny; od świtu w wszystkich kościołach rozbijały się dzwony, i nieprzejrzane tłumy ludu ciągnęły procesjami. Ksiądz szedł z wzniesionym Przenajświętszym Sakramentem, cesarz, następca tronu lub który z arcyksiążąt postępowali przy nim z odkrytymi głowami, przerażony lud śpiewał litanje lub głośnym zawodził żalem, słowem miasto więcej do cmentarza, niż do szalonego Wiednia było podobne. Wielka część Niemców padała na cholereę ze strachu, lekarze zamknęli się na rygle i najbogatsi umierali samotni, bez żadnej pomocy. Tylko nasi wojskowi lekarze, których było kilku z korpusu Dwernickiego, szli do chorych bez namysłu. Szczególnie odznaczał się młody sztabowy lekarz Drake. Ile razy na ulicy pojawiła się niebieska wstążeczka naszego krzyża, przechodzący odkrywali głowy z uszanowaniem; gdy kto zasłabł, z pomieszkania uciekali domownicy, mało kiedy i najbliżsi zostawiali krewni; czarny krzyż wywieszano nad bramą, masy chloru rozsypywano po sieni i schodach, a gdy skonał, często wynoszono go na ulicę, i podpierano o ścianę, gdzie czekał na furgony uwijające się ulicami, jak ambulanse po bojowisku. Iluż tam, iluż żywcem zakopano? iluż przyszedłszy do przytomności wydobyło się z pod sterty trupów, i uciekało do domu. Co tylko w ludzkiej sile robiono, żeby zabójczej jędzy przysporzyć ofiar. Jestem pewny, że Florencja podczas sławnej dzumy nie wyglądała straszniej od Wiednia. W Warszawie, we Lwowie

była cholera równie zabójcza, a nie mówiono prawie o niej, gdy w Wiedniu ze strachu padano na ulicy.

* * *

Gdym tak w Wiedniu siedział jak na szpilkach, oczekując spodziewanej z Paryża depeszy, doradzono mi, bym skorzystał z tej żmudnej niewoli. Bo tymczasem położono w kraju sekwestr na mój majątek. Hr. Łazarski mój dobry znajomy, natenczas komisarz cyr., najechał dom, w którym nieraz tygodniami gościł, zaprowadził sekwestr i zapieczętował kasę, zwołał wszystkie gromady i oświadczył, że odtąd jako buntownika już mnie słuchać nie potrzebują. Zapewniając też chłopów, że cesarz, będąc bezpośrednim ich panem, jako najmiłościwszy ojciec prosi, by, jakie tylko mogą mieć do mnie pretensje na piśmie podali, a on je bezzwłocznie zaspokoić każe. Ta przyjacielska usługa była dla mnie powodem wielkich przykrości; chłopci dotąd życzliwi, rozłechtani takimi obietkankami, powikłali mnie w nieskończone procesa, a gdy je przegrali, znienawidzili mnie, stali się mymi szpiegami, denuncjantami, łapali przejeżdżających uchodźców, nareszcie sprowadzili polityczno-inkwizycyjną komisję, która półtora roku dopiero w domu mym siedziała. Otóż Ks. Ludwik Prus Jabłonowski, wychowany w domu moich rodziców, wielki przyjaciel mego brata, namówił mnie, bym prosił o audjencję u cesarza i sam mi ją nawet wyrobił.

O 7-mej zrana wszedłem do salonu drabantów, u drzwi stojący podkomorzy służbowy wpuścił mnie

do gabinetu. Cesarz Franciszek średniego wzrostu, chudy, z siwymi włosami na uszach i nosie, z wiszącą habsburską wargą, w białym mundurowym fraku, czerwonych opiętych spodniach, opinających za szeroko wychudłe nogi, w węgierskich butach, postąpił parę kroków ku mnie, zapytał z dobroduszością o moją sprawę, uśmiechając się i potakując głową. Atoli gdy usłyszał, że wracając, zameldowałem się u austriackiego konsula w Krakowie, rzekł mi czysto wiedeńskim akcentem:

— „*Lieber Graf, da haben Sie mir wiederum eine Dummheit gemacht, jetzt wissen die Leute alles*“ — a po chwili namysłu dodał:

— „*Na, na, seyen Sie guten Muths, die Geschichte ist aus, Warschau ist gefallen, es lässt sich schon machen, ich gebe dem Lobkowitz ein Wink und der ist euch gut*“.

Gdym na ciężką wieść o wzięciu Warszawy (o czem nikt jeszcze nie wiedział) pobladł i skłoniwszy się nisko wychodził, cesarz dziwnie spojrział na mnie, położył mi rękę na ramieniu, mówiąc:

— „*Junges Blut, Anders konnte es nich enden, und jetzt müssen sie zum Slednicki gehen, der alte Herr soll sich comod ausplauschen. — Adieu.*“

Ta krótka audjencja odmalowuje cały charakter człowieka. W domowym pożyciu całkiem dobroduszny i skłonny do dobrego, całe życie robił to, czego robić nie chciał; złe duchy Austrii, Thugut, później Metternich, tyle mu kijów w koło nakładli, iż czując

się za słabym, wyrzekł się wszelkiej samodzielności, stąd to jego ulubione „*wir werden schon sehen*“. Najmilszą jego rozrywką były audjencje, z całego Wiednia ściągał się na nie motłoch, a on cierpliwie wysłuchując niestworzonych bredni, pocieszał i często pieniężnym uradowywał datkiem, lecz na tem kończyło się wszystko, cokolwiek ważniejsze sprawy zbywał ulubionem „*wir werden schon sehen*“. Nie było może w Wiedniu człowieka więcej wtajemniczonego w domowe plotki, Wiedeńczycy ubóstwiali go, wszystko zło składając na ministrów lub na cesarzową, oddaną Jezuitom, a tysiączne o nim chodziły opowiadania malujące jego pocieszne usposobienie.

* *

Niewymownie smutny był mój powrót do Lwowa z Wiednia, gdzie zostawiłem przybyłego później z depeszami Agenora Gołuchowskiego, by czekał na gołąbki wpaść nam w buzię mające z Paryża. Od Krakowa korpus Romaryna już się był rozsiał po kraju, a serce się kurczyło patrząc na te niedawno zwycięskie mundury i męskie twarze idące w poniewierkę. Mogiły Grochowa, Ostrołęki, Woli, jakże się musiały z radości krwawą zapocić rosą.

We Lwowie zastałem gwar wielki, około 10 tysięcy wychodźców snuło się miastem. Nasz komitet pod trzecim numerem u Hofmana obradował bez przerwy, rozdając pieniądze, ratując prześladowanych, przedewszystkiem obwinionych o namawianie do de-

zercji cesarskich żołnierzy. Niemcy chcieli ich sądzić podług wojennego prawa i karać stryczkiem. Na poczciwego Jana Drohojowskiego mieli największy apetyt. Moskiewski pułkownik Breindel a po nim Kocebue, gospodarowali we Lwowie i na to nastawali uparcie; skończyło się na niczem, bo czasy prześladowania dopiero nadejść miały.

W naszym lwowskim komitecie nic się nie zmieniło, pan Ksawery srożył się, chciał reorganizować korpus Romaryna, wzmocnić go naszym zaciągiem i iść w zabrane prowincje, z wojsk moskiewskich ogołoczone; Tyszkowski mrużąc, potakiwał głową, a pan Izidor mając wszystko za ocalone, (gdy ks. Adam i Sejm w Paryżu) mrugając oczkami latał co moment do Zagórskiego, pana Ksawerego nie spuszczać z oka, który jak dawniej konferował z ks. Lobkowitzem, mniej nieprzychylnym jego planom, jakby się po gubernatorze spodziewać można było. To usposobienie księcia spowodowało jego odwołanie z Galicji, gdy polityka Metternicha otwarcie na całkiem inne wstępować zaczęła tory.

Huczny i wesoly, jak śmiech w malignie, był Lwów po upadku powstania. Wielu panów z zabranego kraju miało jeszcze pełne złota szkatuły, a wszyscy nie myśląc o jutrze a o wczoraj chcący zapomnieć, szaleli do otumanienia. W zajazdach, kawiarniach, cukierniach huczało jak w ulu, wszędzie czapka była na uchu i gorący animusz, jakbyśmy dopiero co wrócili z zdobytego Kremlina. Rozpacz, stan taki tłumaczy dostatecznie, trudno rozhulanego konia osadzić

w miejscu, trudno myśl rozbująłą okiełznać na skienienie.

Zalew Galilei przez wychodźstwo, dwie smutne pamiątki zostawił po sobie: szulerkę i oszczerstwa. Gdyby kto o 8-mej zrana był się przeszedł po mieszkaniach, byłby ujrzał jednych już przy stoliku, innych leżących ale wszystkich z kartami w rękach. Grotus, pułkownik wolnych strzelców u Dreznera na dole trzymał dom otwarty, jak każdy gracz z rzemiosła gładki, w obejściu ciepły, serdeczny, do tego ceniony jako dobry żołnierz i poczciwy człowiek (bo dziwnym dziwem dawniej szulerka z poczciwością czasami chodziła). Wypiwszy kawę, z fajką na długim cybuchu, siedział za zielonym stołem i wysypawszy kupę złota około 9-tej zrana otwierał posiedzenie, a mieniając się w Banku z Hornowskim, zamykał je często dopiero po północy. Grało wszystko, co żyło i miało pieniądze.

Z wiosną roku 1832 zamieszkałem, żonaty już, u siebie w Lubieniu. Kąpiele były też przepelnione wychodźcami i także grano w karty od świtu do nocy i od nocy do świtu. Hulano, tańczono, kochano się, o kąpielach mało kto myślał. Faraona czasem i przez sen ciągniono. Mieszkałem o $\frac{1}{4}$ mili od zakładu. Czasem o 7-mej z rana przybywały odwiedziny, nakrywano do obiadu na dziesięć, siadało dwadzieścia osób. Czasem gdy już o zmierzchu przycichło, a zasłane łóżka aż wabiły w białe objęcia, wpadał niby to kulig; zapalaj świece, smar, gotuj, piecz, co się nawinie, kręć lody, rób herbatę, bo hulanka

do świtu. Deszcz pada, wracać trudno, nogi już odmówiły, rozrzucaj poduszki po wszystkich pokojach, ściel paniom po sofach, krzesłach, kanapach. Żona moja zalewała się łzami, chcąc robić ład w tym straszliwym nieładzie, bo mierzily ją te bachana-
lja — ale płynę pod wodę.

ROZDZIAŁ XVII.

WESELI PARTYZANCI I CZERWONI WĘGLARZE.

Pierwsza jaskółka. — Związek towarzystwa tajnego. — Wyprawa Zaliwskiego. — Jakoś to będzie! — Jak książę Giedroyc unję horodelską odnowił? — Zwęglony hrabia Tyszkiewicz. — Złe wróżby.

PODCZAS tej bakchicznej kołowacizny, trafił się wypadek, do dziś dnia dla mnie niezrozumiały. Był między kąpielowymi niżejaki Gordaszewski chociaż porucznik sławnego 2-go pułku ułanów, ale miru między nami nie mający. Pewnego rana przychodzi do mnie, a pozamykawszy drzwi z tajemniczą miną robi zwierzenia: że jest agentem ks. Adama, odwołuje się na znanych mi Czartoryszczyków, oświadcza, że ma polecenie przygotować Galicję do bliskiego w Kongresówce powstania. Miałem już trochę spiskowej rutyny, więc, to milcząc to potakując, wyspowiadałem go z całego planu. Powstanie miało ogarnąć partyzantką całą Polskę, zaczynając jednak od Kongresówki. W pierwszej chwili żądano od Galicji bezwzględnego uzbrojenia wszystkich wychodźców i wszystkich, co było zdolne do broni. Zebrania na wyznaczonych placach zbórnych, ludzi, broni, dział (które

były zakopane z korpusu Romaryna po lasach nadwiślańskich) i amunicji. Kto rozważy, że to się działo 1832 r., gdy jeszcze było w Galicji swoich byłych wojskowych i wychodźców co najmniej 20 tysięcy zobowiązanych na pierwsze wezwanie stanąć pod bronią, bo nikt dymisji nie miał, gdy rozważyć, że w Kongresówce żyło kilkanaście tysięcy rozpuszczonych żołnierzy, a parę tysięcy karabinów idących do Warszawy, po upadku tejże, ugrzęzło we Lwowie, że na koniec, masa pułkowych koni rozerwanych po przejściach po wszystkich stało stajniach — ten przyzna, iż pomysł taki był mniej nedorzecznym, niż wiele następnych. Nic nikomu nie mówiąc, śledziłem pilnie dalszych poszlak, lecz nie dostrzegłszy ich, zapomniałem o wszystkim. Jakież było moje zdziwienie, gdy w rok potem, tenże sam plan przez węglarstwo, do nas z Francji przywiezionym został.

Zdaje mi się w zimie z 1832 na 1833-ci, gdy kilku z nas uczuło potrzebę jakiegoś środka do krzewienia dobrych a tępienia szkodliwych myśli i zamiarów, zawiązaliśmy Towarzystwo tajne, więcej mające raczej na celu obce działania kontrolować, niż własne cele przeprowadzać. Pierwsi przystępujący byli: Konstanty Rucki, Wincenty Tyszkiewicz, Onufry i Bogusław Hordyńscy, Adam Lubomirski, J. K. Podolecki, Henryk Janko, August Bielowski, Wincenty Pol, Nereusz Hoszowski, Mieczysław Darowski, Miecz. Skarzyński, Benjamin i Maciej Skarbek, Borowscy, Józef i Roman Potoccy, Koreccy, Edward Dulski, Adam Kochanowski, Tadeusz Żebrowski, Tomasz Bogucki,

Józef Żurakowski, Wincenty Rozwadowski, Marcin Zamojski, Eugenjusz Ulatowski, Władysław Rozwadowski, Kazimierz Szeliński, Mikołaj i Seweryn Godlewscy, Piotr Mochnacki. Z wychodźców przyjęliśmy tylko Józefa Zaleskiego, Seweryna Goszczyńskiego, Ignacego Kulczyckiego i Januszkiewicza, prezesa sandomierskiego. Głównem zadaniem naszym być miało przygotować żywioły na zajęć mogącą potrzebę, a ważniejszem jeszcze, czuwać, by przy takim nagromadzeniu materiału palnego nie zaczęły się jakie niebezpieczne roboty, o których już głuche zaczynały chodzić wieści. Wymienione imiona świadczą, jaka jeszcze wtedy było jednomyślność w Towarzystwie i jak silnemi musiały być roztwory, które go później rozłożyły chemicznie na przeciwne sobie żywioły.

Nadeszła bezrozumna wyprawa Zaliwskiego. Zaprzysiężono kilkunastu szaleńców z wychodźstwa i puszczono ich na zgubę. Wszyscy partyzanci byli dzielnymi żołnierzami, bo nie innych, a właśnie takich wybrano, by ich wyłudzonem słowem i przysięgą zmusić do posłuchu Centralizacji. W kilku punktach zaledwie wkroczyli na chwilę partyzanci do Królestwa. Wyprawa jednak celu zupełnie dopięła, gdyż choć partyzanci jednego nie wydali strzału, to przecież jako apostoły węglarstwa, rozsypali się po Galicji i tu zaczęli rej wodzić. Z przyjściem Zaliwskiego bezimienny nasz Związek rozwiązał się zupełnie. Jedni (Tyszkiewicz, Janko, Darowski, Skarzyński, Januszkiewicz, Zaleski, Goszczyński) poszli otwarcie na Wę-

glarzy, drudzy odżegnując się od węglarstwa, pomagali w przygotowaniach urojonego powstania.

Chcąc opisać sceny, które wtedy się działy, trzeba by mieć humor Dickensa, a dowcip i werwę Dumasa: Partyzanci byli wszyscy prawie oficerami dawnej służby, ludzie pojedynczych pojęć, ale żelaznych duchów, w sprzeczności sami z sobą i w ciągłym rozdrażnieniu. Chodzili jak we śnie, to w poufnych między sobą pogadankach przeklinając lub wydrwiwając wyprawę, to na urzędowych posiedzeniach układając plany bliskiego powstania.

Kto ma dość silną wyobraźnię niech sobie wystawi zebranie, którego w własnym domu byłem świadkiem. Po całym dniu pogadank w oddalonym salonie, zostawiwszy towarzystwo przy „djabełku“, zebrała się wieczorem starszyzna na naradę, gdyż z południa nadjechał był Ordon (tensam którego Mickiewicz z Redutą wysadził w powietrze), i naglił na rozpoczęcie „wojny“. Na tem posiedzeniu byli: Józef Zaliwski, jeden z bohaterów 29-go Listopada, a później dowódca oddziału Partyzantów w 1831 r., Franciszek Babiński, żelazny podpułkownik, Stankiewicz i Majewicz sztabowi oficerowie 1-go Strzelców, Borkowski, Henryk Dmuchowski oficerowie tegoż pułku i Ordon porucznik artylerji przysłany, by zdać centralizacji sprawę ze stanu rzeczy. Mąż w męża żołnierze bez trwogi i skazy, jakby ukuci ze stali. — Po długim milczeniu, chodzeniu po pokoju, zaciąganiu się dy mem, podkreśnaniu węża, Zaliwski bez ogródek przystąpił do rzeczy: „Cóż teraz? Wojna Moskwie już

była lojalnie wypowiedziana, *ordre de bataille* nie trudny do nakreślenia!“ Około 50-ciu sprzysiężonych rozprószonych po kraju stanowiło całą armię mającą rozgromić Moskwę, kilkadziesiąt dubeltówek, pistoletów, pałaszy, było całym arsenałem; kilkanaście funtów prochu i kul całym zapasem. Po tem objaśnieniu położenia, nastąpiło ponure milczenie, a po nim jakby z jednej piersi głośno:

— Ha, nic nie pomoże, trzeba iść, kiedy się wściekli.

Kto?... To był tragiczny wstęp, po nim bezpośrednio nastąpiła farsa. Zaczęto humorystycznie omawiać środki zwycięstwa, w które najwyższa władza uzbroiła armię, były niemi cienkie sznury, doskonały wyrób francuski, (rozpięte na poprzek gościńca, miały rozpędzoną jazdę przymuszać do przewracania koziołków, w potrzebie służyć do krępowania jeńców, lub przewietrzania szpiegów). Dalej „palne kule“ do obracania w perzynę silnie bronionych wsi lub miast, nareszcie „proszki do zatruwania“ sam nie pomnę czego, najprawdopodobniej samych siebie. Do tych środków dołączona była instrukcja, by kasę suto opatrzyć w złoto, dla ujmowania chłopków, przekupywania urzędników i opłacania szpiegów. W tem miejscu Naczelnny Wódz Zaliwski okazał kilka sztuk złota, jako całą kasę armji. Bobiński rzucił palną kulę w ogień i widząc z jaką flegmą tli się, niby zamknięty fajerwerk, kopnął ją nogą głębiej w piec, drugą na posadzce rozdeptał, zakławszy po francusku, inni ujrzawszy zwykle milczącego żołnierza w takiej roz-

terce, parsknęli homerycznym śmiechem i zakończyli wojenną naradę po naszymu:

— Jakoś to będzie, teraz chodźmy na herbatę. Jedne postronki Stankiewicz uznał za doskonałe do wieszania... bielizny i moja praczkarnia otrzymała je w darze. Jaki raport zdał Ordon w Wersalu, nie wiem, dość że wkrótce ci istotni bohaterowie danego słowa, wstąpić mieli nie do Kongresówki, lecz do karmelickich kaźni i Kufszteinu.

Druga całkiem innego rodzaju scena, dziś jeszcze wykrzywia mi usta do uśmiechu. Koło Derewlan, siedziby Marcina Zamojskiego, ciągnęły się rozległe bory, po pasiekach i jarach kryło się kilkudziesięciu jeszcze ciągle myślących o przekroczeniu granicy partyzantów. Pewnego razu zwołano wszystkich na walne posiedzenie. Mały dwór aż pękał od natłoku. Gospodarz w fartuchu i białej szlafmycy, bo był to kuchmistrz nie lada, to wylatywał do sieni witać przybywających, to wpadał do kuchni, podsiekiwał, podprawiał, przerzucał całym arsenałem rądli. W pokojach krążyły kielichy „partyzantki“, to jest śmierdzącej niedogonem kopciuchy, znikwały przekąski, pluskały karty, a chmura dymu z fajek groziła deszczem. Po sutej biesiadzie, która wszystkie ziemice właściwemi uradowała przysmaki, nas wybredników żółwią zupą na maderze, Ukraińców nieporównaną kulibaką z sandacza i pieczonego węgorza, Litwaków pryskającymi sokiem kałdunkami, gdy zawoniła w moźdierzcu grubo utłuczona Mokka zalana kipiątkiem i podana z fusami, jakiś młody smagławy Litwinek, postawą przypomi-

nający Mickiewicza, podobno książę Gedrojc (w każdym razie conajmniej Gedyminowicz), zakręcił sobą po pokoju, na trzech krzesłach usadowił już trochę podpitego Zamojskiego, Eugeniusza Ulatowskiego i mnie, jedynych przedstawicielei Czerwonej Rusi, za nami, jak do tatarskiego tańca uszykował partyzantów, wskoczył zwinnie na stół, puścił rękę po czuprynie i zaczął:

„Reprezentanci całej Polski (partyzanci kiwnęli głowami) i wy Obywatele Halickiej ziemi! (myśmy się skłonili), do was idą słowa moje“. Nastąpiła chwila skupienia się mowcy samego w sobie, z której korzystając, zapytałem po cichu stojącego za mną. „Kto to taki?“ — „Ot jakiś piskorz od Pińska“, odrzekł głośno. Mówca podniósł bladą twarz i z wąskich ust wypłynął strumień jednotonnej wymowy, płynący jak woda przez otwartą szluzę. Wytłómaczywszy nam symbol Piasta Kołodzieja, poświęcający Polskę na wieczne czasy demokracji, wyłożył w krótkości całe jej dzieje, odkrył błędy królów, nie przebaczył hetmanom, zbeszcześcił powstanie 31 r., które wojowało działami zamiast piorunami idei, dalej wykazał całą wyższość teraz następującej wojny, potężniejsze środki oddane w ręce naczelnego wodza — a wreszcie zagrzmiał z nienacka, że aż szyby zabrzękły: „Obywatele!“

Marcin obudzony, niespodzianie ze smacznej drzemki podskoczył z krzesła, wołając na cały głos: „A tak, oczywiście!“ Ulatowski chustką otarł okulary, ja dla kontenansu puściłem raz po raz trzy kłęby dymu

nosem, a on rad z wrażenia, mówił z ogniem dalej: „Obywatele halickiej ziemi! Oczy Polski, raczej całej Europy zwrócone na was, uznanie z jakim przyjęliście słowa moje wybitnym dowodem, iż zgodni w celach i w środkach różnić się nie myślimy; Wam obywatelom Galicji naród powierzył swe losy, stojąc za Wami woła: „Naprzód, Wojownicy ideją“, z dumą widzę to w oczach Waszych, dźwigniecie ciężar, więc ramię do ramienia. Zbliżcie się po duchową Komunię, chodźcie się zbratać bratnim pocałunkiem“.

W tej chwili ktoś w kole mruknął: „Dzięki Bogu skończył“. Poczciwy Marcin Zamojski z łzami w oczach przyjął w otwarte ramiona zeskakującego oratora i podał go dalej Ulatowskiemu, ten z nienacka pochwycony, gdy wstawał, nadeptał Gedyminowicza i schylając się po opuszczone okulary, samochcąc stracił braterski pocałunek, który się mnie dostał, gdy właśnie wydmuchując fajkę, nie byłem w stanie odwzajemnić się. Partyzanci śnać nie byli pożądlivi tej komuniji, bo kilka głosów odezwało się naraz. „Dosyć tych komedji, chodźcie do djabełka, bo karty zastygną“. I zrobiło się gwarno, otwarto stół, pluśnęły karty, a Marcin, zażywając tabaki i zacierając z uśmiechem ręce, chodził od jednego do drugiego, całując się z wszystkimi i powtarzając dobrodusznie: „A co, nie mówiłem wszystko pójdzie jak z płatka?“ A teraz na zgodę, *in quo nati sumus*. Proć i Łucio pojawili się z kolejnym butem i baryłką zieleniaka a noc całą szło: „nieustającej łaski gospodarza“.

Tak odświeżoną została Unia Litwy Rusi i Korony, na trzydzieści lat przed obchodem w Horodle.

*

*

*

Kiedy węglarstwo rozprószone po całym kraju zagraniczną dżumą roznosić zaczynało, powstał we Lwowie związek polski, oparty na narodowo-politycznych zasadach. Do dwóch lat ogarnął całą młodzież, znaczną część mieszczaństwa i wielu alumnów nawet ruskich. Zaszczepiony w wojskowość, tworzył w nim odrębną całość. Pierwsze kółko kierownicze składali Hugo Wiśniewski, Teofil Wiśniewski, Jan Prochaska (piwowar) Dawid (urzędnik z żup solnych) i w. i. W samym początku, gdy organizacja była bardzo jeszcze chwiejną, przyjechał do Lwowa dawny wolnomularz, potem mój towarzysz w Związku Wincenty Tyszkiewicz. Znajomość z nim od kolebki, różnica wieku (był o 24 lat starszy odemnie), doświadczenie życia dawały mu wielką przewagę nademną. Jako dawny współzwiązkowy, dowiedziawszy się odemnie o naszym towarzystwie oświadczył bez ogródki, że chce weń wstąpić, by nas wszystkich sumarycznie zaprzysiądz na Węglarzy. W jednej z sal Zakładu Ossolińskich u Komarnickiego zebrali się członkowie naszych Kółek. Ciżba była wielka, burza nie mała, jednakże propozycję Wincentego po długich swarach odrzucono prawie jednogłośnie. By nie uchybić Tyszkiewiczowi i dać mu dowód zaufania, na piśmie wręczono mu na moje ręce odmowę z powodami. Brzmiała: Uczynioną nam propozycję odrzucamy je-

dnogłośnie, ponieważ: 1. Węglarską zasadę ruchu będącego samemu sobie celem, otwarcie i stanowczo potępiamy. 2. Uznajemy za całkiem bezpożyteczną zbrodnię podporządkowywanie sprawy narodowej celom socjalnym, a humanitaryzmem tylko jako pomocniczym środkiem posługiwać się zamyślamy. 3. Nigdy się nie poddamy obcej, nieznanej nam władzy. 4. Z najgłębszego przekonania zaprzeczamy mniemaniu, iż w razie powstania usamowolnienie ludu skłoni tenże do wspólnego z nami działania, gdyż mamy t. zw. lud za tłum bezmyślny, nie ideją, ale bezwzględną energią poruszyć się dający.

Tyszkiewicz urażony odmową wyjechał, co było dla niego szczęściem, gdyż ledwo minął granicę i dotarł do Drezna, wyszedł rozkaz aresztowania go. Był to niezwykły człowiek; odebrawszy wychowanie domowe, sprytem, z podchwyconych rozmów, z przerezuonych romansów, przeczuwał i odgadywał wszystko. Rosły i gładki w obejściu, serca prawego i gorącego charakteru całego, namiętny, energii niepomowanej, zdawał się stworzony na dyktatora i mógł nim być istotnie gdyby nie brak wiedzy, odbierający mu odwagę. Chciał zawsze dobrze, ale jak chcieć, nie wiedział często, skutki odgadywał, ale o przyczynach nie zawsze jasne miał wyobrażenie. Szlachta lgnęła do niego, lecz w powstaniu Kołyski, przygotowawszy wszystko, nie śmiał się narzucić i zostawił kierownictwo niedołęgom; brakowało mu tego, czego zwykle brakuje w gorących chwilach ludziom sumiennym: zaufania w samym sobie. Tyszkiewicz miał za

młodu zgrozy pełne zdarzenie, które go na całe życie zasepiło. Bandy złodziei snuły się koło Kolbuszowej, zgadało się o tem przy wieczerzy; on śmiejąc się powiedział: „O, niech przyjdą do mnie, a ja ich poczęstuję z dubeltówki“. Matka żartując z buty smarkacza, rzekła: „Wkrótce przekonam się o twojej odwadze“. W nocy przychodzi jej nieszczęśliwa myśl nastraszyć syna, podstawivszy stróża, by grubym głosem wołał „Otwórz, bo wywalimy“. Na zapytanie przebudzonego z głębokiego snu, „Kto tam?“, odpowiedzi nie daje. „Stój, bo strzelę!“, woła już ze strzelbą w ręku. Rozleciały się okiennice, brzękły szyby, padł strzał, a w samo serce ugodzona matka upadła jęcząc: „Zabiłeś matkę!“ Ten krzyk boleści całe życie jęczał w duszy Wincentego, spokój był zatruty, oczy zaczerwienione na wieki.

* * *

Dziwnem zrządzeniem losu cała starsza szlachta po największej części do ś. p. Towarzystwa patriotycznego należąca, znęcona pocziwą, wojskową postawą Węglarzy z Zaliwskim przybyłych, zaprzysięgła posłuch celom zgubnej centralizacji, cała zaś młodzież stanęła murem pod czysto narodowym sztandarem. W tej ciemnej chwili Galicja po raz pierwszy rozdarła się na dwa szmaty — najbliżsi krewni, najlepsi przyjaciele z niedowierzaniem spojrzeli na siebie, a wszystkie serca i usta zamknęły się jak groby.

Zaniepokojony wichrzeniami i sypiącemi się denuncjacjami chłopów i popów, rząd austriacki zaciągnął

niewodem, tak, że w kilku tygodniach brakło kaźni u Karmelitów i krakowskie koszary trzeba było na kaźnie przerobić. Z partyzantów Zaliwski, Borkowski, Hankiewicz, Macewicz, Dmuchowski, Żabownicki (ksiądz), z naszych Onufry Hordyński, Jerzy Tyszkiewicz (za Wincentego) Henryk Rogaliński, Modzelewski, E. Ulatowski, Bielowski, Szajnocha, Franciszek Wiesiołowski, Schmidt (komisarz 'cyrkularny) i wielu mniej znanych zostali uwięzieni. Co było lepszego między węglarzami, zamknięto, w kraju została szajka najgorszego rodzaju wichrzycieli, a do tego napłynęła z Francji ćma już całkiem otwartych socjalistów, jak Malinowski, Leon Zaleski, Napoleon Nowicki, Robert Chmielewski i inni. Ci prawie bezwzględnie usuwali narodowość na drugie pole, marząc tylko o zemście na szlachcie, gilotynie i apoteozowali Koliszczyznę, wywoływali Rzeczpospolitę, kąpiącą się w krwi i błocie. Znałem między nimi i ludzi trochę lepiej wychowanych i z grubego ogładzonych, którzy bez danej przyczyny popadali w furję, na wieść, że są jeszcze ludzie niechący podać karku w jarzmo centralizacji. Na Dantona, Robespiera, nie było między nimi materiału, Maratów byłby znalazł między nimi co nie miara.

Położenie naszego Związku zaczynało być trudne. Propaganda węglarska stawała się natrętną, coraz przylatywali emisariusze centralizacji, z nakazem bezzwłocznego zaczęcia ruchu, to znów wpadali inni ogłaszając poprzednich zdrajcami, i w imieniu centralizacji zakazując ruchu wszelkiego. W tem

wszystkiem odbijała się wewnętrzna walka centralizacji, przemagały wpływy europejskiej Venty, nakazując ruch, górowały polskie względy, odwoływano wysłane rozkazy. Z drugiej strony nasz Związek wyrastał nam ponad głowy i coraz świeże wiązały się kółka, tak, iż trzeba było wstrzymywać przyjmowanie, w obawie przed wykryciem.

Pierwszą poszlakę powziął Rząd o naszym sprzyśżeniu, śledząc Dawida, który zbyt gorliwie uwijał się pomiędzy górnikiem na słowackich Węgrzech. Aresztowano go w przejeździe, zabrano broszury, papiery, połykając zgryzione zębami flaszeczki homeopatycznej apteczki, skonał w straszliwych męczarniach. Ale żelazna była to dusza, nim skonał, zaprzysiągł eskortującego podoficera, by mnie we Lwowie o zajęściu uwiadomił. Zadziwiłem się nie mało, widząc stojącego przedemną Węgra, o którym nie wiedziałem, czy poprzednio „pflichtgemäss“, swoim starszym nie zameldował wszystkiego.

Po tej pierwszej trwodze nastąpiła chwila spokoju i zima. minęła bez katastrofy, była nawet nadzieja lepszego pożycia z węglarzami, gdy kilku z naszego dawnego Związku, rozbitego partyzantką, a teraz już węglarzy, jak S. Goszczyński, Winc. Pol, Janko, Podolecki, Kulczyński, I. Zalewski, widząc niefortunne położenie węglarstwa u nas po zamknięciu Naczelników, schodziło się u mnie, by radzić nad sposobami ujęcia tego złowrogiego żywiołu w karby.

Już się coraz ciemniej zaczynało robić i we Lwowie i w kraju. Połów uchodźców odbywał się na

wielką skalę i rozmiary, jednych wywożono w głąb cesarstwa, drugich wypędzano za granicę, nas wprawdzie jeszcze nie więziono, ale od znajomych urzędników trafiały nas przestrogi, że w sądzie zaczynają mówić o nas; w domu było duszno, żyło się pod ciągłą groźbą rewizji, gęsto zwijały się komisje, a jadąc spotykało się wychodźców, to przez chłopów, to przez żołnierzy więzionych, Bóg tylko wiedział dokąd.

ROZDZIAŁ XVIII.

SEWERYN GOSZCZYŃSKI I WINCENTY POL.

Jak wiozłem Seweryna przez roгатki? — Peleryna Augusta Bielowskiego. — Goszczyński jako człowiek i poeta. — Pol, najmiłszy z ludzi. — Trójka przyjaciół.

W PÓŻNEJ jesieni 1832 czy 33-go roku będąc we Lwowie dowiedziałem się, że Seweryn Goszczyński znajomy mi z Warszawy z wielkiem niebezpieczeństwem kryje się u Bielowskiego. Jako Belwederczykowi, grozi mu wydanie i szubienica. August mieszkał na poddaszu walącego się dworku na Chorążczyźnie. Zastałem ich obu nad talerzem kleiku i trzema hreczuskami, smutnym ale jedynym objadem którym się gospodarz z przyjacielem mógł podzielić. Łojówka zatknięta w flaszkę i garnuszek z wodą były jedynym przepychem tej biesiady. Nie tracąc czasu, choć noc była zawsze najniebezpieczniejszą porą, zawiąłem Seweryna w mój płaszcz i szczęśliwie przewinawszy się przez roгатkę późno w nocy przywiozłem go do siebie. Niebezpieczeństwo było nie małe: Rewizja na roгатce, gdzie zawsze urzędował komisarz z Policji, *halt wer da?* i, stójka przed odwachem koło prochowni. Patrole huzarskie po drodze miały prawo

aresztowania każdego. Zwykle polityczna kontrabanda wychodziła piechotą jak z oblężonego miasta, ale prześliznąwszy się pomiędzy żołnierzy, mogłeś wpaść w ręce chłopów, co było gorsze.

August Bielowski, pomimo wrodzonego po ciągu do szperania po foliałach i do głębszych nauk, w młodości rozmarzał się poezją, bo w owych czasach któż nie był poetą? W samym Lwowie było nas kilkunastu: Bielowski, Nabelak, Poźniak, Szajski, Klemens Bogucki, Zegota Cięglewicz ja i wielu innych jak to świadczy „Haliczanin“ i „Ziewonia“ a później L. Siemieński, Wójcicki, Magnuszewski, Podolecki, Albin Niezabitowski, T. Zaborowski, którzyśmy się mienili „wieszczami“. Bielowski był jeden z pierwszych, którzy się otrzeźwili, przełożywszy ślicznie „wyprawę Igora“ zamilkł. Przekład ten jest podług mnie najzasłużeńszem jego dziełem, bo ze wstydem wyznać muszę jego dziejowych poglądów nie podzielam. Serca bardzo ciepłego, duszy bardzo zacnej, pojęć zdrowych, wdzięcznej powierzchowności, otwartej pocziwej twarzy, niegodziwie ospą poszramowanej, do tego od urodzenia biedą i niedostatkami dręczony, był nieśmiały a do form towarzyskich, całkiem mu prawie nieznanym z wielką naginał się mozołą. Ludzi nie szukał i do naszego studenckiego towarzystwa nie nadawał się wcale. Że był cienki a długi i mawiał o Długoszu nazywaliśmy go „Długoszem“, a gdy miał chód kiwający, i w rozrzuconym płaszczu chodził ktoś z naszych układając trzęsionkę o nim powiedział:

...Bielowski,

Jak statek pod żaglami przez Halickie płynie
Nabierając Faustyna poważnie i z cicha,
Że mazgaj i w dzień nawet do księżycy wzdycha.

Długą pracą i zasługą dochrapał się w końcu bibliotekarstwa w Zakładzie Ossolińskich i ostatnie lata przepędził między ukochanymi szpargałami, otoczony foljałami, jak jaki basza Odaliskami. Na dwa lata przed śmiercią doczekał się powrotu najlepszego przyjaciela Seweryna Goszczyńskiego i radował się zcją, z jaką publiczność lwowska swego ulubieńca przyjęła.

Całkiem innego rodzaju postacią był Goszczyński. Silnego organizmu, krępej budowy, średniego wzrostu, barczysty, twardych ruchów, wzrok miał śmiały, może trochę za iskrzący, twarz wyrazistą, nos mocno ospą poznaczone, usta ostro wykrojone, jak dłutem, często uśmiechnięte drwiąco ale dobrodusznie; w twarzy coś orlego lub rzymskiego. Wtedy ani brody ani wąsów nie nosił. Cała ta mało ujmująca powierzchowność była jednak sympatyczna i pociągająca, piętno wyższej natury tkwiło w niej. Obyczajów ostrych, gdyby zawdział kaptur i kitle byłyby doskonałym wzorem średniowiecznego mnicha. Wolny od wszelkich zarozumiałości, bywał czasami wesoły i lubiał towarzystwo, wolał jednak żyć samotnie i błąkać się światami. W tej epoce życia nic nie czytał, i nie pisał, polityczna frazeologia była mu wstrętną, miał dużo w sobie z stepowca, między nami wtedy najbliższymi nie czuł się swojskim. O młodości, domu,

rodzinie słowa nigdy nie powiedział, czasem gdy nieumyślnie dotknięto tych przedmiotów, jak kozacki koń, zachuwszy wiatr od stepu, podniósł głowę, wzrokiem iskrzył ale to i minuty nie trwało. Czy tęsknił? — za kim? — czy żałował? — czego? nikt nie wiedział i, do śmierci się nie dowiedział. — Raz jeden ta dusza stanęła mi na mgnienie oka otworem. Było to ślicznego wiosennego wieczora, staliśmy popod zrąb na stanowiskach, krzyk jęczał gdzieś między chmurami, cyranki świszcząc skrzydłami leciały na jeziora, kos pośpiewywał w krzakach. Lecz napróżno słonki chrupocząc ciągnęły jedna za drugą, strzelba Seweryna milczała uparcie. — Schodząc ze stanowiska zastałem go leżącego pod pnem.

— Dumas? zapytałem.

— Ot marzyło mi się, że w naszym futrze i między swoimi, odrzekł, wstając niby ze snu.

Gdzie ten futer? gdzie swoi? o tem ja nie dowiedziałem się od niego. — Przez ciąg pobytu w moim domu, skupiał się w sam siebie, unikał świeżych wrażeń, może nowych szukał torów. — On jak roślina, która wspaniały ale jeden kwiat wydaje przez życie, rozkwitł się zamkiem kaniowskim i zamilkł, struny duszy jego za gwałtownie szarpnięte prysły i zaniemiały. Wielka sprężystość ducha i siła woli połączone z spartańskim zaparciem się samego siebie były głównymi rysami jego charakteru. Kiedy wieczorem 29 listopada miasto kilkudziesięciu sprzysiężonych stanęło kilkunastu pod mostem na drodze do Belwederu i zaczęło mówić o rozejściu się, Seweryn

porwał wszystkich za sobą i poszli naprzód. Padł żołnierz na straży, padł generał Zander, byłby padł i W. Książę, gdyż tym czynem chciano spalić okręty za sobą, gdyby miasto niego nie byli zastali ks. Łowickiej, klęczącej u nóg Matki Boskiej; skłoniwszy się przed strapioną, poszli szukać za Jego Wieliczeństwem, które temi czasy w koszuli umknęło do koszar. Seweryn wkrótce zaprzyjaźnił się z Henrykiem Janke, częstym u mnie gościem, a swoim znajomym z Warszawy. Myśli Henryka więcej niż moje skierowane ku przedmiotom socjalnym i zaciętość charakteru (człowiek ten podczas szturm na Wolę czerpiał granatu raniony w udo, cały dzień obsługiwał działo i dopiero zszedłszy z pozycji zemdlął) pociągały Seweryna. We mnie raził znowu Seweryna nieprzewyciężony wstręt do teorii socjalnych. Pociągała go znowu do mnie krewna otwartość i namiętne przywiązanie do sprawy; więc byliśmy wtedy trójką jak się zdawało ścisłą złączoną przyjaźnią, lecz często na gorąco rozchodzącą się w zdaniach.

Chemicznym łącznikiem między nami był Wincenty Pol, sympatyczny nad wszelki wyraz. Z męską, łagodną a pełną wyrazu twarzą, czarującym głosem, bogatej dykcji, z wyobraźnią ani namiętną ani rozbujałą ale tryskającą prawdą i życiem, zadziwiającą u mężczyzny kobiecą naiwnością — Wincenty dobrodusznie ustępował każdemu z nas, zbyt roznamiętnionemu i pocziwem słowem zbyt szorstkie łagodził zdania: był bez cienia zarozumiałości lub pychy. Ani jemu ani nam nie przeszło wtedy przez myśl że jest

tem, czem się miał wkrótce objawić, chociaż jedna z jego piosenek już wtedy tę przyszlą nutę grała. Trzeba było go słyszeć mówiącego:

Matuszewicz z Owsianiczek
 I tur z pod Olity
 I Judziłło z górnych szyszek
 Wpadli na trakt bity.
 Matuszewicz szedł na czele
 Pięćset jegrów zbladło
 Wpadł, dowódcę pod koń ściele
 Pięćset jegrów padło,
 I upadli na kolana
 I o pardon proszą
 I pokornie do nóg Pana
 Karabiny znoszą.

Ciche a ciepłe wspomnienia łączyły mnie z Połem. W najgorętszej erze mego studenckiego życia, z nim razem przychodziłem do upamiętania na chwilę w ciasnej izdebce Henryka Janka; między nami dwoma samo spojrzenie Pola miało coś magnetycznego, uspakajającego. Przy świetle lojówki połykaliśmy łakomie Byrona, Ossiana, Szylera, a gdy szabasówka spaliwszy papierową obwódkę, ostatnim płomykiem zabłysła i dymiąc się zgasła, godzinami, długo marzyliśmy, kłócili, łagodzili, jak smarkacze!...

O miedzę od Lubienia żyła w Mostkach poczciwa, gościnna rodzina Ziętkiewiczów, przy niej tuliła się daleka krewna p. Olszewska. Skromna ta strzecha, w wianku łąk i lasów dumająca, tuż koło cerkiewki, wśród rozrzuconych chat i progów — musiała rzucić w łakomą na takie wrażenia duszę Pola pierwszy

zaczątek „Pieśni o ziemi naszej“. tembardziej że biedne serce poety rozgorzało wielką miłością do panienki.

W owym czasie stan duszy Pola był przykry. Czuł, że tego, co nosi w sobie, wyśłowić nie może, wierszowanie szło mu z trudnością, godzinami dumał, nim myśl jaką w kształt ująć potrafił, gdyby niebył znalazł pana Ksawerego Krasickiego. byłby zaniemiał. Poeta jest to wędrowiec stojący na stu rozstajnych drogach, prócz jednej wszystkie błędne. P. Ksawery (choć pewnie o tem nie myśląc) wprowadził go swoją osobistością i opowiadaniem na drogę prawdziwą, na niej znalazł Mohorta i Kiślackiego. Czytałem gdzieś, że Pol w r. 1831, wracając z Prus na Drezno, zaprzyjaźniwszy się z P. Klaudią Potocką, za jej pośrednictwem zdobył sobie stanowisko między naszymi poetami jakimś większym utworem, że Mickiewicz płynąc z nim Elbę miał go zachęcać do pisania, że wtedy nic większego nie napisał jestem pewnym i wszelkim takim twierdzeniem kłam zadać muszę. Od wiosny 1832 r. prawie bez przerwy bawił u mnie przez lat dwa dojeżdżając do Mostek, z zamiłowaniem rozmawiał o tem, co kiedy napisał lub napisać zamysłał, jeżeli nie mnie, z którym tysiąc razy o swoich rzeczach mówił, to Sewerynowi, którego uważał za mistrza. W jednym z nim pokoju miesiącami długo mieszkając, byłby napomknął o jakimś większym utworze, tem więcej żeśmy sobie długimi zimowymi wieczorami własne kawałki czytawali. Ale od tego było tak daleko. że gdy mi w roku 1834 pod ręce wpadły „Pieśni Janusza“, biegałem po znajomych

pytając, jaki to Pol napisał, bo że to Wincenty, na myśl mi nie przyszło. Dla mnie jest właśnie to tak nagłe a potężne rozwinięcie się jego ducha, cechą prawdziwego geniusza.

Wspomniawszy tyle razy o Henryku Janko, zanim przejdę do innych przedmiotów muszę sprostować dość ogólny błąd. Dzielny żołnierz z 1831 roku, nieustraszony pracownik w skrytym boju z mordercami Ojczyzny naszej, więzień na Szpilbergu, nie wyszedł z najniższych warstw społeczeństwa, jak się to często o uszy moje obijało, przeciwnie był synem szlachejnych i dość zamożnych rodziców. Ojciec jego, węgierski szlachcic, był wojskowym lekarzem przy armii Landona, oblęgającej Belgrad czy inną jakąś twierdzę i położył pierwszy bandaż na ranę młodziutkiego oficera od ułanów, którym był ks. Józef Poniatowski. W kilkadziesiąt lat później pokazywał mi stambułkę jego, jako rodzinną pamiątkę przechowywaną. Wystąpiwszy z wojskowej służby przyjął miejsce nadwornego lekarza mego ojca w Krościenku. W Trziennicy u ks. Stanisławowej Jabłonowskiej poznał nie posażną ale szlachejnego rodu, słynną z piękności, pannę Sierakowską. Lekkie zwiastuny ostrego wyrzutu zaczęły się pojawiać na ślicznych liczkach, młody a także przystojny lekarz, postanowił wyrzut stanowczo w zarodzie zwyciężyć, niestety po zbyt energicznej kuracji wyrzut rozkwitł się w najlepsze, zato istne perły nie zęby do ostatnich osierociły usta: sztucznych jeszcze nie znano, więc panna rozpaczała. Na wojennej radzie między księżną

a moją matką stanęło, że panna bardzo dumna z imienia nadto gorliwego lekarza ręką swoją ukarze. Po tej katastrofie żyło bardzo dobrane i wzorowe małżeństwo spokojnie i szczęśliwie w Dubanowicach, które im mój Ojciec wydzierzawił. Zaczny Janko dorobił się majątku, kupiwszy od mej ciotki Trzebińskiej majątek Hoszany.

ROZDZIAŁ XIX.

W AUSTRJACKIM KRYMINALE.

Nieproszeni goście we dworze. — Kryminalna podróż do Lwo-
wa. — Pięć kroków wzdłuż, trzy kroki wszcz! — Pan goli-
broda Gomółka. — Inteligencja cesarza Ferdynanda. —
Wittman i Zając.

PIĄTEGO marca 1835 r., (a była to już wiosna jak in-
nych lat w maju), o pierwszym świcie dywizjon szwo-
leżerów Rosenberga otoczył dom w Lubieniu dwor-
skie budynki, których było 80, a kilku wpadło do
sypialni. W koszuli wyszedłem z niemi, by żona ubrać
się mogła, a porwawszy na siebie odzienie, dopiero
rozpatrzyłem się w pięknem towarzystwie moich go-
ści. Osławiony z chytrości, później zakłuty w Kra-
kowie, konsyljarz kryminalny Zajączkowski, (któremu
na trupie przylepiono karteczkę „Tu zabito zająca“),
wysoki, najedzony, rudy Wołoch Janowicz, smagławy,
bardzo inteligentny o lisiej mordzie rusin Dąbczański
w 1848 r. adwokat, wolnodumiec i patrijota, przed-
stawiali komisję kryminalną. Z nimi trzymał się mały
urzędniczek także z kryminału, poczciwy Siegel,
i gdzie tylko wpadł na jaki podejrany papier, cho-
wał go do kieszeni, by go ukryć przed komisją; za

nimi stał jakiś poważny urzędnik z Apelacji. Policja dostarczyła komisarza i żyda rewizora. Cyrkularnym asystentem był kom. Beutel. Zanim mi pokazali rozkaz aresztowania, plądrowali przez kilka godzin po domu, odrywali posadzki, zdzierali obicia, przeglądali wszystkie szkatułki, potem włóczyli po kilkudziesięciu budynkach, szukając za wskazówką chłopów po podejrzanych miejscach. Najnieznośniejszem było dla mnie mieszanie się chłopstwa. Była to niedziela, czerń chłopska oblegała karczmę i cerkiew, przeciągając za nami, a tylko groźną postawą równie ze mną oburzonego rotmistrza hr. Szelenberga utrzymywana w porządku.

— „*Herr Kreiskomissär, was haben hier die Leute zu tun, ich lasse sie einhauen, wenn sie die Kanalien nicht entfernen*“, mówił do Beutla, a ten się kręcił jak wąż błagając:

— *Dobri ludki, kajser wam śliszne dankuje, ja mu skaże, jak wy go kochacie, ale idźcie do żonek, nie potrzeba się turbować, my tu sami zrobimy*“.

Zawieziono mnie, nie odgadłem poco, do popa; posadzono przy gremialnej biesiadzie w zajezdny domu, otoczonym chłopską czernią. Parą koni, a ciężkim koczem, komisja po przeczytaniu wyroku, błotnym gościńcem kazała jechać do Lwowa. Siadło ze mną dwóch panów i rotmistrz, na koźle dwóch kryminalnych żołnierzy, dwa plutony szwoleżerów po obu stronach powozu. Najmniej sześć godzin trwać musiała ta podróż, bo późnym wieczorem wjechaliśmy w kryminalny dziedziniec. Długą godzinę stałem w po-

wozie, przysłuchując się biciu zegara na wieży, przysyłającej mi ostatnie „Bądź zdrów“ ze świata, a po wielkiej bieganinie miarkując, że się coś niezwykłego dzieje, ale co? o tem w kilka dni dopiero dowiedzieć się miałem. Przyczyną zwłoki była dnia tego właśnie nadeszła depeza o śmierci cesarza i rozkaz wstrzymania dalszych uwięzień politycznych. Sąd kryminalny, zamiast do mnie to orzeczenie zastosować, uznał potrzebę odniesienia się do apelacji. Więc posłano do apelacji, tamtejszy prezes Engersdorf, mój z dawniejszego procesu śmiertelny wróg, poradziwszy się komenderującego Langenau, kazał mnie na własną odpowiedzialność uwięzić. Wprowadzono mnie do kaźni, w której skazańcy zwykle ostatnie trzy dni odsiadawali. Do naga rozebrany, znosić musiałem ostatnie upokorzenia. Pod okiem uśmiechającego się Wittmana, zaprowadzono na drugie piętro, wtrącono do ciemnej kaźni i zostawiono samego z sobą. W jakim usposobieniu? wystarczy powiedzieć, że zaraz po wyjeździe ze wsi dogonił nas nasz poczciwy komisarz Rudnicki, zaklinając bym wrócił, bo „pani umiera“. Rotmistrz zakrzyknął na eskortę „Halt“, ale Zajączkowski jechać dalej kazał, czem oburzony powiedział mu „*Herr Kriminalrat ist ein niederträchtiges Individuum*“ i obróciwszy się do niego tyłem, ze mną tylko rozprawiał.

Obchodzenie się z nami w więzieniu było oburzające. Więziono bez żadnych dowodów, później dopiero szukano po innych sprawach. Ja trzy miesiące siedziałem, nim do pierwszego wzięto mnie protokołu.

Tymczasem miałem kaźnię nr. 49-ty, mierzyła pięć kroków wzdłuż a trzy w szerz, okno, pomimo iż do połowy zamurowane, podwójną kratą i koszem opatrzone, zamykano na kłódkę. Stary żelazny piec, palony torfem, popękany w liczne szpary swędził nielitościwie, sprawiając ciągle zaburzenie, nudności i ból głowy, była to prawdziwa męczarnia, o szóstej w lecie, o trzeciej w zimie zapadała noc, ani światła, ani fajki, ani książki nie dawano. Rodzaj wążkiej pryczy, stółek bez poręczy o 3 nogach, konewka z wodą; wasąg i miotła były całym sprzętem; śniadanie obiad i wieczerzę (zawsze o czwartej popołudniu) stawiano na korytarzu pod drzwiami, wnoszono je później całkiem zakrzepłe i często stonogami lub szwabami ustrojone. Co rana trzech złodzieji w kajdanach wpadało do kaźni, jeden mieniał konewkę z wodą, drugi wasąg, trzeci porywał za miotłę i podnosząc tumany kurzu, wymiatał białe ścieżki stonóg i prusaków, udeptane nocną wędrówką więźnia. Chcąc mnie i w tem upokorzyć, dano jednego z tych kamerdynerów do mej kaźni skazańca, z dóbr moich Szmagałę.

Podoficer Gomółka, golibroda, karykaturalna figura, co soboty wpadając jak piłka z paskiem w jednej, z brzytwą w drugiej ręce, (by mnie do spuszczenia brody namówić) powtarzał wiecznie jeden dowcip:

— Tutaj to, jak jak u Pana Boga za piecem, od świąt do świąt, papu, lulu, ale brodę trzeba ogolić; pan prezydent mówi: Gomółka, ogól brodę czterdziestemu dziewiętemu numerowi, bo ja chcę, żeby moi

gości mieli wygodę i żeby znać było, że im w cesarskiej gościnie dobrze“.

Jedną z największych nieprzyjemności były nocne rewizje. Dwa razy w nocy oberdozorca Streit, wpadał z dwoma żołnierzami i latarnią, budził śpiącego, oglądał ściany, macał kraty i wychodził. Gdy około 40-ci kaźni miało drzwi na wspólny korytarz, każda kaźnia zamek i dwie kłody, a klucz każdy w rękę innego dozorca, stukot idącej zgraji, łomot i brzęk trwał dobrze pół godziny i ze snu całkiem wybijał, tem więcej że ucho do głuchego przywykło milczenia, z przykrością te hałasy znosiło. Czasem Streit w złym humorze, kazał wstawać z łóżka, a rozrzucawszy pościel po całej kaźni, wyrzuciwszy słomę z siennika, zostawiał więźniowi miłe zadanie zbierania gratów i ślania łóżka po omacku. Z czasem wszystko po troszę łagodniało. Żony nasze szturmowały w Wiedniu i znalazły opiekuna w starym ministerjalnym radcy Pilgramie, moja przez panią Carignan trafiła do wyższych kół. Przy pierwszej audjencji cesarz Ferdynand zapytał: „*D'ou étés vous madame?*“ — gdy odrzuciła: „*de la Galicie*“ — „*ah, en Espagne*“ mruknął... dobrodusznie. Wreszcie pozwolono otwierać szybkę, raz na miesiąc widywać kogo z rodziny, a raz na tydzień chodzić do kancelarji lub ogrodu na fajkę, znaleźli się także przyjaciele, za hojną zapłatą podsuwający książki ukradkiem, słowem, jak twierdził Gomółka, było nam jak u Pana Boga za piecem, w gościnie u pana prezesa. Dziwny też to był ten pan prezes, syn nadwornego lekarza pokrew-

nej mi rodziny; czuł się do objawów sympatji obowiązany, więc parę razy zaszczyił mnie swoją wizytą, czerwony jak ćwik, pryszczaty, podcięty, wycalowywał mnie, płacząc nad moim losem, ale w sądzie był najzaciętszym naszym wrogiem a moim w szczególności, tak, iż przy ostatniej sesji wszyscy konsyljarze i Wittman nawet głosowali za uwolnieniem z braku dowodów, on nastawał zawzięcie na skazanie. Za to przy wyjściu wycalował mnie za wszystkie czasy.

Największą pociechą w rozpaczach byliśmy sami sobie: obok mej kaźni z rogu drugiej, siedział Henryk Rogaliński, z nim tak nauczyliśmy się pukać przez ścianę, że długie nocne godziny rozmawialiśmy z sobą dość szybko. Mówiliśmy nocami w słotę, mróz, zadymkę z Tyszkiewiczem, Borkowskim, Żaboślickim, których kaźnie się w naszym schodziły rogu; później, udało mi się nawet podważyć deszczułkę w koszu i rozmawiać przez szeroką szparę na znaki z żoną, która stawała w dalekiej ale przeciwległej kamienicy na Kamiennej ulicy. W ten sposób czerwona wstążka w oknie na kilka godzin przed Wittmanem przyniosła mi wiadomość o uwolnieniu. Wielkie było jego zdziwienie, gdy wszedłszy, zastał mnie ubranego i spakowanego. Rozmowy nasze przez okna nie były całkiem wolne od niebezpieczeństwa; gdy stali Węgrzy na strażach to nam nie przeszkadzali, ale nasze muzyki obsypywali nas przekleństwami, a gdy to nie pomagało, to bestje strzelały do okien. Rogalińskiemu kula pęk włosów odcięła,

Borkowskiemu rękaw przestrzeliła, Łoniewskiemu koszulę rozdarła, ale jakoś te przypadki tylko zaostrzyły przyjemność. Jak to było przyjemnie po takim strzale plunąć ruskim przekleństwem w oczy bohaterowi i słyszeć, jak się popi syn wścieka i krzyczy „*Gewehr aus*“ i dzwoni na odwach, a patrol przylatuje, warty stają pod bronią „*bo się Polaki buntują*“. Po takich z ludkiem fraternizacjach przychodził jakiś dostojnik, powtarzając zakaz mówienia przez okna i grożąc karami dyscyplinarnymi za znieważanie cesarskich wojowników, lecz już szybek zamykać nie śmiano. Czasami znowu Wittman lub Zajac, te dwa czarne duchy, co dziś jeszcze snuć się korytarzami Karnelitów muszą, podkradali się, by nas podsłuchiwać, ale gdy nasze kosze zbiegały się pod prostym kątem, a w nocy latarnie chodniki oświecały, nie uszli naszemu oku i miasto spodziewanych wiadomości unosili dla siebie nie łatwe do strawienia przysmaki. Ot smarkacze, z nudów rozrywali się czem mogli. Ale ci panowie w odwet sprawiali nam całkiem innego rodzaju rozrywki, na których wspomnienie jeszcze dzisiaj krew się ścina. Na dole, pod naszymi kaźniami była sień; w niej po parę godzin co dnia bito kijami prostych zbrodniarzy, jęki ich i wycia, przerywane ojcowskimi napomnieniami indagujących urzędników, były naszą włoską operą. Dwukrotnie i z naszymi tak się zabawiano. Raz z Teofilem Wiśniowskim na rozkaz Wittmana, uszczęśliwionym 25 kijami, drugi z Rolińskim. (Z tym to sprawiedliwie, gdyż on, by siebie ocalić, niestworzone rzeczy dyktował do pro-

tokołu, w dni kilka skruszony odwoływał, by przy pierwszej sposobności nowe pleść brednie).

Najstraszliwszą zbrodnię popełniono na pisarzu Onufrego Hordyńskiego. Był to młodziuchny chłopczyna, ale męskiego charakteru; Zbydniów był jedynym ze zbornych stanowisk, on wszystko wiedział i widział mieszkając na dworze, ale by pana nie zdradzić, milczał uparcie przez dwa lata, prośby, groźby nie skutkowały, gdy Zajączkowski wpada na pomysł całkiem nowy. Jakiegoś trupa ubierają w polski strój Onufrego i w jego kaźni kładą na katafalku. Chłopiec popod kaźnią pana prowadzony do matki, na prośby także otumanionej, dyktuje wszystko co wiedział do protokołu. Gdy już Wittman wysłuchał całą spowiedź, wprowadzają do kancelarji Onufrego, nieszczęśliwy chłopak padł mu do nóg i — oszalał! Teraz zaczęły się tortury, gdyż sąd miał warjacje za udaną. Biciem różgami, głodem, bezsennością, słowem wszystkim na co się wścieklizna ludzka zdobyć może, wszystkim biednego warjata dręczono, a gdy jego kaźnia była obok Bielowskiego, nocami słuchać mieliśmy katowania, wycia i ryków ofiary. Z pomiędzy stu podobnych, ta była najczarniejsza sztuka Zajączkowskiego, choć i tej jak wszystkich innych, należąca część Wittmanowi przypada.

Pogadanki wieczorne rzeźwiły nas. W jakimże to bengalskim ogniu uśmiechał się świat, o którym każdy swoje opowiadał marzenia, bywały chwile, w których uniesieni wspomnieniami, zapominaliśmy o wszystkim i marzyli, walczyli, kochali jak na ja-

wie. Wprawdzie potem, głucha tęsknota padała z nami na łoża, ale dusze były pokrzepione jakby tchnieniem ze świata ożywione.

Pełną zgrozy noc mieliśmy jednej zimy, 19. lutego. Obchodziliśmy rocznicę Wawru nadzwyczajnym piknikiem, (tak nazywaliśmy pogadanki, na które każdy musiał przynieść jaki jeszcze nam nieznaną ustęp z życia, wesoły czy smutny. byle nowy). Markiewicz był przy słowie, wśród mowy urywa, słyszymy jęki i łomot spadającego na stół. a z nim na podłogę ciała. Ani wątpić, padł rażony apopleksją. Na korytarzu milczenie, wołamy na warty. „*Sedit tycho*“ — całą odpowiedzią, więc walimy w drzwi kominkami, stołkami, butami, czem kto miał; dalsze kaźnie domyślając się, że to jakaś wspólna sprawa, nuże w drzwi bębnić, co siły. Straże krzyczą na cały głos „*Gewehr aus!*“ Odwachy stają pod bronią, latają korytarzami, w końcu pewni, że to bunt na naszym piętrze, cały garnizon gromadzą. W długie trzy godziny po udarze, w towarzystwie całego gremjum urzędników, pojawił się poważny lekarz; wyniesiono Markiewicza, a po 4 miesiącach szpitala, dopiero wyzdrowiał.

Łupiskurą, czyli egzekutorem plag cielesnych, był w naszej kaźni Szymon Bendus. Stary legjonista, wójując na St. Domingo, dał na murzynach pierwsze dowody wielkich zdolności, wzięty później przez Austryaków w niewolę, przeszedł do nich i wyszedł na kryminalnego żołnierza, co było ideałem jego zacnego żywota. Krępy, czerwony, okrągły jak beczka,

zawsze zaspany, leżał wiecznie do góry brzuchem na pryczy. Powołany do „roboty“, poprawiał czapkę, przecierał oczy, spluwał jak pijak przed wódką, wymował ostrożnie z mokrego piasku grabowiec, popieścił ręką, próbował, niby szpady o ziemię i wy-dawał, jak żaden inny, zarządzoną porcją bizunów; potem oglądnąwszy, czy nie pęknięty, chował go znowu w piasek i uśmiechnąwszy się z powagą do otaczających go z czcią łupiskórow, zataczał się na pryczach i zasypiał snem sprawiedliwych. Raz na rok po św. Michale, dawano mu wózek katowski, by jechał w las po bambusy, i wracał z zapasem na rok cały. To zwierzę byłbym pod pewnemi zastrzeżeniami chętnie poznał, bo było psychologicznie ciekawem zjawiskiem, ale jakże się poznać z człowiekiem wiecznie drzemającym i wolnym od wszelkiej ludzkiej słabości. Wódka, pieniądz, tytoń, były mu obojętne. Spał, to jest żył, wydawał kije, to jest używał życia, więcej niczego nie pragnął. Prawdziwy filozof — pryczę i kij uważał za najwyższe dobro i posiadaniem zadowolony, niczego nie pragnął na świecie. Atoli ten bałwan miał także swoich zazdrośników. Jego „kolega“ Trześniowski, mawiał mi często: „Tu panie niema tylko Szymon, może by i człowiek to potrafił, ale uchwaj Boże, Szymon to prawa ręka pana konsyljarza“. Ten łotr Trześniowski był gadatliwy i wielki polityk. „Ja był jak Szymon — mawiał — pod Kopcuskim, była to szalawiła, to gadał, tamto robił, perswadował głupim chłopom: ja wasz, także mam siermięgę jak wy, a co robił? Było tylko powiązać

panów taj oddać Moskwie, a my by sie byli z nimi pogodzili i koniec, a strach co tam oziminy i jarzyny wytratowali!“...

Sprawa naszego Związku na nas trzech osobiście zdradzonych, urwała się stanowczo. Teofil Wiśniowski wytrwał w milczeniu, pomimo „ojcowskiej“ admonicji, nic wydobyć nie mogli i byliby nas wypuścili, gdyby jednemu z partyzantów przez Moskwę ujętemu i w Sybir zesłanemu nie było przyszło na myśl denuncjować mnie podobno w Tobolsku; zeznał tam, że mu powierzał bardzo ważne papiery, wyjęte z za obicia, po które W. Tyszkiewicz przysłał go do mnie. Była to prawdziwa prawda, bo 24-letni smarkacz, przez centralizację zamianowany wodzem zbrojnej siły wschodniej Galicji, byłem w istocie w ciągłych stosunkach z Wincentem, który znowu hetmanił nad Galicją zachodnią. Tym sposobem wmieszany w sprawę partyzantów, pociągnąłem w nią i Teofila i Huga Wiśniowskich. Na kilka jeszcze miesięcy zostaliśmy w gościnie u Wittmana. Tortury sprawiane przesłuchaniami były straszne. Każdy z nas po takim posiedzeniu, padał jak nieżywy, ciało omdlewało, mózg palił. Mnie raz Wittman trzymał od 4-tej popołudniu do 2-giej w nocy. Była wprawdzie woda na stole ale ciepła, śmierdząca, kto wie czy nie zaprawiona, pomimo palącego pragnienia raz ją tylko pić próbowałem, bo rzecz pewna, że w austriackich sądach tego środka używano, zadając go nawet w potrawach, mającym być inkwirowanymi. Gdy sędziemu nie szło po myśli, przerywano protokół, potem zarzu-

cano pytaniami, na które odpowiedź już dawno była zaprotokołowana, naglono na szybką odpowiedź, porównywano z dawną, a jeżeli choćby w odmianie słów znaleziono różnicę, pisano: „*Inquisit im Wieder Spruch mit seinen früheren Aussage behauptet*“ i kazano się z tej różnicy w zeznaniach tłumaczyć. Za sprzeczne odpowiedzi wolno było karać kijami, więc takie zaprotokołowanie było nie tylko łapką, ale groźbą, zawieszoną nad inkwizytem. Teofil w nią wpadł.

Gdy mnie wreszcie uwolniono, Wittman ułożył sobie zepsuć mi całą rozkosz wyjścia, po najserdeczniejszym uściśnieniu ręki i wynurzeniu radości z mego uwolnienia, oświadczył, że muszę jechać na policję. „*Aber das kann nur paar Tage dauern*“ i będziesz pan wolnym. Więc znowu w towarzystwie jakiegoś urzędnika zawieziono mnie na policję i miano znowu do karni prowadzić, gdy moja żona przyleciała z rozkazem z apelacji i bezzwłocznie mnie wypuszczono. Przy obudzeniu się z letargu, musi mieć ocucony podobne uczucie, jak więzień, raz pierwszy oddychający całą piersią, raz pierwszy uczuwający gorące tętno wolności, w dni parę zrozumiałem usposobienie Prądzynskiego, po daleko straszniejszym, niż moje więzieniu. Gdy minęły zachwyty pierwszego powitania, czuć się dały skutki więzienia. Suknie nieznośnie parzyły, światło raziło, książki dręczyły, fajka odurzała, głosu szczególnie mówiących kobiet znieść nie mogłem, za każdym otworzeniem drzwi nerwy skakały. Dzisiaj minęło lat czterdzieści od tej pory, a w sercu

i umyśle ślady więzienia się nie zatarły. Wstrętny obrzyd do życia, elektryczna drażliwość nerwów, szaleństwo myśli, bałwanowatość ducha, bezsen lub piekielne halucynacje, oto spadek i pamiątki po Karmelitach.

*

*

*

Wkrótce po mojem uwolnieniu przyszły wyroki dla skazanych. Zaliwski, pomimo konfesaty, dostał dwadzieścia, inni od piętnastu do pięciu lat. Ciemny, jesienny, mglisty i dżdżysty był to ranek, gdy się przed sądem (oficyna pałacu Potockich) wzniosł pręgierz. Całe Halickie zamrowiło się ludem, jeden skazaniec za drugim wstępował z balkonu na rusztowanie, z dumą na czole, z pogardą w oku, a wysłuchawszy wyroku, czytanego przez jakiegoś pod pozorem fluksji po oczy poobwiązywanego Rusina, zegnał lud ręką i odchodził, wojsko wszędzie stało pod bronią, szmer tylko, jak liście przed burzą, szedł po tłumach, jednak wszystko skończyło się spokojnie. i każdy mógł do obiadu z zwykłym zasiąść apetytem. Skazani na krótki czas, odsiedzieli wyroki na Kufsteinie i wywieziono ich do Francji, inni wyszli w 1848 r., jeden ksiądz Żaboklicki kości zostawił w rękę oprawców.

Wtedy jeszcze, by sroższą uczynić karę, skazaniec po wysłuchaniu wyroku dostawał trzy dni „*Galgen-Frist*“. Sadzano go obok spowiednika przed małym stolikiem i jak umarłego odwiedzać pozwalano. Przechodnie rzucali po parę grajcarów na tackę, i z tych

pieniędzy mógł skazaniec kupować, czego zapragnął. Widok takiego żywego trupa był przerażający. — Jednemu z takich bezdusznie konającym, Kazimierz Starzyński szepnął: „Nic się nie bój, pod szubienicą dostaniesz pardon“, orzeźwił i wesoło podał szyję pod stryczek myśląc, że to żarty.

Dzień każdej egzekucji był dla naszych dozorców wielkim świętem. Od świtu panował ruch między nimi, zabierali tacę z jałmużną rzuconą potępieniowci, płynęła okowita, twarze rumieniały, nowe mundury okraszone medalami za Lipsk, jaśniały. Trzepak występował w całej paradzie i stosowanym kapeluszu, i jako naczelnny wódz kryminalnej eskorty otwierał pochód, nawet Szymon arcyłupiskura podnosił się na jednym łokciu, by się popatrzeć na wleczonego do wozu skazańca. Podczas wędrówki na szubienicę na podwórzu odbywał się targ; dozorca sprzedawali szmaty, kawałki odzieży przyszłego wisielca, szynkarzom i przekupniom, i to nie za tanie pieniądze, poczem pito zawzięcie. „*Der Herr Teufel mag ihn heissküssen*“, albo „*Szczoby mu było wesoło wandrowaty*“ — i opowiadano sobie facecjonalie, też ostatnie chwile i podrygi wisielca, a dowcipy hycli. — W takich razach sam Trzepak chodził po kaźniach z obiadem, i, podpity jak należy, dodawał nam apetytu takimi facecyjkami.

ROZDZIAŁ XX.

JAK PRZYGOTOWYWALIŚMY POWSTANIE W P. 1846-TYM?

Po wyjściu z więzienia. — Zwalczamy węglarzy! — Związek prawników i spiski w wojsku. — W Poznaniu i Krakowie wre! — Nasz rząd powstańczy. — Dziecinne halucynacje Mierosławskiego. — Dembowski działa na własną rękę. — Austriacy w strachu. — Dwunastu wodzów naczelných. — Stadion.

GDYSMY się po tygodniu wolności zeszedli z Hugiem i Teofilem Wiśniowskimi, przyznać wypadło, że węglarstwo w naszej niebytności całą linię bojową opanowało: inaczej też się stać nie mogło, z rządzącego kółka Dawid się otruł, nas trzech uwięziono, Prochaska zawsze się chylił ku węglarstwu, więc w związek wszystkimi porami wniknęli węglarze, kółka bezwiednie zamieniły się w dziesiątki, a setki najtęższych ludzi mimo woli i wiedzy ugrzęzło w tej smole. Teofil był tak zrażony a może już wtedy zwęglony, bo więzienie odbywał między węglarzami, a był to charakter bierny, że postanowił wyjechać do Francji. Zostawszy z Hugiem w takim osamotnieniu rozeszliśmy się w zapatrywaniach: ja chciałem zawiązać nowe rządzące kółko, na co materiału nie

brakowało, wszelkimi sposobami rozgłosić prawdziwe zasady węglarzy, odkryć ich knowania, by naszym odslonić oczy na rzeczy po wielkiej części im nieznane i skupiwszy koło siebie cały żywioł czysto narodowy, rozpocząć z węglarstwem walkę o śmierć lub życie. Hugo uznawał to za krok nadto rozpaczliwy. Czystością ducha i siłą poświęcenia uniesiony, postanowił dobrowolnie zostać węglarzem, by nawrócić obłąkanych i zaprowadzić ich na narodowe tory. — Przykład Krzyżanowskiego, Łukasińskiego i innych, którzy na posadach wolnomularstwa założyli towarzystwo patriotyczne, zachęcił go do tego. Nie mogąc jeden drugiego przekonać, podaliśmy sobie ręce, zaprzysięgając, że choć w nas dwóch związek polski żyć będzie. Po takim układzie poszliśmy każdy swoją drogą, ja na otwarty bój, on na skrytą z węglarstwem walkę.

Węglarze wysuwali na czoło związku ludzi zacnych, cenionych przez wszystkich, ale ster dzierżyły w dłoni figury inne. Takim jawnym wytycznikiem był wtedy Seweryn Goszczyński, ale Leon Rzewuski, istny obłąkaniec, Malinowski central, i Napoleon Nowicki („dabrataczku“), kuty Żmudziak byli jego niby to pomocnikami, w istocie kierownikami. Hugo zaraz po „zwęgleniu“ wielki zaczął wywierać wpływ i jasnym wzrokiem przezierał całą sieć matwanin, rozpiętą nad biedną halicką ziemią. Za mniemanych rządów Seweryna prysły dwa samowolne działania. W Tłumaczu młodzi ludzie, przy olbrzymiej fabryce cukru zatrudnieni (a było ich tam kilkudziesięciu pod prze-

wodnictwem dwóch braci Iwasiewiczów) w porozumieniu z fabrycznymi w Wełdzirzu zaczęli całą siłą przeciw do ruchu, zaprzysięgając co tylko zaprzysiędzą się dało, jakby za dni kilka miało wybuchnąć powstanie. Po większej części była to młoda gorąca krew bez wędzidla puszczonej samopas. W samym Lwowie utworzył się znowu z węglarskich dziesiątek tak nazwany „związek prawników“. — Parafrazując logicznie zasady węglarstwa a wznosząc się nad przesady i obłudne pojęcia o sprawiedliwości, przyjęli dotąd każdemu Związkowi przeciwne normy postępowania. Gdy wszyscy związkowi mieli wkrótce zostać adwokatami, do innych węglarskich zobowiązań dołączyli obowiązek, wszelkimi prawnymi środkami niszczyć szlachtę i każdy proces przez szlachcica przeciw nieszlachcicowi prowadzony, choćby najsprawiedliwszy, za współdziałaniem obu patronów na korzyść ostatniego przeważać. Smolka, Ziemiałkowski, Hefern, Abancourt, Sneider byli tam przywódcami.

Tymczasem węglarstwo wystawione zostało na twarde próby. Dr. Snejder denuncjował związek prawników i prawie wszystkich zamknięto do Karmelitów.

Jeszcze poprzednio (bo w r. 1838 czy 1839), wykryto między wojskowymi także węglarskie Venty. Sądy wojskowe prowadzono z wielką tajemnicą. Ile się można było dowiedzieć w pułku stojącym w Przemysłu, chciano przyprowadzić do rokoshu, i stamtąd pierwsze wyszły denuncjacje; uwięzienie Dmytrasanowicza (Kroata, którego męczarniami przyprowa-

dzono do szaleństwa) Soldenhofena, Dobrzańskiego i kilkunastu podoficerów położyło na chwilę koniec węglarstwu w austriackim wojsku. Pamiętam w roku 1838 czy 39, podczas bytności arc. Franciszka Karola we Lwowie, prosił mnie mój dawny współprzysiężony Prochaska (który w dni kilka potem się otrul), bym podczas rewji pod Grzybowicami stanął na koniu w sztabie, i obliczył, ilu przy ostatnim defilu da znak umówiony, gdyż związek wojskowy nagli do działania. 11 oficerów i 28 podoficerów lub kadetów dało znak. Przypuściwszy że niedopatrzył tych, co szli drugą stroną kolumny, to w dwóch przeciągających dywizjach mogło być osmdziesięciu przysiężonych.

Cudów cudem, pomiędzy ruskimi alumnami utrzymywały się kółka naszego związku, do których węglarze nie trafili. Dwóch popów z samborskiego byłych zaprzysiężonych alumnów wydało je, kilkunastu alumnów aresztowano lub wypędzono, kilku księży jak zacny Krzyżanowski i vice rektor Hordyński zostało zasądzonych i odtąd kler ruski wyrzekł się Polskę i bez szmeru przeszedł do obozu moskiewskiego czyli rubłowego, pod wodzą swego archireja Jachimowicza. Ten arcyłotr, na którego już podczas naszego procesu rząd przypadkiem kilka złapał poszlak i, Bóg wie dlaczego, pozwolewszy się oczyścić mianował go metropolitą, dopiero w 1863 r. uległ przeznaczeniu.

Rząd przekonawszy się o jego kotłowaniach a złapawszy papiery w Staupigiji i jego rezydencji, jasno dowodzące jego ciągłych moskiewskich zabiegów, pod sąd oddać go kazał, czem do muru przyparty w tru-

ciznie znalazł ratunek, na wielką żałobę popowskiej czerni, której do 600 sztuk na jego pogrzeb zjechało.

* * *

W jesieni 1845 r. wszyscy uwięzieni w procesie prawników, Smolka i 12 towarzyszy, wysłuchawszy wyroków przeważnie na śmierć, ułaskawieni i uwolnieni zostali; wojskowych austriackich jednakże wyjęto z amnestji, wywieziono ich na fortece. Nawet rok 1848 kilku z nich jak Dmytrasanowicza w kajdanach zostawił.

Jak w roju pszczoły koło zabłąkanej na chwilę matki, młodzież lwowska skupiła się koło Hugona Wiśniowskiego, wcale nie pytając o starszych narzuconych jej przez węglarską Ventę. Słowa jego niestety już tylko szeptane, rozchodziły się jak wyrocznie, tak, iż mniemać było można, że ideał jego dopięty, tj. że węglarstwo lwowskie lada dzień w dawny nasz polski związek się przekształci. — W kilka dni po wyjściu z więzienia, wspólni przyjaciele prosili u Huga o pozwolenie przyjścia dla Smolki. Byłem wówczas w pokoju Huga, dni jego już były policzone, ale umysł całkiem młody i silny, Smolka czekał za parawanem, potem zawołany przez Huga zbliżył się j musiał wysłuchać długą odprawę, to za sam związek prawników, to za zachowanie się w więzieniu, i wyjść z trudem tylko otrzymawszy rozgrzeszenie.

Późną jesienią tego roku, doszły nas pierwsze wieści o węglarskich kotłowaniach w Poznańskim i zachodniej Galicji, a głuchy szmer między młodzieżą

świadczył, że i u nas zbiera się na burzę. Tą razą apostołowie krwawej wiary działali podług nowego planu, z razu zostawiając szlachtę na boku, lub łudząc ją fałszywymi zwierzeniami. Pod zasłoną szlachty rzucili się na żywioł łatwy do otumanienia bo ciemny: oto zaprzysięgli setki oficjalistów, lokai, rzemieślników, nawet akcyźników i tym podobnych, już wtedy z ramienia cyrkulów uwijających się pomiędzy pocziwym „ludkiem“. Wybranymi ulubieńcami karbonarju-szów byli przedewszystkiem guwernerzy i guwernantki, położeniem najwięcej zbliżeni do szlachty, nienawidzący ją serdecznie, zatem szczególnie na szpiegów i pokusicieli młodej szlachty uzdatnieni. Zewsząd dochodziły słuchy to o zjazdach i nocnych zebraniach, to o judzeniu na szlachtę chłopstwa przez własnych oficjalistów, to o nocnych hulankach po szynkach, to o brataniu się niby to porządniejszych kobiet z podpitymi parobkami bezsromnie. Kuliszczyzna była w powietrzu, a w tym gwarze już często pochwycić się dawały jakieś słowa z innej mowy między lud przez agentów cyrkularnych rzucone. Nie zbywało i na przestrogach, zaufańsi chłopci, mniej zepsuci żydzi, o swoją własną skórę trwożliwi ostrzegali tajemniczo, że się na wielką burzę zanosi. W tej chwili szlachta, jak zawsze na mylnej zasadzie oparta, że przystąpiwszy do ruchu poprowadzić go potrafi, postanowiła działać. Adam Kochanowski, Wincenty Pol, mój bratanek Kazimierz Jabłonowski, Mieczysław Skarżyński, Władysław Rej przybyli do Lwowa wzywając nas do współdziałania.

Lwów był dla centralizacji strategicznym punktem wielkiej wagi, lecz by go osiąść trzeba było pozyskać dogorywającego Huga Wiśniowskiego, bo jeszcze z rąk jego nie wyrwano młodzieży. Teofil Wiśniowski próbował się zbliżyć, prosząc, by Hugo, wysłuchał jego sprawozdania, ale Hugo odmówił, wiedząc, że Teofil tylko pragnie jego firmy dla łatwiejszego opanowania młodzieży. Zdaje mi się, w listopadzie zajechał do mnie mój cioteczny brat Franciszek Wiesiołowski; pomimo pokrewieństwa zaufania mego nie posiadał, był to pęcherz, a o głowie jego słabe miałem wyobrażenie. Edward Dembowski, zaciekły węglarz, już na dobre rył między młodzieżą. U Huga zebrało się nas kilku. Wiesiołowski odrazu wyłożył cały głupi plan działania, lecz zarazem z taką prawdą i dokładnością nakreślił zastraszający obraz zachodniej Galicji, tak jasno wykazał postępy Dembowskiego i podminowane stanowisko Huga (już w śmiertelnej kończącego niemocy), tak dalszy opór zabiegom centralizacji niemożliwy, iż przyznać musieliśmy, że i nam dłużej zwlekać niepodobna. Do tego pojawił się jakiś jegomość z Poznańskiego w czarnym fraku i białym krawacie i przekonał nas, że tam jeszcze gorzej idzie niż w zachodniej Galicji, następnie odkrył jasno działającą ventę Lebelta, plany Mierosławskiego i histeryczne zachcianki jakiejś starej panny Szcza- czy Szaniawskiej, czy Szczanieckiej, na wielkie rozmiary prowadzącej propagandę. Wobec tego, po głębokiem zastanowieniu się nad stanem rzeczy, uznaliśmy dalszy beczyn za szkodliwy. Wychodząc z fał-

szywego założenia, że kiedy działanie ma nastąpić, lepiej by w naszym zostało rękę, przystąpiliśmy do wyboru rządu. W rządzie stanowisko Huga jasno było wytknięte, on jeden miał górę nad młodzieżą, jako starszy w węglarstwie od panów doktorów. Przy nim stanął jako naczelnik miasta Seweryn Podlewski (na pół zwęglony), Henryk Janko i Karol Hubicki, węglarze. Mnie przeznaczono na naczelnika siły zbrojnej w mieście, a później i w całym kraju, niby na wice-Mierosławskiego. Hetmani byli, lecz Bóg wie dlaczego rycerstwo pod chorągwie leniwo się ścierało. Nie dano nam recepty owego rzymskiego wodza, co tylko stopą uderzyć ziemię potrzebował, by się wymrowiły legjony.

Plan akcji podjętej przez centralizację był niezbyt skromny:

Podług *ordre de bataille* Mierosławskiego, armia halicka w sile stu tysięcy (!!) miała wejść na linię bojową, jednym zamachem zgnieść Austrię, po jej trupie podać rękę armji nadwiślańskiej, która znowu Moskwę oskrzydloną przez armję litewską, bez wszelkich ceremonji miała wrzucić do lodowatego morza na pastwę białym niedźwiedziom, a Prusaczka nieboraczka zostawiano na przekąskę dla armji poznańskiej. Podobne halucynacje były najlepszem świadectwem pocziwych zamiarów centralizacji; podają je nie wiele więcej przesadzone nad to, co ciemnym tłumom swoich sprzysiężców głosiła. Ja oświadczyłem, że ani do rządu, ani do przygotowań mieszać się nie myślę, lecz na dni kilka przed wybuchem

gotowy materiał odbiorę i podług okoliczności postąpię, ale ani od centralizacji, ani od Mierosławskiego rozkazu nie przyjmę. Tymczasem mimo istnienia naszego „rządu“, — Dembowski działał we Lwowie na własną rękę, nikogo nie pytając, nie przeszkadzało to też Wiesiołowskiemu uważać się za samoistnie działającego. Teofil Wiśniowski słuchał rozkazów Wiesiołowskiego, wnosząc, iż pod firmą Wiesiołowskiego jego rozkazy będą ściślej wykonywane. Pod obydwoma rył mieniący się dyktatorem Dembowski. *Divide et impera* było godłem centralizacji, która w obawie, by jaki śmiałek nie pochwycił działania w rękę, stawiała wszędzie rząd przeciw rządowi, wodzów przeciw wodzom. Rząd Libelta przysyłał nam z Poznania polecenia, które krzyżowały się często z rozkazami Teofila. Nasi posłannicy, jak Jan Chwalibóg, Karol Hubicki, latali od jednych do drugich, słowem rozgwar między plugastwem budującym wieżę babilońską, był niczem w porównaniu z zamieszanią przy wznoszeniu piramidy głupoty i nieuczciwości zwanej rokiem 1846-tym.

Prawdziwe rozgałęzienie władzy działającej było takie: w Poznaniu Libelt, w Galicji Wiśniowski byli narzędziami venty, we Lwowie kotłował być może za wiedzą venty Dembowski, Mierosławski ogłoszony wcieleniem nowych, dotąd świata nieznanych pojęć o wojnie, spokojniejszy od Dembowskiego, kreślił plany, wcale nie myśląc o ich wykonaniu i z każdej rad zwłoki, biesiadował i romansował swobodnie.

* * *

Z dniem każdym zbliżał się złowrogi termin. Rząd przyczajony dotychczas zdradziecko, wypuścił szpony. Zaczęły się liczne aresztowania między młodzieżą. Krieg chciał rzucić na Lwów postrach; co pół godziny silne patrole przeciągały ulicami, późną nocą biły bębny i przy pochodniach odczytywano stan oblężenia, lub wygłaszano stan wojenny, kilka razy w nocy bito na alarm, cały garnizon stawał na placach zbornych, to znowu cały batalion zaciągał do pałacu malowanego arcyksięcia, kompanie spieszyły zdwojonym krokiem na straże do generałów, adjutanci przelatywali z rozkazami. Baterje dział odprzodkowały, przy działach stawali żołnierze z zapalonymi lontami; zdawać się mogło, że lada minuta posypie się grad kul i burza ryknie piorunami. Przerazenie było ogromne, może większe w wojsku austriackim niż u nas.

Z tego powodu miałem przykre zdarzenie. Nademną mieszkał gen. Narboni; znałem go w domu matki, a choć mnie, drażliwego kogucika, bardzo laskotał jego austriacki mundur, szanowałem go, jako jednego z dzielnych oficerów włoskiej armji za czasów Wielkiego, tem więcej, że z ust do ust chodziła wtedy jego odpowiedź dana cesarzowi Franciszkowi. Na zapytanie, jak mu się Wiedeń podoba, odpowiedział: „*Oh, je conue la ville depuis longtems, j'y suis entré par deux fois, avec il Triumfatore!*“ Otóż właśnie wtedy Narboni leżał na śmiertelnej pościeli; w malignie przywidywało mu się, że go przyjdą zamordować. „*Jabłonowski est un carbonaro, il viendra*

me poignarder, car je suis un faux frère“. Napróżno dla uspokojenia go zdwajano strażę, podczas każdego alarmu kompanja grenadjerów gęstą kolumną stawała na schodach, napróżno obok mieszkający di Serbelani, także generał włoskiej armji, po ślizgawicy przez dwóch adjutantów prowadzony, przychodził uspokajając przyjaciela — do skonu trafiło go moje widmo i ciągle jedno powtarzał.

Kiedy tak rząd szpikował bagnetami spokojne ulice Lwowa, na naszych zbiorowiskach stawało kilka razy po 1300 zbrojnych sprzysiężonych, garnizon zaś lwowski liczył 9 węgierskich batalionów, 3 galicyjskie, 1 grenadjerów, dywizjon huzarów, 8 baterji dział, razem przeszło 14.000 żołnierza. Nadto byłem doświadczony bym mniemał, że w danej chwili więcej niż piąta część sprzymierzonych stanie, ale zginać i z tem było łatwo z honorem, a o innej nadzieji nie marzyłem. Zemstę zostawiałem owej stutysięcznej armji, co miała Austrię rozbić na trzaski. Plan był łatwy, bo jedyny; uderzyć kupkami na rządowe znakomitości z najgorszych drabów, jak Sachery, Mülbachery etc., narobić trochę bigosu i dać się roznieść na bagnetach. Cóż innego było do zrobienia, gdy już koniecznie coś zrobić wypadało? Sam Mierosławski nic innego nie byłby wymyślił. Na trzy dni przed terminem chciałem zniknąć i z ukrycia wydawać rozkazy w mojem imieniu całkiem otwarcie, by większe rozbudzić zaufanie. W powietrzu zaczynało być parno, pomnę raz wieczór wpadł do mnie Janko już bardzo rozogniony. U niego w wigilję dnia

tego było walne zgromadzenie z udziałem Teofila Wiśniowskiego, wydano tam rozkaz pewnemu poczciwemu chłopcu Czajkowskiemu, by na czele nadniestrzańskiej szlachty ruszał na Sambor. Henryk już był poczuł proch, z jednej kieszeni rzucił paczkę ładunków, z drugiej garść kul, skręcił się na obcasach i mówiąc „idę zaczynać“, wyszedł nie pytając, co to się dzieje. Ja z pełnym podpisem wysłałem rozkazy powstania w Złoczowskie i Brzeżańskie, gdzie już to pod Edwardem Doniewiczem z Lipowia, już pod Ignacym Komorowskim, zaczynały się po lasach zbierać kupki powstańców, złożone po większej części z oficjalistów dóbr brzeżańskich, z których jedna spotkawszy się pod Narajowem z całym plutonem huzarów, wysłanym z Brzeżan na rekonesans i dawszy doń niespodzianie z rowu ognia, cały pluton w dzikim nieładzie zapędziła do Brzeżan, gdzie piechota w szyku bojowym oczekiwała napadu powstańców.

Ostatni raz zwołałem na zbiorowiska, by ostatnie wyznaczyć działanie i czekałem oparty na łokciach terminu, jak Mierosławski nie mogący się zdecydować, czy zwycięskie armje na Kitaj i Stambuł, czy na Stokholm rzucić ku Warszawie. Parę tygodni przed terminem, Władysław Rej obiecał przysłać mi na pierwszą chwilę 300 całkiem uzbrojonych strzelców, jeżelibym miał za małe siły do opanowania miasta, (niech to świadczy, jaka kołowacizna zawracała głowy szlachcie).

Gdy pewnego rana leżę nad planem Lwowa, jak

Napoleon nad mapą Italji przed Marengo, wchodzi mało mi znany adwokat Piotr Romanowicz, zwany szpileczką; komunikuje mi, że jest wojskowym naczelnikiem miasta i żąda rady w niektórych obiektach, jakoto: o zamykaniu ulic, podkładaniu min i t. d., bo braknie mu czasu by potrzebne zrobić studja. Ledwiem się zbył tego wojowniczego mecenasa, wpada inny, jakiś całkiem nieznajomy, już całkiem ścięty (bo im bliżej było do terminu, tem pilniej zagładano do cukierni i szynków), powtarzając zwierzenia Romanowicza, lecz miasto jego, siebie mianując naczelnym wodzem! Tego już mi było za wiele, lecę do rządu, u wejścia do Huga, łapie mnie trzeci wojownik, obcałowując zaznajamia z swą godnością i prosi bym na przypadek śmierci objął po nim dowództwo, bo ma przecucie, że od pierwszej kuli padnie. Odtrąciwszy mazgaja wpadam do Huga, oznajmiając przytomnym członkom rządu, że tym panom każę głowy pogolić i do piwnicy ich pozamykam, by mi się między nogi nie plątali, gdy się dowiaduję, że to Dembowski, niechcąc by ruch został w szlacheckim ręku, zamianował pierwszych lepszych z brzegu 12-tu naczelników wojennych w mieście. Zakląłem po rusku i zamknąwszy się w domu, usunąłem się od wszystkiego.

Dzień później stojąc w kasynie przy bilardzie, widzę wchodzącego gen. Edwarda Lichtensteina, który odpasując pałasz a śmiejąc się buraczkowem obliczem, woła do nas sobie właściwym kogucim głosem: „*Was neues, was funkelneues! in Krakau ist die*

Geschichte los“. Więcej powiedzieć czy nie chciał, czy nie umiał. Feliks Mier, porucznik od Huzarów dodał, że od południa piechota stoi pod bronią w koszarach a jazda przy koniach. Jednym skokiem byłem w naszym kółku, Hugo Wiśniowski konał spokojnie słuchając z uśmiechem opowiadań o Narajowie, wieści o rzezi Bóg nie dopuścił do konającego. Piękny był jego pogrzeb, przy katafalku stała policja, od bramy (mieszkał na dole, w domu u Dubsa narożnym, między Sykstuską a dzisiejszą Kościuszkowską ulicą) przez miasto stało wojsko pod bronią, a dzielna młodzież nasza chociaż w grozie posłuchu o rzezi, wyrwała trumnę policji, odsunęła wojsko i ciągle napastowana doniosła ciało aż do grobu.

Ostatnim pomysłem Dembowskiego było zebrać nie kupkę młodzieży, którą nazywał tebańską legją. Postanowił na jej czele uderzyć na pałac arcyksięcia, na szczęście sam sobie poprzecinał nici swemi dwunastu wodzami. Jak i kiedy ze Lwowa wyjechał nie wiem, usłyszeliśmy o nim dopiero gdy wybuchła ruchawka w Krakowie, a Tyssowski, całkiem ciemny dependent ze Lwowa, ogłoszony został dyktatorem. Dembowski wydał manifest zaczynający się od słów „Lud wymierzył sprawiedliwość, szlachecka krew spłynęła po nożach“. Czy *in persona* gdzie między świętym tarnowskim ludkiem nie był, powiedzieć nie potrafię. — Wiem wprawdzie, że, gdy wycinano rodzinę Boguszów jakiś „parobek“ mazury i krakowiaki wygrywał na fortepianie, ale to mógł nie być

Dembowski, bo wielu przebranych węglarzy i urzędników snuło się między czerniawą.

Tymczasem doszły nas pierwsze, krew w żyłach ścinające wieści o rzezi tarnowskiej.

Podobno arcyksiążę-gubernator dowiedziawszy się o rzezi „rozpaczał“, cała sfera nie wychodzących od niego Jezuitów uspokoić go nie mogła, co dnia się spowiadał, co chwila przywoływał księdza, niby w śmiertelnych trwogach konający zbrodnień, godzinami klęczał w klęczniku, lub leżał krzyżem zalewając się łzami, a podczas tych jałowych rozpaczy, kamaryła pastwiła się swobodnie nad biednym krajem. Nareszcie zbrzydziwszy sobie urząd, a pojąwszy, że nie jego starości rządzić zaburzoną prowincją, arc. Ferdynand podał się do dymisji i odtąd nie wychodząc z katedry czekał wezwania do Wiednia. Mówią, że to czarne usposobienie dręczyło go do śmierci. — Jako prezydent gubernialny objął władzę Krieg, figura chytra, przewrotna, w sobie zamknięta. Baron Sala, wymyślając nowe dręczarnie na szlachtę, lubieżnił się wspomnieniami rzezi i podkopywał Kriega, Sacher Masoch, dyrektor policji, korzystał ze sposobności i kradł obiema rękami zabraną po dworach broń, tak. iż wkrótce wcale ładny zbiór kosztownych zebrawszy starożytności, chciał go uzupełnić pyszną zbrojownią ks. Henryka w Przeworsku, zagarnął ją bez ceremonji, jednakże oddać ją musiał i dziś zdobi Muzeum Lubomirskich. Pląsy podrzędnych hyclików nadto obrzydliwe bym je opisywał. Kto zna ten żywioł biurokratyczno-demokratyczno-socjalny, domyśli

się ich zbyt łatwo. Z czasem Kriega usunięto a na miejsce arcyksięcia jako gubernator przyszedł Stadion, jeden z największych, z najzaciętszych wrogów, jakich kiedy miała Galicja. Będąc komisarzem cyrkularnym w Samborze, był słodszy od makagigi, znał całą szlachtę, zaprzyjaźnił się z nią, polował, gościł pod najmniej zamożnemi strzechami, nie brzydził się kopciuchą, zakąsał czarnym chlebem, witał i żegnał serdecznem: „*No wie geht es Dir Bruder? Lebe wohl Ritter Heissporn*“. — Pod biedną strzechą Nereusza Hoszowskiego siadywał po dni kilka, z Wittem Żelińskim także wtedy komisarzem, to już była przyjaźń „*fest wie Eisen*“. — A pomimo tego był to zimny jak lód fanatyk, biurokratycznej wiary. Jako Stadion, pogardzał wszystkim co nie było odbłaskiem korony niemieckiego carstwa, jako gubernator wystawiał swą godność jak ksiądz Przenajświętsze przy Podniesieniu. — Wysoki, smukły, blady, w ruchach pewny, jak koń doskonale wybiczowany, wymowny, w znaczące półsłówka bogaty, mało jeżeli nie wcale pociągający, pod powierzchownością dość arystokratyczną krył duszę najpodlejszą. Umyślnie odwlekając podróż, przybył do Lwowa w dzień po straceniu Wiśniowskiego jakby szubienicę chciał postawić u drzwi swego biura. Ironiczny uśmiech, z jakim przyjmował szlachtę, która pomna jego samborskiej przeszłości brała to za przymilenie, opisać się nie da, a czasem i na grubsze pozwalał sobie figielki. Pamiętam raz było nas trzydziestu u niego na obiedzie, a gdy już służba usunęła krzesła i każdy usiadł, otwo-

rzyły się drzwi, i w pełnym mundurze wszedł jeden z przywódców rzezi 1846 r. Chomiński. — Krew oblała twarz, krzesła zaszemrały jakby wstawać chciało ale na tyle przytomności umysłu polska natura się nie zdobyła, każdy spojrzął na sąsiada a widząc, że nie wstaje, nie ruszył się z krzesła. Nie mogłem bez odwetu przełknąć tej zniewagi, i siedząc o parę krzesel od Stadjona, rzekłem dość głośno do siedzącego obok mnie Adama Lubomirskiego, wskazując na czerwona wą zupę: „*mais regardez donc qu'elle soupe délicateuse, c'est tout comme du sang qui fumme encore*“. Spojrzenie grzechotnika zapewniło mnie, że kula padła w czarne, a zastraszona fizjognomja Gonty, od którego sąsiedzi usunęli się o trzy siedzenia, świadczyła, że w tej chwili z wielką ochotą byłby się pod stół schował.

Dziełem Stadjona było — jak wiadomo — wywołanie ruszczyzny i rozkiełznanie jej świaszczenyków. Otrzymałszy po r. 1848 tekę ministerjalną, nie zapomniał Stadion o nas i darzył nas swemi czarnemi względami. Opowiadają, że śmierć Wacława Zaleskiego, któremu zatrute cygara u siebie przy czarnej kawie własnoręcznie podał, uśmiechając się, były ostatnim darem, przysłanym przez Stadjona zniechędzonemu krajowi.

Wiosna ludów, o której teraz opowiem, zastała Stadion na fotelu gubernatora.

ROZDZIAŁ XXI.

WIOSNA LUDÓW CZYLI ZABAWA W WOLNOŚĆ!...

Lwów w dniu 19. marca 1848. — Jak podpisywaliśmy adresem. — Ulubienicy ulicy — *La journée de baisers*. — Pan Pietrzycki z Brykuły. — *Es lebe der Kaiser u. König von Polen!* — Rada i gwardja narodowa.

DZIEŃ to był prześliczny, spokojny, słoneczny, ten 19-ty marca 1848 r., wszyscy w letnich chodziliśmy sukniach. Już około 10-tej rano, wielki ruch zrobił się na mieście, wyraźnie zakipiało, tysiące parły się do podpisu, ledwo setny wiedział czego, lecz byłby chętnie i wyrok śmierci podpisał sam na siebie, byle raz pierwszy w życiu obywatelskiego użyć prawa. Jeszcze przed kilku tygodniami zamiar taki pachniał szubienicą, teraz w obliczu rewolucji europejskiej wydawał się dziwnie łagodnym. Chodziło bowiem o adres do cesarza z żądaniem autonomji, polskiej szkoły, sądów i władz, zniesienia cenzury, amnestji dla więźniów stany i t. d. Na Halickim placu czerniało i wrzało jak w mrowisku, na balkon kamienicy narożnej niegdyś Kulczyckiego, wkroczył Józef Dzierzkowski. Rzadkim włosem igrał mu powiew, słońce jasno oświetlało ły-

sinę. Trybun rozwiął z powagą arkusz i odczytywał adres, grzmiący z piersi jego brązowej, jak huk bęb-
nów, bijących do ataku. Skoro się usunął, luzowała
go maleńka figurka, zwana Janem Dobrzańskim. Oczy
Jasia pały tryumfem, na twarzy palił się namiętny
rumieniec, długimi kudłatymi włosami potrząsał niby
grzywą i słabiutkim dyszkantem parodjował pioruny
Dzierżkowskiego.

Kobiety na przeciwległych balkonach szalały w hi-
sterycznych napadach, same nie wiedząc czego, mod-
liły się, płakały, bo kobieta wszystko lubi co ją
drażni, a wszystko z chciwością połyka, co jej wy-
obrażnię gorączkuje i roznamiętnia; na balkonie
Hofmana, stara, siwa, okazała szefowa Winnicka
(z domu Raciborowska) z rozpuszczonymi włosami,
niby jaka druidessa, drzewem krzyża św. błogosła-
wiła lud a po obu licach spływały dwie strugi łez,
strumienie z wiecznego źródła na górach Mendoga,
gdy śliczna jej córka z wzniesionemi do góry rękoma,
z niebem jakieś tajne wiodła pogadanki.

Po każdym odczytaniu rzucono z balkonu białe
arkusze, które tłumy chwytaly w powietrzu i czy kto
w Boga wierzył lub nie wierzył, podpisywał na ka-
mieniach, schodach, na plecach jeden drugiego, dzieci
i niepisemni znakiem krzyża św. Około 12-tej, depu-
taci stanowi, zgromadzeni u Krzczunowicza, przysłali
w deputacji J. Chwaliboga i Juljana Malczewskiego,
zapraszając do podpisu swojego adresu. Już sam
wybór deputowanych dowodził, że jasnego pojęcia
o tem co się dzieje niema. Gdy wszedł do salonu

Kornela, zastałem zamęt nie do pojęcia. Adres leżał na stole, ale wszyscy kręcili się po salonie, wszyscy naraz mówili, od pierwszego kroku poznałem, że wszystko stracone, a gdy w chwili po mnie wróciła deputacja, szlachta tłumnie rzuciła się do drzwi i pospieszyła podpisywać adres ludowy. Wkrótce potem Dobrzański nagle zaniemógł z wysilenia, odwieziono go do mieszkania, baby otoczyły łożo improwizowanego trybuna, tłumy rozgawroniły się pod oknami, a Aleksander Jadźwiński, najmniej genialny z wszystkich autochtonów Europy, przez szybkę od czasu do czasu wychylał głowę i silnym głosem wygłaszał biuletyny:

— „Lekarze przy chorym“. „Kładą mu zimne okłady“.

Głos z tłumu: — „Wsadzić łeb w ceber lodu! to koler“.

— „Stan niepewny“.

Inny głos: — „Ciąć w żyłę, niech krew płynie póki czarna, potem zalać saletrą!“

Głos kobiecy: — „Opasać paskiem błogosławionego Jana z Dukli“.

— „Okłady nie skutkują“.

— „Kręcić za uszy, to myszy!“

Głos kobiecy: — „Myśleć o duszy, posłać po księdza!“

Jadźwiński z radością: — „Chory ma się lepiej“.

— „Dać ciemierzycy, niech się wykicha, jak się wyparska, będzie zdrów“.

— „Chory poznaje ludzi, pani X. podaje mu rosół; wypił całą filiżankę“.

— Wiwat Dobrzański! Wypił, wypił, nic nie zostawił“.

Tłum chórem: — „Bogdaj go, bogdaj go Bóg błogosławił!“

Jadźwiński: — „Lekarze proszą o spokój, chce spać!“

— „Wiwat Jadźwiński! Spij sobie Dobrzański, my nie przeszkadzamy“ — i śmiejąc się rozlazła się ciżba ulicami.

Z godziną każdą rosło wzburzenie na mieście, dziwny szal i kołowacizna opanowały zaczęły umysły, nieznajomi ściskali się płacząc, kobiety całowały się z przechodniami, co jeszcze czasami było najmniej nieprzyjemnem fraternizowaniem. Sześćdziesięcioletnia, badzo wysoka, bardzo chuda z długą pergaminową twarzą panna Paparówna, poetka na domowym Kapitolu, jak Dante lub Petrarca olauirowana, w białym pudermantlu, udającym chlamidę, z obnażonemi po szyję ramionami, a sutym wieńcem wawrzynu na czole, przechadzała się poważnie; czyhała jak sturamienna sepia na zdobycz. Kozak pana X., wywodząc dziwne szumki, szedł prysiudami, stadem wydrzyżniających się ulicznych bąków otoczony. Aktor Nowakowski, zalewając się łzami, przerywaną od szloch mową, przyciskał kogo dopadł do piersi, obsypywał wynurzeniami, gorących uczuć, co mu z łatwością nie przychodziło, bo nikt sekundy na miejscu nie ustał. Mnie gdym się tym macabrom przypatrywał, porwano

z nienacka, zaprowadzono do jakiejś szynkowej sali, gdzie zastałem kilkudziesięciu z czeladzi. Słowa słychać nie było, tylko cmok obrzydliwych całusów, plusk łap i bełkot szalejących; rzucony w ten wir, gdy się w końcu wydobyć potrafiłem, byłem cały ośliniony i oblany bratnim potem, tedy czemprędzej wpadłem do łazienek, by obmyć ślady niespodzianej owacji, a nadewszystko stracić z oczu jakiegoś krępego chłopca, który przyparłszy mnie do ściany trzymał za brodę i po prostu jadł i już pożerać zaczynał. Jednakże ani na mieście, ani w tej sali nie było pijanych, a jak Bóg Bogiem czego szaleją, nie wiedzieli. W Paryżu dzień ten nazwanoby niezawodnie: „*La journée de baisers*“.

Coraz więcej wzmagający się tumult zaczął w końcu niepokoić Stadjona. Lękał się on, by nagle z więzów uwolnione umysły, jak psy spuszczone z łańcuchów granic przekroczyć nie chciały, przeczuwał w Vencie więcej energii i przytomności umysłu, niż posiadała. Około 3-ciej, szwadron huzarów, przypadł kłusem i rozciągnął się po pod Hofmanem, przyjęty gromkami „*Eljen Madiary*“. Otoczony gęstemi tłumami, przez eleganckie panie ugłaskany, zaczął jakąś dziwną mieć minę, odwołano go bezzwłocznie, natomiast na Janowskim podpalono jakąś budę, uderzono w bębny i dzwony na ogień, wojska po koszarach stanęły pod bronią, wysyłając na miasto silne patrole. Z uderzeniem 5-tej, deputacja ochotników, przeważnie węglarzy, na czele tysięcy ludu, wyruszyła z adresem do Stadjona. Ustnie miała prosić o uwolnienie politycz-

nych więźniów. Przypuszczono ją bez zwłoki, a w minut kilka wyszedł Stadjon na balkon, oznajmiając ludowi, że adres złoży u podnóża tronu, a o amnestję dla więźniów już kazał telegrafować. Zniecierpliwione tą zwłoką, groźno rozgwarzyły się tłumy, miejscami wołano: „To do Karmelitów!“ „To na Karmelity!“ kilka kup pociągnęło istotnie, okrzykami uwiadomić więźniów, że uwolnienie blizkie. Więc i po kaźniach poszedł gorący oddech wolności i słychać było chwilami radosne okrzyki niecierpliwych. Koło Stadjona tłumy wyglądały groźnie, gwar stawał się coraz mocniejszym, ale po chwili jakieś indywidua zaczęły przepychać się ciżbą i to krótkim słowem, to znakami skłoniły lud do usunięcia się ku miastu. Podczas tych zawikłań, Stadjon dostał zawiadomienie z komendy, że zawezwany z Gródka pułk cesarskich dragonów, (podczas tarnowskiej rzezi przewany kaiser-hyclami), w dwa dywizjony już się zbliża do rogatek, więc pokrzepiony na duchu Stadion nie wahał się stanowczym rozkazem uspokojenia miasta, trochę otrzeźwić niepokojącą go deputację. Mniej butnym niż weszła, wyszła krokiem i z swej strony publicznie uspokajając zaczęła.

Z nocą miasto zajaśniało iluminacją, ulicami już spokojniejsze gęsto falowały tłumy, a pomiędzy nie w polskim stroju, przez dwóch synów prowadzony podtrzymujących ręce ojcu jak Mojżeszowi na widok Kanaanu, postępował spiesznym krokiem rozrzewniony, rozplakany, rozszlochany, ogromny, czarny Melitan Pinczakowski. Na to zjawisko z pokorą rozstę-

powąła się cizba, wołając: „Oto prowadzą polskiego króla!“, a chociaż ten król więcej do żołądneho tura, niż do Piastowicza był podobnym, kudłate chłopstwo widząc rogatywkę i żółte buty, rozleciało się z wieścią, że polski król już zjechał do Lwowa.

W tej chwili na placu św. Ducha nie mniej poruczająca działa się scena, kilku chłopomanów porwało trzech gawroniących się muzyków i obściskawszy, a obcałowawszy dokładnie, zagłupiałych a opierających się, prawie przemocą wcisnęło w cukiernię Żółkiewskiego i nuż Kuba do Jakuba! Zrazu jakoś to mężnie znosili raczeni, ale gdy na dobitek w najwyższym zachwycie bratolubstwa palnąć im kazano po lampce różanego likworu, na tyle słodyczy wzdrygnęła się ich natura, i jak trupy rozciągnięci na chodniku, zaczęli oddawać cesarzowi, co cesarskie. Wokoło nieszczęśliwych zgromadziły się kupki i gruchła wieść, że Polaki trują chłopów, nareszcie bezdusznych zaniesiono do policji, gdzie jakiś rozsądny komisarz wytrzeźwionych uleczył kręgiem kielbasy i kwartą kopciuchy. Wróciwszy na wieś, rozpowiadali: „Polaki na smert nam dały zadanie, były by wsi pomeřły, ałe pan komisar, zrobyw ład, ta i my sława Chrysti Panu wernuły sia na seło“.

*

*

*

Przekonałem się niejednokrotnie, że w chwilach ogólnego zaburzenia, napada ludzi niepokój, zmuszający ich co bądź robić, byle robić. Taki bzik napadł Pietrzyckiego, poczciwego szlachetkę z Brykuły. Okul-

baczywszy naręczną, chudą jak hak kobyłkę, derezowatą a potulną jak dziecko, sam także chudy, z tatarska po kozacku ubrany, w wysokiej spiczastej konfederatce, istny wizerunek rycerza z La Manchy, przełożonego na polskie, pojawił się niespodzianie na rogu Halickiej ulicy, którą lud tłumnie wracał od Stadjona. Napływ przechodniów wydał się naszemu rycerzowi za groźny, więc postawiwszy kobyłkę w poprzek ulicy, przemówił do publiki mniej więcej w te słowa: „Bracia, ojcowie, matki, siostry, żony nasze! Nie godzi się tak pięknego dnia zamącać niepokojem, w imieniu ojczyzny wzywam was rozejdźcie się do domów“. Gdy przechodniom pilno było, więc po każdej takiej alokucji, albo kobieta parasolką, albo szewczyk kłapiem szturknął w brzuch kobyłkę, a biedactwo zupełnie nie mając zamiaru sprzeciwienia się przechodniom, skręcało się długą szyjką ku ogonkowi i unosiło jeźdźca o parę kroków na bok. Pan Pietrzycki skróciwszy bez miary długie wodze, nawracał znowu na dawne stanowisko, by z powagą ciągle jedną powtarzać przemowę. Te domowe nieporozumienia między jeźdźcem a dereszką wywoływały głośne śmiechy i żarciki, aż w końcu tłum przesłiznął się szczęśliwie, a gdy Pietrzycki wolną zobaczył ulicę, oboma obcasami i laską dał hasło i już w zupełnej zgodzie puścili się oboje żydowskim galopkiem do Stadjona. Zostawiwszy wierzch gapiącemu się ulicznikowi, pan Pietrzycki z tęgą miną wszedł do salonu i po polsku zameldował: „Ekscelencja może być całkiem spokojną, bom już przywrócił po-

rządek. — „*Was will der Narr?*“, zapytał Stadjon Goluchońskiego. — „*Er sagt, dass Excellenz ruhig schlafen können, denn er hat die Ruhe hergestellt*“. — „*Ein loyaler Trotel*“, mruknął Stadjon z uśmiechem.

Późno w noc salony Stadjona stały otworem, kto chciał wchodził i kiedy chciał wychodził. Późno w noc tłumy obozowały na bruku, centrały zaskoczone wypadkami, a oszołomione adresem, tej nocy opuściły sposobność, nazajutrz już było zapóźno. Cała brygada kawalerji obozowała na przedmieściach i pod miastem. Artylerja naprędce uprzęła kilka baterji dział końmi od pociągów, komenderujący Hamerstein był dość sprężystym żołnierzem, a Stadjon twardego charakteru rządca, który by się był dość chętnie zabawił, „*mit der polnischen Kanalie*“. — Wyznać muszę, iż następnych parę dni, co do czasu i porządku godzin mocno się w mej pamięci powikłały. Trzy pierwsze były jak jeden dzień cały, gwar, tłok i tumult, noc od zmierzchu oświetlenie okien i znowu gwar i tumult. Od świtu do świtu na bruku, w stu miejscach stu zdarzeń świadek, chronologicznego porządku utrzymać nie jestem w stanie.

Nazajutrz wszedłszy do akademji. zastaję w anatomicznym teatrze kilkunastu alumnów i księży z naszych dawnych kółek (Krzyżanowskiego, Krynickiego, Mochnackiego, Dolnickiego, Hordyńskiego), podpisujących na sekcyjnym stole adres do braci Polaków. Chociaż chęci były najpocziwsze sam pomysł adresu mi się nie podobał, uznawało się w nim różnicę między Rusinami a Polakami, co dotąd nikomu z nas

do głowy nie przyszło, a raz taki pewnik przyjęty musiał piekielnym robotom otworzyć wrota. Na podwórzu akademickim kipiało, a stojący w oknie 1-go piętra Józef Zurakowski, pocziwy człowiek ale węglarz i pasjonowany orator dowodził, iż nie białą, ale trójkolorową kokardę przyjąć należy: Słuchano go zrazu cierpliwie gdy ktoś krzyknął: „biała nasza“ — a sto głosów powtórzyło „Biała nasza!“, gdy drugich sto zakrzyknęło akademickie: „Pal go!“ Takie *dictum acerbum* zbiło najlogiczniejsze rozumowania a Józef oburzony na taką niesforność wyniósł się górnymi korytarzami na rynek, gdzie już mniej gwałtownie wykład o kokardach kończył.

Idąc do domu adresowego spostrzegłem na dole u drzwi redakcyjnych pokoi wartę, która tylko za danym znakiem przepuszczała; wszedłszy spostrzegłem z trzydziestu węglarzy naradzających się tłumnie nad deputacją do Wiednia, wywód stąd był jasny, że venta stara się stanowczo ująć całe działanie w swe drapieżne pazurki. — W sali ratuszowej o tem samem radzono na ogólnem zgromadzeniu, olbrzymi sesjonalny stół był obsadzony węglarzami, do których gdy się przyłączyli i ci z tajnej narady, w mgnieniu oka deputacja wybraną została. Na rynku był gwar wielki w jednym z otwartych okien sali leżący Siemieński (brat Lucjana), to z czasami mieszał się do dyskusji, to parę burzliwych słów rzucał w ciżbę huczącą na mieście; tam znowu Smagłowski z kamiennej cembrowiny długimi przemowy namawiał publiczność, by połapawszy Jezuitów, kazała im na kolanach przepa-

szać metropolitę za udział miany niegdyś w przeprowadzaniu unji. Wojska stały czworobokiem po pod pirzeje rynku; venta widocznie stracone pole odzyskać chciała, z czarniawy odzywały się pojedyncze głosy: „Do Stadjona“. „Na arsenał“. Czasami konne przelatywały posyłki z rozkazami. „Biją się na Halickiem“, „Biją się na Żółkiewskiem“, wołali jedni, „Moskale w Złoczowie — Moskale w Winnikach“, inni. Gdyby kto raz był przypadkiem wystrzelił jestem pewny, że lud byłby się rzucił na wojsko, tem wszystkiem tak zagłupione, iż samo co robić nie wiedziało. Widziałem sam jakiegoś pana, pod pozorem oglądania nowej broni, odbierającego żołnierzowi karabin a żołnierz na to nic nie mówił, do tego ciżba tak ociskała wojsko, że z miejsca ruszyć nie mogło.

Gdy tak kipić zaczynało na dobre, okazały się dwa wozy z starami karabinami, torujące sobie drogę przez ciżbę, za nimi piechotą szedł... Stadion. Przed akademią stanął, młodzież niższych klas uformowała szpaler a Stadion rozdając własnoręcznie broń, prosił, by utrzymywała porządek w mieście i krótką przemowę zakończył: „*Es lebe der Kaiser und König von Polen*“. Akademia zagrzmiała: „Niech żyje cesarz a król polski!“ — rozerwała broń i kilkunastu patrolami ruszyła na miasto. Lud widząc swą dziatwę zamienioną w wojowników, uginających się pod karabinami, śmiał się i w dobrym humorze rozlaź się do domu spokojnie, — Taką to sprytną choć złą bestją był ten Stadjon!

Nie jestem pewny czy drugiego czy aż trzeciego

dnia, zaczęto wypuszczać więźniów. Fiakry zajechały przed kryminal, każdy uwolniony wyjeżdżał w tryumfie witany okrzykami ludu. W sali Zakładu Ossolińskich zasiadał Komitet zajmujący się ich umieszczeniem. Ja wyprosiłem sobie mego dawnego towarzysza z Karmelitów Hen. Rogalińskiego co dla mnie z tych dni marcowych było jedynym zyskiem.

* * *

Po uspokojeniu się umysłów postanowiono uzyskać większą wolność dla dziennikarstwa. Nigdy się nie domyślił dlaczego mnie, (który nienawidzę wolności druku) wybrano do deputacji. Dobrzański i Aleksander Fredro prowadzili rozmowę z Stadjonem, my tylko kiwaniem głów i uśmiechami braliśmy w niej udział. Stadjon, wyczerpawszy wszystkie inne, zakończył argumentem *ad hominem*, do zbicia bardzo trudnym.

— Kiedy panom tyle na tem zależy zniósę cenzurę, ale pamiętajcie, że i przeciwnikom waszym też wolność przysługiwać będzie.

Dobrzański nic przeciwko temu mieć nie mógł, otwierało mu się szerokie pole dziennikarstwa i polemika, zatem żniwo jakich mało, ale że Aleksander się nie ocknął, do zrozumienia trudnem. Wyszedłszy od Stadiona pierwszy raz na rogach ulicy Nowej ujrzeliśmy plakat: „Póki świat światem, nie będzie Rusin Polakowi bratem“. Szepnąłem do Aleksandra: „Czy nie wrócilibyśmy do Stadjona prosić o przywrócenie cenzury?“.

Od pierwszej chwili pragnące działać żywioty, kryształizowały się około czterech środków działania, niemi były: Rada Narodowa, Legjon akademicki, Gwardja i Venta.

Rada Narodowa od razu stała się sklepem, narzędziem Venty, przez którą założoną została, genesis jej była całkiem rewolucyjna. Pewnego dnia o 8-mej z rana w reutowej sali, zebrało się liczne zgromadzenie, wyborów żadnych nie było. Koło drugiego stołu, kto chciał zasiadał zapraszając jak do obiadu sąsiada, w tej chwili duch święty wstępował w obydwóch i stawali się ojcami ojczyzny. Siadło kilkunaśtu węglarzy lub mularzy, parę ślepowronów ze szlachty, kilku z tak zwanej inteligencji i reszta z najniewinniejszych mieszczan złożona. Posiedzenia zawsze jednym odbywały się porządkiem, ktoś liczył siedzących i ogłaszał komplet, zabawiano się plotkami z ulicy, czytano listy z kraju, fraternizowano z sprowadzonymi z miasta chłopami, widocznie temi pieszczotami znudzonymi, potem zapalono cygara, ziewano, drzemano. Podczas tego prologu, radzono w Vencie co czynić? Smolka, Hefern, Abancourt lub inny, z gotowym pasztetem wychodzili, wślizgiwali się do Rady Narodowej i bez oporu przeprowadzali, co chcieli. Gdy i po innych miastach zawiązały się podobne Rady, każda po dwóch członków wysłała do lwowskiej, co jej kraju uzyczyć miało.

Legjon akademicki — podzielony na sześć kompanji po 200 ludzi, otrzymał sześciu węglarzy na kapitanów, na dowódcę wzięto Antyma Nikorowicza (z pierw-

szego małżeństwa syna P. Depan) byłego oficera austriackiego, najpocziwszego, najszlachetniejszego, ale i najłatwiejszego do zaszłomienia ślepowrona; na ptaszę sternicze dodano mu jako adjutanta Barewicza czystej krwi węglarza. Dobroduszny Antym tak ochętny, wszelkie gwarancje posłuszeństwa dawał wencie; a dla jeszcze większej pewności, dla swego dzierżawcę Jana Fedorowicza, nie złego człowieka, ale który przez całe życie pięciu minut sam siebie nie rozumiał, w najniższy stopień węglarstwa został inicjowany i zaprzysiężony na ślepe posłuszeństwo wyższym rozkazom. Ten Jan Fedorowicz, pan na Oknie, dziwnego autoramentu był człowiekiem. Syn bogatego popa, w 1831 r. służył w naszym wojsku, wzięty w niewolę popadł w ręce jakiegoś generała, który go polubił; obsypany względami, uwolniony, za jego przepustką wrócił do domu. Członek polskiego Związku, w jednym kółku z K. Grocholskim i Rungem, wraz z nimi stał się węglarzem, w 1848 r. wysłany na sejm do Wiednia, zaczął dziwne koziołki, które już do śmierci przewracał. To z polską przebrany, żył z szlachtą, która go lubiła, to zawdzięczał chłopski kozuch, bił pokłony, śpiewał „*Światy krepki!*“ i proklamował się Rusinem na twardo chrzczonym, co już wtedy znaczyło Moskalem. Tą komedią znużony, wracał do szlachty, gościł ją i razem z nią wspólnie forytował cele, wręcz moskiewskim przeciwnie. Kto go nieznał i nie widział, że jest dobrym, ale słabym człowiekiem, rządzącym się wyczytaniami utopjami i popędami nieporządnej wyobraźni, mógł

go mieć za szkodliwego i podstępnego ptaszka, czem nigdy nie był.

Gwardja narodowa od pierwszych dni prawie z samej szlachty i lepszego mieszczaństwa formować się zaczęła. Dlaczego *venta* lekceważyła lub zaspąła wybory, nie wiem, dość, że między pierwszymi sześciu kapitanami, jako to: Kaz. Krasickim, Hieronimem Wiśłobockim, Al. Fredro, Józefem Zawadzkim (Światopełkiem), Karolem Heidlem, Janem Żółtowskim, był tylko jeden pseudowęglarz Wiśłobocki. Generał Józef Załuski, objął naczelne dowództwo, niezbyt tą nową ilustracją uradowany, przewiesił jednak przez plecy na zielonym sznurze szablę *za chrabrost'* i doskonale reprezentował konstytucyjną siłę zbrojną. Jego kole-dzy z pod Samossiery, gdzie zanosili się od śmiechu, aż mogiły pod niemi podskakiwały, z maskarady chwackiego p. porucznika gwardji. W całym sztabie jeden major Biliński był w. mularzem, ale to był człowiek zacny i stary wiarus, podobne formułki bardzo humorystycznie zbywający.

Venta, wyczekując wyższych przewodników, stała w tej chwili pod rozkazami Smolki, Hefferna i Abancourta. Słodkim łącznikiem ścierających się żywiołów i polem zneutralizowanym, była cukiernia Puśnikowskiego. Zajmowała cały róg między Katedralnym a Św. Ducha placem, dla wszystkich stronnictw jednej wielkości miała kieliszki i jedno gościnne przy-milenie. Tam najzaciętsi przeciwnicy w pomarań-czówce topili jady i rozmawiali swobodnie, aquawitą chłodząc zbyt rozgorzałą wyobraźnię. Za te zasługi

koło sprawy publicznej, niebogę podczas bombardowania wykartaczowano porządnie.

Z wiosną pojawił się we Lwowie emisariusz Wiktor Heltman, wytyczny członek centralizacji, chociaż go trochę znałem od dawna, opisać lepiej nie potrafię, bom go nigdy w prawdziwym nie widział działaniu. Wytrawny konspirator, więc skryty, fałszywy, podstępny, myślami ciągle w jednym krążący kole, z kieszeniami pełnymi dokumentów i notat, chodził na długich nogach zawsze krokiem pospiesznym, milczący, ponury, swoją osobistą godnością zajęty, wydawał mi się czasem cichym fanatykiem, a bardzo często wymuszonym komedjantem; z innymi centralami bywał u mnie to na herbacie, to na obiedzie, a ze swemi najpoufalszymi nawet ogrywał komedję. Czasami ożywioną urywał rozmowę i nibyto niechcąc się wygadać, zamilkał i półsłówkami niechętnie odpowiadał. W nadzwyczajnie długiej twarzy miał wyraz bardzo nieprzyjemny, zimna zarozumiałość ją cechowała; wysoki, bladej, nic w sobie nie miał polskiego, ani żołnierskiego.

ROZDZIAŁ XXII.

*PAN GENERAL DWERNICKI Z PANEM
GENERAŁEM BEMEM.*

Przyjazd Dwernickiego. — Przegląd gwardji na placu św. Jura. — Bohater z pod Ostrołęki. — Grzmia pod Stoczkiem armaty, czyli śniadanie u Geog'a. — Bem, człowiek i temperament.

Na cześć generała Dwernickiego, przybyłego w lipcu do Lwowa, odbył się przegląd gwardji na placu św. Jura. Gdy 18 kompanji w granatowych mundurach zajrzało mu w oczy i zagrzmiała komenda po polsku, stary Jur odwracał się z oburzeniem, pokornym wzrokiem przebłagując matuszkę Moskwę, że takiej zgrosy świadkiem być musi. Poważna żółto-zielona kapituła wznosiła „ruki do neba“, diaki uganiali z kropidlami. Dzwony z własnego popędu zaczynały jęczyć żalosne „Hospody pomyłuj“, gdy Dwernicki otoczony sztabem, wjeżdżał na plac wystąpięń. Okna Jezuickiej ulicy były pełne młodych kobiet i gęsty deszcz kwiatów padał na konia zwycięzcy z pod Stoczka.

Komendant gwardji narodowej Wybranowski mnie prosił, jako rotmistrza, bym od gwardji robił honory Dwernickiemu; miałem go wtedy widzieć po raz pierwszy. Stał w mieszkaniu mego dobrego przy-

ściana Mikołaja Podlewskiego na drewnianej Targowicy. Poselka stała na koniu, żołnierz w sieniach, oficer dyżurny w przedpokoju. Gdy przyszedł powitać Dwernickiego od gen. Wybranowskiego i oddać się pod rozkazy, przyjął mnie uprzejmie, ale po krótkiej rozmowie zapytał, wskazując na wyłogi:

— Dlaczego wzięliście białe? to moskiewskie.

— Generale — odrzekłem — chcieliśmy uczcić pamięć najtęższego z naszych pułków i najdzielniejszego z naszych pułkowników!

— Miła mi pamięć wasza — odpowiedział dość rubasznie — ale ja krakus, bez amarantu nie ma u mnie hułana.

Powierzchności już wtedy nie miał ujmującej, średniego wzrostu, barczysty, brzuchaty, o krótkich grubych rękach, okrągły, mocno amarantowej twarzy, na którą spadał włos długi, siwy a rzadki, w siwym oku spojrzenie miał dobroduszne i łagodne, które pewnie groźnem być nie umiało.

Układ jego był ciężki, trochę zażenowany, bez żadnej swobody w ruchach, wymowa nie łatwa, kławkowata i niewyraźna, chód ani pański ani żołnierski. Na koniu trochę hułaniał, siedział po staropolsku na zadzie, jechał śmiało; na przegląd piechoty siadł na nieznanego mu dobrego konia, wziął go śmiało w cugle i nie oglądając się na tłumny sztab, jednym galopem stanął pod św. Jurem. Spodziewałem się, że do zgromadzonej na cześć jego gwardji parę ciepłych słów przemówi; zawiodłem się, milcząc przejechał przed szeregi, milcząc, stał przy defilu

i nie rzekłszy do nikogo słowa, galopem wrócił do domu. Jednakże te cztery tysiące bagnetów, czekających na jego skinienie, zasługiwało na lepsze uznanie.

Na naszym wystąpieniu był cieplejszym. Pomnę przy końcu, stanął o sto kroków przed szwadronem i zakomenderował: „Galopem“, a wkrótce: „Marsz, Marsz!“ Jak też wiara poszła marsz-marszem, gdy się nie usunął, tak koło niego zafurczały proporce, że groty pałaszem odbijać musiał; potem śmiał się z wiary, że jednego żołnierza z konia zsadzić nie mogła, bawił się lancami i baraszkował wesoło. Do przemów nie miał szczęścia, podczas defilu wpadł mu w oko Teodor Lanckoroński, nasz oficer, lalka nie hułan, kiwnął, by przystąpił i zapytał dość ostro: „Gdzie porucznik dostałeś szlify?“ (musiał wiedzieć, że z cesarskiej służby). „Gdy mój pułk wstrzymał Moskali po Boremlu“ — odrzekł, bo przycinków nie lubił a języka na tamblaku nie nosił. Zasyczał pułkownik Plagowski, jak to było jego zwyczajem, Dwernicki kiwnął ręką, Lanckoroński salutował i defil poszedł swoim porządkiem.

W kilka dni po Dwernickim przybył gen. Bem. Widząc jaką wyrządzają niesprawiedliwość, obsypując Dwernickiego wawrzynami a zapominając całkiem o zbawcy z pod Ostrołęki, poszedłem na czele moich oficerów go powitać, uczułem bardzo tę grzeczność i odtąd zbliżyliśmy się do siebie. Po wystąpieniu gwardji konnej przed Dwernickim, dawał szwadron śniadanie dla niego na sto osób. Wiedząc, że nasi generałowie z ukosa na siebie spoglądają, skorzysta-

łem z tej sposobności, by ich pogodzić. Po długich mowach (Bem pasjami lubił przemawiać, niezawodnie dlatego, że najmniejszej wymowy nie miał) po licznych kojejnych, gdy już nam Dwernicki wyłogi winem zaamarancił, nastąpiła zgoda i z zapleśniałych butelek węgryzna wychyliliśmy: „Cześć bohaterom z pod Stoczka i Ostrołęki!“ — a lud zebrany pod bramą (bo to się działo w ogrodzie George'a), zagrzmiał: „Niech żyje Bem, niech żyje Dwernicki!“ Muzyka zagrała: „Grzmią pod Stoczkiem armaty...“ a wiara w ogrodzie i lud na ulicy w stu kółkach ciąc zaczęli mazura, wywalono sztchetową bramę, wpadły kobiety i grzmiało po piasku, jak pod Stoczkiem. Ładne nasze napastnice nie dały się odstraszyć a Dwernicki, Bem, nawet Bobiński nieraz okręcić się z nimi musieli. Nie wiem, która z pań wpadła na myśl, gdy przyszła kolej na „*Dansons la Carmagnolle, vive le son du canon*“, wyrwać lance, które zdobyły pawilon i z nimi w rękach odtańczyć może być pierwszego na świecie lanciera. Wieczór był cudny, gdy banda zamilkła rozeszło się towarzystwo, a długo jeszcze ulicami, słabiej, coraz słabiej odzywały się słowa ostatniej przygrywki „Jeszcze Polska nie zginęła. W końcu i to zamilkło, a echa coraz ciszej szeptały: „zginęła...“ W tej chwili 'przecucie 1863 roku pierwszy raz zapłakało ulicami Lwowa.

Tak Dwernickim demokracja, jak partja wojskowa Bemem, zastąpić chciały Wybranowskiego. Bem wręcz odmówił, Dwernicki pod wąsem się uśmiechał, ale to się udać nie mogło bo Wybranowski był cesar-

skim generałem i posiadał zaufanie rządu, mnie mam, że na szczęście, bo jego osobistość była sympatyczna.

Osobliwszy to był człowiek ten, Bem, harda dusze w wątlm ciele. Byłem nieletniem chłopięciem, gdy jesiennego poobiedzia wszedłszy do pokoju matki, zaprezentował się: „Jestem kapitan artylerji Bem“ — dodał — w odstawie“. „Chłopi zajęli moją bryczkę, gdy omijając rozkaz wjechała na oziminę, przychodzę prosić o wyzwolenie“. Zaproszony przez matkę, został na wieczerzę i przenocował. W owym czasie gospodarował w Basiówce, dotacji stryja, kanonika kapituły lwowskiej, urządził, jak major Kasperowski, po szlachcie gorzelnie i zakładał Franciszkowi Potockiemu w Brodach doskonałą fabrykę papieru. Że w lat 30 zapomniał o chłopięciu widzianem przelotnie nic dziwnego. dość, że przed 48-mym nieznaliśmy się wcale. Kto Bema nie widział na czele baterji, wśród kul i dymu prostującego strzały i podającego odległość jakby szło o strzelanie do celu, kto go nie widział pod Ostrołęką wpadającego jak piorun, odprzodkującego na 100 kroków w ogniu kilkurotowym ogniem palących bataljonów i walącego w czernię, że w kilka minut niby ognistą miotłą zamieciony most moskiewski, śmiecie rzucił do Narwy, i stanął czysty — ten niebyłby przeczuł w łysawym blondynku przyszłego oswobodziciela Siedmiogrodu. Powierzchnością mało obiecywał, zato duchem więcej dotrzymywał, niż obiecał, ale i sam duch ten w dziwne ujęty był kształty.

Często o pierwszym świcie, gdym spał, wlatywał do pokoju, bez ceremonji wypijał moją kawę, nie paląc tytoniu porywał cybuch i z zimnej fajki usiłując wydobyć dym, siadał na łóżku i tak dziwne wygadywał rzeczy, tak niesamowite rozwijał plany, zęb milcząc patrzył ciekawie, którędy mu zajęć wyskoczy z głowy. Po godzinie czasem i dwóch takiego monologu, poważniał, wytrzepywał czystą fajkę i przeszedłszy się parę razy po pokoju, wychodził bez pożegnania. Dawny w. mularz i związkowiec, był wyższym nad podobne formułki i lubił działać samowolnie, nie troszcząc się o wschody i venty, co też raz strzał z pistoletu nań sprowadziło, gdy beczynną emigrację zachęcał do formowania Legjonu w Hiszpanji. Bo czyż to nie było zbrodnią przeciw wychodźtwu, 10.000 po kawiarniach zajadających się rycerzy, chcieć wyprowadzić w pole, by przebyli szkołę, z której niejeden mógł wyjść pożytecznym dla ojczyzny żołnierzem? — Do kul wogóle emigracja wstręt miała.

Zastanawiałem się nieraz, czy w r. 1831, Bem jako naczelny wódz byłby sprostał zadaniu? Nie byłem z nim w Siedmiogrodzie, gdzie pierwszy raz dowodził naczelnie, więc nie mogę stanowczo na to pytanie odpowiedzieć, myślę jednak, że był bez porównania wyższym od wszystkich Skrzyneckich i Dembińskich. Czy by się nie był zbyt znacznie rozdrabiał, uganiając za niespodziankami? Czy był zdolny zimnym umysłem osądzać położenie? czy byłby umiał dobrać sobie podrzędnych wodzów, i nie marnotra-

wił wojska? — nie wiem. Technik był ukończony. Teorje strategji, nawet taktyki, nie całkiem posiadał. Należał do wodzów, których umysł w ogniu jaśniej, a tacy więcej do pojedynczych, niż do przemyślanych i obliczonych działań zwykle uzdolnieni, mniemam, że byłby często bił, ale i często ciągi dostawał, a to się lepiej z ruchawicą, niż z wojskiem udaje.

Gdy Wielki Książę zapragnął mieć race Kongrewa, Bem, porucznik artylerji, wkręcił się jako czeladnik do arsenału. Powstanie zastało kilkaset rac w arsenałach jego roboty. Skulski ze skutkiem ich użył pod Grochowem, ale już wtenczas uznawali tę broń za kosztowną (10 fl. kosztowała sztuka), a za mało użyteczną, gdyż Bem więcej rac nie robił, tylko doskonale wiercił i wylewał działa. Bateria, którą nas pod Ostrołęką uratowała, była całkiem jego odlewem. Wyjeżdżając do Wiednia, powiedział mi przy pożegnaniu: „Siedź cicho, głupstw robić nie daj, oganiaj Wybranowskiego od podpalaczy, jakby przyszła pora dam ci znać, dziś nie wiem — zobaczę, co się tam dzieje zagranicą“. Bądź co bądź wolałem zajaczki Bema, niż ropuchy centralów. W Siedmiogrodzie dał mi wielki dowód przyjaźni, przyjmując moich oficerów w stopniu jaki im dałem przy dymisji. Jeden z nich, rotmistrz Józef Zagórski, odwdziczył mi się za wszystkich pocziwie; niepamięć w jakiej potrzebie, Bem zagoniony w jakimś miasteczku, nie mogąc na swoim białym kucyku wycofać się dość

wcześnie, został wzięty w niewolę i uprowadzony. Zagórski tymczasem zebrałszy ludzi z rozsyпки, widząc, że Bema niema, przeleciał z Szwadronem przez obsadzoną mieścinę i szczęśliwie uwolnił swego wodza.

ROZDZIAŁ XXIII.

BARYKADY I ARMATY.

Jak się zaczęło? — Ulica ma głos! — Trzy kartacze na Sykstu-
skiej. — Barykady rosną, armaty grają. — Miasto, skazane
na rozstrzelanie. — Hammerstein hula! — Koniec awantury
i wiosny ludów.

W DZIEŃ zaduszny r. 1848-go było u mnie wieczór
zgrupowanie dywizjonerów i kilku rotmistrzy mego
pułku. Przy herbacie układaliśmy swobodnie marsz
przemyskiego szwadronu na służbę do Lwowa, gdy
wpada moja posełka z głównego sztabu, z donosem,
że w mieście się biją. Wsiadłszy na koń, poleciałem
galopem do koszar. Alarm gwardji bił po ulicach,
jacyś ludzie gasili lampy wołając: Do broni! W kwad-
rans oba plutony stały na koniu, a bardzo żal mi
się zrobiło drugich dwóch rozestanych po szwadro-
nach. Zostawiwszy dowództwo Eiryngowi, oficerowi
oficerowi dawnej służby, któremu ufałem, a wzięwszy
z sobą Nikorowicza, poszedłem do sztabu. Tam do-
piero dowiedziałem się o przyczynie awantury. Koło
Czerwonego Klasztoru (koszary artylerji) jakiś pijany
gwardjak poszturkał się z kanonierami, ci widząc go
samego, zawlekli do koszar i zamknęli i stąd wieść,

Bóg wie przez kogo roztrąbiona, gruchła po mieście, że naszych mordują. Motłoch zamrowił się na ulicy, krzycząc: „Wyrzynają gwardję!“ — „Do broni!“ — „Czas zemsty już przyszedł!“ Dziecko byłoby zrozumiało, że to burda umyślnie wywołana. Wybranowskiego zastałem dobrej myśli. Wyszedłem zobaczyć co się dzieje na rynku, tam już było groźnie, mówiono, że Rada Narodowa ogłosiła nieustające posiedzenie. Z beczek, studzien, stołów przemawiali podpici oratorowie, otwarcie wywołując powstanie, by pomścić zamordowanego gwardjaka (który już uwolniony wysypiał się w własnym łóżku o tej porze). Z szynków i światła dziennemu nieprzystępnych kloak, wymrawiała się ohydna, śmierdząca, zapita czerń, której zwykłym mieszkaniem sklepienie nad Pełtwią, w lecie stryjskie parowy, w zimie furdygarda. Pomędzy to wszystko, jak one żydowskie lisy, co zapaloną u ogonów słomą podpałały zboża Filistynów, szły centrały, rozrzucając półśłówkami swe haśła. Rozjaśniony Heltman, złapany na uczynku, mówi mi: „Głupie hałasy, nie umieją uspakajać ludu, *il faut flatter sa marotte*, a jak się wyhałasuje, pójdzie spać“. Wróciłem do Wybranowskiego, by mu opowiedzieć com widział, prosząc o rozkaz rozpędzenia motłochu. „Niech się pan rotmistrz spuści na mnie, wszak to nie pierwsza awantura, skończy się na niczem jak inne“. Wróciłem do szwadronu i tam spokojnie końca czekać postanowiłem. Koło 10-tej centrały próbowały porwać moich ludzi, kilku z legjonu pojawiło się za frontem, dostrzedz ich było niełatwo,

bo noc była bardzo ciemna, roznosząc wezwania, by trzymać z legionem i bardzo pożądane sztofny aquavity, ko zimno przejmowało do kości. Spostrzegłszy to, na oślepie niby po sztafach puściłem pałasz na płazy i uwolniłem się od niebezpiecznych gości.

Dotychczas miałem krawal za wybryk Venty, wkrótce poznałem, że i wojsko, macza w nim swoją ręką. Wyślany patrol złożył donos, że na Nowym Świecie stoją dwa szwadrony huzarów. Od miasta Sykstuską zadudniła bateria dział. Zakrzyknięty o hasło przed naszą strażnicą oficer, grzecznie oświadczył, iż dzisiaj ani daje, ani przyjmuje hasła. Około 11-tej padły z dział trzy sygnałowe strzały, ale nie prochem, bo po dachach Sykstuskiej posypało kartaczami jak gradem. Wtedy dopiero otworzyły mi się oczy i zrozumiałem, że dramat odegranym zostanie. Posłałem przez porucznika Siemieńskiego do sztabu raport tej treści: „Generale! sygnały dane kartaczami, by jako ofiarę, lepiej rozbestwić motłoch, bateria dział pod moją strażnicą każdej chwili mogą ją zabrać. Jeżeli wkrótkim czasie motłoch nie zostanie rozpędzony, o świcie zbombardują miasto“. Sztabowy oficer Osmulski, przywiózł mi uspakajającą odpowiedź. Złe wrażenie na mnie robił ten spokój Wybranowskiego, gdy wszystko groźną przybierało postać, więc znowu z Antymem poszedłem do sztabu.

Na mieście było już bardzo źle. Pijane tłumy prze-walały się po rynku. Na Ruskiej ulicy kapitan Pyszynski, węglarz z moskiewskiego wojska dźgnął bagnetem lecącego z rozkazem dragona i odebrał

depeszę. Rukstała idącego od Hammersteina do Wybranowskiego, z niebezpieczeństwem życia Dalski i Wisłobocki osłonili przed rozjuszoną czernią. Po jego wyjściu wszedłem do sztabu, tam wszystko było najlepszych myśli. Wybranowski z adjutantami rozmawiał przy kominku; gdy nieprzystawał mnie uspakajając, uprowadziłem go do okna i z całą otwartością powiedziałem: „Generale, to nie przelewki, każ, a ja rozpędzę nahajkami Radę Narodową, centralów poaresztuję i z motłochu oczyszczę miasto. Albo jeżeli się mamy brać na rogi z wojskiem, rozkaż mi wziąć baterję, co jak na pokusę pod moją strażnicą stoi, zapewne przez pomyłkę tam posłana, wyciągnij wszystkie gwardje pod św. Jura i na czele 4.000 bagnetów i sześciu dział, parlamentujmy z Hammersteinem“.

— Gorąca, gorąca krew u pana rotmistrza, ale tego wszystkiego nie potrzeba, już się wykrzyczeli i pójdą spać. Zaleski spokojny, Rukstał obiecał, że wojsko się nie wmixsza. Gwardje w komplecie pod bronią i wkrótce wszystko wróci do porządku.

Ścisnął mnie za rękę i wrócił do kominka. Że też to w takiej chwili wszyscy ludzie u władzy: Karol X, Ludwik Filip, do ostatniej chwili się łudzą i jak kuropatwy, schowawszy łebki pod skrzydła, niebezpieczeństwu ujść mniemają.

Odszedłem wściekły. Chcąc zobaczyć co się dzieje w akademji, poszedłem Dykasterjalną ulicą ku niej. Rada Narodowa była oświecona *a giorno*. Naprze-

ciwko w niej pseudo-akademja, cisnęła się do kufla, śpiewając wrzaskliwie na nutę „Moskalu kochany“ :

Wszak mamy Heltmana
 Więc z nami wygrana
 Domagalski zuch
 Rozbije Niemców w puch,
 Ksi, ksi, ksi, husz, husz, husz,
 Na zemstę pora już!

Między dykasterjami a narożną kamienicą, rosła barykada. Centrały dyrygowały budową. Bardzo wiarogodny świadek zapewniał mnie, że rozmawiał z policmajstrem Sacherem, w mundurze gwardji (!) znoszącym kamienie. Na akademickiej strażnicy, znowu inna była robota. Wódz Domagalski i Biedkowski siedzieli za stołem nad kuflami dymiącego się czaju, kupki cygar łączące w uroczym nieładzie, wpadające dżusy rozchwytywali łakomo, znosząc z sąsiednich domów zrabowane materace i zatykając niemi okna, by jaka niedemokratyczna kula nie zaniepokoiła wodzów. W podwórzu leżała na bruku około 30 akademików. Po krótkiej pogadance przekonałem się, że zdrowo zapatrują się na położenie, ale z rezygnacją czekają końca sprawy. Przeszło 1400 przybyszów, prawie wszystko zaprzysiężona w Kongresówce czeladź (zwało się to teraz Legjonem akademickim), z dawnych, jedni byli na wakacjach, inni w szwadronach gwardji konnej po kraju, część znaczna stała na boku i w złych chwilach stawała w szeregach gwardji narodowej, co najlepszą jej siłę stanowiło.

Bataljony wojska milcząc, wchodziły na alarmowe stanowiska, a gdy niektóre z nich i naszym kompanjom służyć miały za place zborne, w niejednym miejscu odosobnione oddziały gwardji, były między wojskiem jeszcze w jakiej takiej zgodzie. Wojska stały zmasowane, pod bronią, bez straży, bez patroli, jak na polu przed nieprzyjacielem; gdzie miejsce pozwalało, rozwinięto w linje. Około północy zagrał rotowy ogień przed halickim odwachem, po nim zaczęły się ryki ruskich pieśni, a muzyki uderzyły w hymn Austrii. Szewczyk przelatujący po pod front już zapitej kompanji grenadjerów, ściągnął na siebie to ojcowskie napomnienie; uszedł bez szwanku; być może, że z początku strzelano bez kul. Nad ranem rozwożono już ostre ładunki. Dzwony biły na gwałt, to od św. Antoniego, to z jezuickiej dzwonnicy, czego zrozumieć nie mogłem, bo sam widziałem cały bataljon grenadjerów obsadzający dykasterja, więc wchód do zakrystji i dzwonnicy w rękę wojska. Odtąd słyhać było pojedyncze strzały i ryki niecierpliwiącego się wojska. Biła 8-ma godzina, gdy przyjechał do mnie adjutant sztabu, donosząc, że Wybranowski zawarł konwencję, mocą której wojska mają się cofnąć, gwardja zaś zburzyć barykady i rozejść się do domów.

W tej chwili stan wojska był następujący: Cały garnizon mniej więcej 15.000 wojska liczący pod bronią. Piechota przeważnie zmasowana. Koło głównej komendy, na placu św. Ducha, i na Krakowskiem pod teatrem, gubernium, dykasterje, hotel Hofmana,

mocno obsadzone najzaufańszym żołnierzem, t. j. grenadierami. Baterje dział na pozycjach, pod arcybiskupim pałacem, pod namiestnictwem, Generalną komendą i Hofmanem. Race na szkarpach. Dywizjon huzarów na Nowym Świecie, drugi dragonów pod ogniową strażnicą. Gwardji wszystkie kompanje prawie pełne na zbiorowiskach. Akademia u siebie samopas działać chcąca, ulice do niej prowadzące niby to zabarykadowane. Rynek zamknięty niskimi wałami z bruku, po bliższych ulicach barykady z mebli i fortepianów. Na Dominikańskim i Ormiańskiej ulicy, parę kamienic słabo obsadzonych naszymi ochotnikami, pod nimi w przykrem położeniu pluton artylerji.

Mieszkałem w terazniejszym domu Towarzystwa Kredytowego, z okien miałem widok obszerny. Ledwo mi podano miednicę, a ja, koło okna stojąc, myć się chcę, gdy na placu Św. Ducha zakipiał rotowy ogień i ujrzałem cały bataljon Bianki czy Nassau, bo z czerwonymi wyłogami, uciekający w dzikiej rozsypce na Wały, gdzie go oficerowie płazami powstrzymali. Dwóch moich hułanów było przyczyną tego nowego „krawalu“. Pomimo, iż ludzie byli do koszar skon-sygnowani, głód przemógł i wachmistrz Żmigrodzki z Przygodzkim, wyszli na śniadanie. Wchodząc na plac Św. Ducha, wpadli w ów heroiczny bataljon, a gdy to były ruskie „hadiugi“, ujrzawszy dwóch bezbronnych hułanów, rzucili się na nich. Oganiali się jak mogli, lecz byłiby niezawodnie padli ofiarami ruskiej waleczności, gdyby oficerowie nie byli ich

z rąk oprawców wyrwali i rzucili mocno poranionych do cukierni Żółkiewskiego. Legjon znowu, ujrzawszy z barykady to kłębiecie się wojska, zaczął o 300 kroków pukać; tego dzielnym ruskim było zaledwie, bez rozkazu wydali cały ogień na barykadę i co mogli wyskoczyć, uciekli na Wały.

Dopadłszy świeżego konia, wpadłem do koszar. Oba plutony po chwili stały na koniu, a sprawiedliwość oddać winieniem, że z 1-go, który już się był rozjechał po mieście, tylko dwóch brakło. Rakszawski, trochę postrzelony, nadjechałszy na piechotę, sam sobie zakomenderował: „Do ataku broń!“ i kilkanaście razy pchnięty, został ciężko ranny na placu. Wł. Kalinowski znowu, osądził, iż lepiej burzę przetrwać w domu, niż w nieprzyjemne wdawać się rozprawy. Przybywający z domów raportowali, że z barykad „akademja“ strzelała do nich w przejeździe.

Zostawiwszy plutony przed koszarami, wziąłem chwackiego Jasia Bogdanowicza z Lubelskiego i ruszyłem Szeroką ulicą, (stajnie nasze były przerobione z różnych przezemie najętych składów dworku ks. Leona Sapiehy), zobaczyć, co się w mieście dzieje. U wylotu ulicy, naprzeciwko mego mieszkania, mieszkał Hieronim Wisłobocki. Z pominięciem Kaz. Krasickiego, dostał był przed paru dniami 1-szy bataljon. Chodził zadumany po pod swoją kamienicą, a gdy był jak i ja bez rozkazu, poszedł pod moje dowództwo. Rozpuszczając po zawartej konwencji bataljon, za-

pomniął mu dać zborny plac, więc miał tylko odrobinę własnej kompanji, a o innych nic nie wiedział.

Dziwne to wtedy było nasze położenie, z prawdziwą przyjemnością byłbym przyjął rozkaz rozpędzenia niesfornego motłochu, a znowu byłem gotowy uderzyć na wojsko, gdyby gwardje działać miały ochotę. Na oba wypadki trzeba było być przygotowanym, dałem więc Wisłobockiemu rozkaz, by ściągnął do siebie swój bataljon, a Boczkowskiego, porucznika jego kompanji, wysłałem Chorążczyzną, by się przekonał, jak tam wojsko stoi poza Hofmanem. Sam stanąłem na Podwału, czekając na dobry przebieg sprawy, przyznając się, że w piekielnym usposobieniu. Na domiar dowiedziałem się od mego oficjalisty przybyłego ze wsi, że pod gródecką rogatką gromadzą się tłumy chłopskiej czerni, by iść na pomoc cesarskim. Przez dobre pół godziny i dziesięciu przechodniów nie zliczyłem na ulicy, a dziwny to widok tak pustego miasta w dzień piękny i słoneczny. Ileż tam z poza storów zapłakanych ocząt wyglądało, ileż serc za nimi drzeć i omdlewać musiało? Jeszcze po dziewiątej było całkiem spokojnie, tylko z Wekslarskiej ulicy, dolatywały jakieś hałasy. Motłoch, pod pozorem szukania za bronią, rozbijał żelazne sklepy. Dwa plutony dział, stojące koło Hofmana, czarnemi wyloty patrzyły nam w oczy, a z poza nich unosiły się białe obłoczki dymu z tlejących lontów; od czasu do czasu z pod Hofmana wysypywały się kupki grenadjerów, rozsypane w tyraljery, podkradały się pod Katedralną lub pod Halicką barykadę, śledziły

przez szpary, co się dzieje na mieście i galopem wracały na stanowiska. Pocziwa żona moja, widząc mnie stojącego na ulicy, przysłała mi szklanę herbaty. Ledwo połknąłem połowę, drugą podając skostniałemu także Bogdanowiczowi, gdy jeden pluton dział od namiestnictwa, drugi od Hofmana, tak na nas sypnęły kartaczami, że szyby dźwięcząc, posypały się na ulicę, a droga zakurzyła się jak woda gradem zachłostana. Bogdanowiczowi w trzech miejscach strzaskało lancę, zsiadł z konia i z zimną krwią starego wiarusa pobierał trzaski, by nasze proporce po ulicy się nie wałały, zupełnie nie zważając na strzały, które już w różnych odstępach po bruku i murach łomotały kartaczami.

Po tem powitaniu zwróciłem spłoszonego konia i myśląc, że już się taniec na dobre zacznie, pojechałem po szwadron. Niezapomnę nigdy tego pochodu przez szeroką ulicę; raźnie grała trąbka naszego trębacza, ale głużył ją całkiem huk dział szalejących na piękne. Race koło nas pękały na bruku, (pojąć nie mogę dla czego bez żadnej dla nas szkody), a po otwartych oknach stojące kobiety, zęgały nas relikwiarzami, niby idących na śmierć. Spojrzałem w oczy pierwszego plutonu, złożonego z samych paniczów, patrzyły wszystkie po lacku i poczułem się dumnym, jakbym szedł na czele stu tysięcy. Przez ten czas Wisłobocki zebrał trochę swojej kompanji i trochę przedmieszczan uchodzących z rynku, wszystkiego około z pięćdziesięciu, z innych kompanji żadna nie przyszła, ulice były wojskiem poprzecinane. Zo-

stawiwszy moich zakrytych kamienicami, wyjechałem z Wil. Siemieńskim na Podwale. W mej niebytności wysłannicy Venty przylecieli z wiadomością, że Dwernicki rozsyła za nami, bo mówi: „Żeby tu miał gwardję konną, nauczyłbym Niemców rozumu“, co było wymysłem. Z Podwala łatwo ocenić mogłem położenie: z kilku stron działa waliły w miasto, z którego żadne nie odpowiadały strzały. Podjechałem pod Halicką ulicę, tam na barykadzie z mebli, pod arkuszem czerwonego papieru, siedziała siwa, rozczochrana Francuzica, (żona nie pomnę którego centrała), niezłym głosem przyśpiewując: „*Dansons la Carragnole, vive le son du canon!*“ z podziwu godną zimną krwią robiła pończochę, wcale nie zważając na pełne kartaczowe strzały, unoszące z po pod niej tumany kurzu i trzasek. Na rynku było cicho, czasami tylko pękał granat lub raca, raniąc dużo ludzi. Między niemi dostał czerepem granata w nogę kapitan 4-tej kompanji Józef Zawadzki (Światopełk).

Po wszystkich stanowiskach stały wojska zmasowane, ale spokojnie, całą robotę zostawiając artylerji. Po nad ratusz, akademię, technikę, stary teatr, zaczynały się już wznosić kłęby czarnych dymów. Rada Narodowa wyniosła się na przedmieście. Ani mnie, ani Siemieńskiemu w tej chwili żarty nie były w głowie, bo tak dobrze przygrzewało, jednakże uśmieśliśmy się serdecznie, widząc Aleksandra Båtowskiego lisim obyczajem wynoszącego się z miasta. Ogromny, nadmiar otyły Kuba Antoniewicz, w pełnym mundurze,

przenosił go przez barykady: ojciec ojczyzny omdlewał ze strachu.

— „Ta bo się nie bój, ja cię od kul zasłaniam, ani cię widno!” — powtarzał pocziwy Kuba.

— „Kubo, Kubuniu, na rany Chrystusa nie opuszczaj mnie! — wołał na głos karzelek i tak sztykował, że trzymający się za brzuch z śmiechu Kuba, czasami dogonić go nie mógł. W końcu po bliższym jakimś strzale, upadł, krzyknawszy na całe gardło. Tego było już Kubie zanadto, porwał go na ręce i rzucił na Szeroką ulicę, skąd przez Chorążczyznę, poza Św. Mikołaja, dostał się na Zielone, do Adama Zamojskiego, gdzie obradowała nieustająca Rada Narodowa.

Komenda austriacka, ujrawszy na placu św. Jura zgromadzonych do 4.000 bagnetów, ułożyła przyszły sposób działania, najpraktyczniejszy. Niedługo po wystąpieniu przed Dwernickim, gen. Bordolo, przyszedłszy do nas na naszą strażnicę po paru haustach „Lebens-Geistu“, jak gorzałkę nazywał, może i z rozmysłu chcąc mi dać przestrożę, powiedział mi: „Bądźcie pewni, że gdybyście kiedy chcieli zrobić, lub zezwolili na jakie szaleństwo, my z wami bić się nie będziemy, ale rozstrzelamy was i miasto, jednego żołnierza nie straciwszy“. Dziś wiedziałem, że to zwierzenie marną pogrózką nie było.

Gdy tak stojąc nie opodał katedralnej barykady, biję się z myślami, szukając rady, na co żadnej nie było, słyszę, że obce dotąd na nas bijące baterje zamilkły, a wzdłuż Podwała i Wałów pluskające kar-

tacze furkotać przestały. Zdziwiony spojrzę, a to od Krakowskiego prosto w linię strażów od Hofmana, pędzi galopem szybkowóz. Pocztyljon trąbi w niebo-głosy, a stojący na kozle konduktor czarno-żółtą wy-wija szmatą, wołając na całe gardło: „*Wten ist bombardiert!*“ — na co wojska odpowiadają szalonym: „*Hurra, hurra! — teperka na lachiw!*“ Korzystając z tak opatrnościowej od dział zasłony, dopadłem do szwadronu, odprowadziłem go do koszar, a gdy już biała chorągiew na ratuszu powiewała, konie do stajni wziąć kazałem. Tak smutny był koniec moich ideałów, ale w 40 koni, ani jednej ani drugiej stronie praw narzucić nie mogłem. Moje hułany żyły w zgodzie z piechotą, której koszary dopierały do Sykstuskiej do naszych, posłałem więc do majora, teraz na czele dwóch kompanji stojącego na ulicy, z zapytaniem, czy nas przepuści do miasta; zwlekać co nie było, gdyż w tej chwili kolumna piechoty stanęła na Szerokiej ulicy, a tuż za Panną Marją dywizjon huzarów plutonową kolumną zamykał Nowy Świat. Major odpowiedział: „*Nur schnell, denn wer kann wissen was kommt?*“ Chodziło mi najmocniej by nie być zmuszonym do złożenia broni, a chciałem także uratować około 40-stu wychodźców, czekających na konie w moim szwadronie, więc po pod piechotę przeprowadziłem ich do angielskiego hotelu. Tam także dziwnie się działo, co żyło wyniosło się na kurytarze, bo frontowe okna gęsto dostawały strzały. Grenadjerzy z okien gubernialnego budynku paliły na oślep, skoro w pokojach hotelu ruch do-

strzegli. Krasnopolskiego, żyda z Brodów, który przybył na ślub, kula położyła trupem. Do pokoju znanej mi pani pięć kul wpadło, a jedna z nich odstrzeliła jej lok przy samej skroni. I na korytarzach świstały czasem kule, wpadając przez drzwi od pokojów, tak, że o pewne miejsce niemające ani okna, ani drzwi na ulicę ubijano się namiętnie i to nie tylko kobiety, które więcej opatrywaniem rannych, niż sobą były zajęte. Uspokojony o moich ludzi około 5-tej wieczorem wróciłem do domu Podwałem, kule jeszcze po nim przelatywały, czasami to od kamieni, to od bruku rekoszetując w dziwnych skokach, chociaż biała chorągiew od dawna kołysała się na wieży.

Skończywszy sprawozdanie z tego co się koło mnie działo, spojrzeć pora na akademię i sztab gwardji. W akademji od pierwszych strzałów wszczął się zamęt niesłychany, co było prawdziwych akademików, stało po barykadach, kilku legło, kilku było ciężko rannych, emisariusze przybyli z zagranicy, to jest gwardja Domagalskiego, po korytarzach i bezpieczniejszych zakątkach biwakując, już cieńszym głosem śpiewali: „Wszak mamy Heltmana“. Wódz zamateracowany na strażnicy z Biedkowskim układali plany, Podolecki, stojąc w oknie strychu Wilczka kamienicy, obserwował działanie wojska i chustką na lasce dawał znak, gdy się zbliżało.

Wszystko szło jako tako, ale gdy granaty i race gęściej pękać zaczęły a dachami płomyki zabłysły, akademicy rzucili karabiny, pozdzierali z siebie oznaki gwardji i rozlali się po sąsiednich kamienicach, tło-

cząc się na schody i dziedzińce. Schronienia te były całkiem bezpieczne, gdyż ani nowy teatr, ani narożna policja nie były przeznaczone na spalenie. Na barykadach jeszcze na czas jakiś została garstka naszych akademików. Jak odbył się odwrót centralów, nie wiem, dość, że wszyscy wyszli w najlepszym zdrowiu i humorze, o jednym wiem tylko, że go Adam Cybulski adwokat, wyciągnął za nogi z pieca cukiernika Pola; cóż dziwnego? wszakże i Marat i Maksymilianek, gdy borba dziać się miała, w chłodnych piwnicach zamieszkiwać lubieli.

By zakończyć obraz, opowiem co wiem z opowiadań Wybranowskiego, Kabata, Bilińskiego i stu moich znajomych.

Po zawartej za pośrednictwem Al. Kabata i Rukstała między Wybranowskim i Hammersteinem konwencji, w ten moment gwardje rozpuszczono. Było to wielkim błędem. Kilka tysięcy, jak myśleć można było, nie kauczukowych bagnatów, stojących na placach zbornych miało swoje znaczenie, istotnie, jeżeli do rozstrzelania miasta Hammerstein miał aż nadto artylerji, mniej miał sił do brania go szturmem. Trzy bataljony wiedeńskiego pułku Deutschmeistrów stanowią siłę, na którą mógł liczyć, kilkanaście rusińskich byłoby na sam widok jakiej na bagnety idącej kompanji, uszło z pola. Gdy gwardje się rozeszły, wojska zostały na stanowiskach. Wybranowski, ufając konwencji, poszedł do gubernatora Zaleskiego na kawę; starzy panowie spokojni odpoczywali po bezsennej nocy, lubując sobie w sandwichach, które

pocziwa p. Zaleska rada, że już bieda minęła, po mistrzowsku sporządzała, gdy przy drugiej filizance zauważyli, że baterja stojąca pod oknami nie myśli zaprzodkowywać; więc Wybranowski wysłał do gen. komendy Kabata, by zapytał o przyczynę tej zwłoki. Kabat, minąwszy ogniową strażnicę, dojrzał Hammersteina, objeżdżającego na czele sztabu piechotę i baterje. „*Meine Kinder, nur nicht schiessen, wenn sie nicht angreifen*“, powtarzał ciągle, za nim zaś jadący Bordolo i Rukstał kiwali rękami, uśmiechając się do dowódców.

Gdy ukończywszy przegląd Hammerstein wrócił do siebie, zameldował się Kabat, lecz zanim zdołał odkrząknąć po swojemu, by z oficjalną powagą a wrodzoną sobie precyzją zacząć przemowę o wycofanie wojska, wpadł Rukstał, od drzwi pospiesznie meldując: „*Excellenz! die Akademie rückt vor und feuert*“. Na takie „dictum“ Kabatowi język zakotłował, excellencja z przyzwoitą godnością wychyliła szklanicę Feslauera, otarła usta, oparła się rękami o kolana i po długim namyśle mruknęła: „*Wenn so, schiesst in Gottes Namen!*“ (Zaślepieniec nie przeczuwał, że pierwszą ofiarą płocheo rozkazu będzie własna jego ulubiona kucharka, która z koszykiem na targowicę koło Bernardynów od pierwszych wystrzałów padła, przez co obiad mocno spóźniony, a excellencja bezliźnie wyłajany został).

Kabat usłyszawszy te słowa, jednym galopem wrócił do gubernium do Zaleskiego, lecz zanim zdołał odkrząknąć, Rukstał, duch jego prześladowczy,

otworzył drzwi, ściągnął ręką po żołniersku, oświadczając Zaleskiemu: „*Seine Excellenz Gen. der Kavallerie komandierender in Galizien Baron Hammerstein, lässt Euer Excellenz melden, dass er laut höchsten Befehls, bis zur gänzlichen Herstellung der Ordnung die Militär- und Zivil-Macht in seine Hände übernimmt*“. Co rzekłszy, salutował i wyszedł. Zaleski pobladł i zemdlał, ocucił go ryk dział, które na rozkaz wychodzącego Ruckstala z pod okien namiestnictwa już grzmieć zaczęły.

Na rynku był prawdziwy sądny dzień. Artylerja miała od dawna ściśle obliczoną odległość, więc każda raca ognistym wężem padała w ratusz, a granaty półnabojami pod ostrym kątem ciskane, z precudną dokładnością spuszczały się nie pękając aż na bruku. Przed strażnicą gwardji stała wszystkiego szczupła 4-ta kompanja J. Zawadzkiego, ale gdy dużo gwardjaków, już poprzednio przez wojska do domów dostać się nie mogło, kilkuset błąkało się po ratuszu, to gasząc ogień, to ratując w płomieniach stojącą tabulę miejską. Włóczyło się także kilkudziesięciu ludowców, nie mogących się pomieścić po szynkach i tylnych zaułkach przepelnionych niedawno tak wrzaskliwym motłochem. Miał to być widok przerażający, gdy gwardjacy uwijających się po drugim piętrze — a pierwsze już stało w ogniu — po zewnętrznych gzymsach gimnastykowali, by się dostać na wolne jeszcze korytarze. — Już ratusz był jednym kłębem dymu, wszystkiemi oknami buchały ogniste kłęby iskier i dymów, akta i referaty latały, niby

ogniste smoki unoszone wichrem — wiele z nich uratował z bohaterskim poświęceniem dyrektor miejskiej tabuli Leon Świeprawski — gdy Aleksander Cetner dostał się na szczyt wieży i białą wywiesił chorągiew. Jednakże to nie zostało uwzględnionem. O 5-tej po południu stojąc w oknie u siebie, widziałem deputację pod białą chorągwią idącą do Hammersteina. Ks. Karol Jabłonowski szedł na czele, a za zbliżaniem się tego wszystkim oficerom dobrze znanego a odznaczającego się oblicza, milkły strzały i wojska rozstępowały się spokojnie. Ta deputacja dopiero przerwała bombardowanie, jednak godzin jeszcze parę, czasami race wały w płomienie na zagładę przeznaczonych budynków, jako to ratusza, akademji, starego teatru, realnych szkół, techniki, biblioteki, dopiero nawalny deszcz, który koło ósmej lunął, ograniczył pożar. Gdyby nie zlewa prawdopodobnie całe śródmieście byłoby stanęło w płomieniach. Na blizkich mego okna wałach, naliczyłem sześciu poległych grenadjerów, gdy ich brano na nosze. — Kto ich położył? może być własne granaty, gdyż o ile wiem, tylko z okien Ormiańskiej ulicy, na Dominikańskim placu kilku artylerzystów ubito. Z samego początku bombardowania, widziałem z jezuickiej dzwonnicy głową na dół wiszącego oficera, tego jeden z moich pieszych bawełną z okna wiedeńskiej kawiarni spuścił, wogóle około 30-stu żołnierzy położyło się na bruku. Widziałem dokładnie pożar miasta, a niezwykłą przepowiednią był w oczach moich ratusz, którego wieża już drugi raz w przy-

tomności mojej konała. Szczyt jej o kilkadziesiąt sążni nademną wzniesiony, był dla mnie dotąd nieodgadniętą optyczną zagadką, o tyle wyższy zdawał się być podemną, tak, żem z góry patrzył w pałace się wewnątrz jak w płomienisty kocioł. Z ognistej paszczy sterczał żelazny pręt, unoszący dwugłową, zwolna żarły go pożary, topniał, a dwugłowa to w tą to w ową kołysząca się stronę, w końcu skrzyła się sama w sobie i łbami na dół zanurzyła w piekło.

Z zmięczem gdy ogień ustał, popod moje okna przesuwiała się szeroką ulicą gremjalnie centralizacja, idąca do Heltmana mieszkającego obok w wąskiej uliczce. Januszewicz, Heltman, Podolecki, Jakubowski, Sokulski, Malinowski, Domagalski w rozkosznych humorach, śmiejąc się i dowcipkując zbierali po bruku walające się kartacze i czerepy granatów. Nazajutrz byli wszyscy u mnie, krokodylemi łzami oplakując niszczenie miasta i upadek gwardji. W dni kilka potem pożegnałem tych moich przyjaciół, gdy wyjeżdżali szybko zagranicę, bo już reakcja dobierała się do nich. Najpoczciwszy z nich Pius Groza, który mieszkał u mnie, zapóźniwszy się został ujęty przez Moskali, a poznany jako dezterter z pułku moskiewskiego, zginął pod praszczętami.

Podczas bombardowania padło 180 ofiar, rannych było wiele, opatrywano na razie w kościele Bernardynów i w teatrze. Wojsko popełniało oburzające swawole: w oknach gmachu gubernjalnego widno było eleganckie kobiety, stojące pomiędzy grenadje-rami i palcami wskazujące, gdzie strzelać mają. Były

to żony urzędników Rusinów, pohulać rade. Mostemku angielskiemu hotelowi szedł katedralny dziad, strzał położył, go trupem, nadchodząca żebraczka, chcąc go podźwignąć w piersi dostała kulę. Wszystkim znana kawiarka Malwina Łysakowska, zatrzymawszy się chwilę nad niemi, śmiertelnie postrzelona ułożyła się przy nich. I Deutschmeistry nie chcieli zostać w tyle. Na Krakowskiem gęsto leżało trupa; jedenastoletnie dziewczątko biegło z lekarstwem: „*Um ein Päckel Tabak schies ich sie nieder*“, zawołał zmierzając się podoficer od Deutschmeistrów. „*Schies zu*“, bąknął pan porucznik, a biedne piersi przeszły kula.

Sto takich zbrodni popełniono bezkarnie, między niemi trafiały się i zabawne. W zajeździe Kuhnów stał lubieński muzyk z końmi, zebrała go ciekawość co to się dzieje na mieście. Uchyliwszy ostrożnie furtkę, gdy ujrzał, że to nie żarty i zwracał się chcąc iść do sieni, dostał w tej chwili kulka, która przez parę tygodni usiąść mu nie pozwoliła. Do starego konsyliarza wpadło zapite żołdactwo; napróżno dufając w swą lojalność, chcąc przerwać rabunek wrzeszczał na całe gardło:

— „*Dobri ludie, ja kaiserlich, ja kein Polak*“.

— „*Sam skazał szczo Polak*“,

i nuż w kolby, że o mało niemieckiej nie wyzionął pary. Tem wszystkim tak się rozbewiło wojsko, że na drugi dzień jeszcze włączyli się kupkami, strzelając do okien i wpadając do domów, w końcu na Krakowskiem formalny rozpoczęto rabunek, a nawo-

lującego do porządku oficera, pokłuto bagnetami. Wałami widno było grenadjerów, uginających się pod łupami. Nazajutrz z południa, ruszyły setki ładownych wozów. Policja z wojskiem szła od kamienicy do kamienicy i zabierała wszystko co było lub być mogło bronią, nawet kuchenne noże nie w jednej brakły kuchni. Gdy nikt na to przygotowanym nie był, wyobrazić sobie łatwo, jakie masy przeróżnej broni zawaliły arsenał. W parę lat potem za okazem pozwolenia, iż się tyle sztuk broni posiadać może, prowadzono upominających się do składów, w których sterty broni leżały. Mało kto swojej odszukał, ja z 18 zabranych sztuk, odebrałem 1 dubeltówkę i 1 pałasz, za to dozorca powiedział mi: „*Nehmen sie was ihnen gefällt*“. Można sobie wyobrazić, ilu z takiego pozwolenia skorzystało, co tylko było lepszego poszło w zagraniczny handel. W arsenałach widziałem troteę z naszych lanc z podpisem: „*Erobert im Kampfe mit der polnischen Garde*“. — Zbytek honoru dla nas, bohaterski nasz zwycięzco!

W parę tygodni po bombardowaniu, najzjadliwszy bataljon galicyjskich grenadjerów, dostawszy rozkaz wymarszu na Węgry, wysłał 4 podoficerów i tyleż żołnierzy w deputacji do Hamersteina, że nie wyjdzie ze Lwowa, bo musi pilnować by „Polacy znowu gwardji nie zrobili“. — Hamerstein poszeptał z Rukstalem, deputacja przed frontem dostała po 80 ojcowskich napomnień, a bataljon z placu egzekucji bez pakunku ruszył za roгатki, gdzie bez chleba i ognia do tego w śnieżycę pod karabinem przestał noc całą.

Ten bataljon cały prawie wyginął na Węgrzech, ledwo kilkunastu wróciło. Przed wejściem na linię bojową, porządek musiał być przywróconym; i oto dojeżdżając do Zimnej Wody, widziałem na polu stojący bataljon, przed którego frontem siedmiu żołnierzy biegało przez różgi.

Trzeciego dnia po bombardowaniu, zwołano jakieś zgromadzenie miejskich znakomitości do angielskiego hotelu, by utworzyć komitet bezpieczeństwa; idąc do moich ludzi naszedłem na te narady, które się odbywały na wschodach i korytarzach. Kilku z mieszczan z byłej rady narodowej naradzało się na uboczu: ta namiętność radzenia poruszyła żółć we mnie, więc przystąpiłem mówiąc: „Ojcowie ojczyzny radzą pewnie jakby to można miasto drugi raz zbombardować“. Na to lakiernik Kasper Boczkowski wielki między niemi matador, odpowiada: „Tać to panowie sami winni, wiedzieliście, że my osły, było krzyknąć: a do pendzla, do pociągła, a nie do rady“.

W parę dni po bombardowaniu Wybranowski od nas zażądał szczegółowych raportów, gdyby je można mieć dałyby najlepszy obraz tego zdarzenia. Sąd kryminalny także nas dowódców gwardji indagował, ale to była czysta komedia i nic więcej.

Tak zakończyła się wiosna narodów we Lwowie

K O N I E C.

OBJASNIENIA.

O autorze „Złotych czasów“ znaleźć można nieliczne wzmianki w krótkich nekrologach współczesnych („Gazeta narodowa“ z dn. 13. października 1887, „Czas“ z dnia 22. października 1887). Por. nadto: Dębicki Ludwik, Portrety i sylwetki, S. II. t. I. str. 193; Wasilewski Zygmunt, Z życia poety romantycznego, Lwów, 1910, str. 22 i nast.; Zawadzki Wł., Ludwik Nabelak, Lwów, 1880, str. 47; Estreicher Karol, Wincenty Pol, jego młodość i otoczenie, Lwów, 1880, str. 74.

W połączonem z wielkimi trudnościami wydaniem ustępów z pamiętników Jabłonowskiego wielce pomocnym był wydawcy dyrektor Zakładu nar. im. Ossolińskich dr. Ludwik Bernacki, za co mu składamy wyrazy serdecznej podzięk.

Równą wdzięczność winniśmy Leonowi hr. Szeptyckiemu z Przyłbic, który z chętną gotowością udzielił informacji biograficznych o Jabłonowskim.

* * *

Do str. 75:

Surowy sąd Jabłonowskiego o obu Dzierzkowskich zgadza się z opiniami innych współczesnych. (Por. np. Pamiętniki Karpińskie, o, Leona Sapiehy i in.).

Do str. 80:

O królewiczu arakańskim bliższe wyjaśnienia podał Karol Cieszewski w „Dzienniku literackim“ (1857, str. 320), oraz Pełowski, Obrazy z przeszłości (I., str. 23).

Do str. 81:

Zbrodnia stanu Puzynianki opisana błędnie. Rzecz działa się o wiele wcześniej w r. 1809, i nie na balu stańowym, lecz u biskupa Kickiego. (Por. „Opowieści dziewczęce“, („Gawęd“ t. III).

Do str. 142:

Dla korektury uprzedzeń Jabłonowskiego, gdy pisze o spiskach węglarskich — należy uwzględnić opracowania krytyczne z tych czasów pp. Krajewski, Tajne związki w Galicyi, (Lwów, 1903); Ostaszewski-Barański, Krwawy rok (Złoczów, 1896), oraz liczne pamiętniki spiskowców (Budzyński, Borkowski, Józefczyk, i w. i.).

Do str. 162:

O genezie utworów Pola, Jabłonowski nie był dokładnie poinformowany. Por. literaturę odpowiednią, zebraną w wydawnictwie Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej, t. VI., str. 92 i nast.

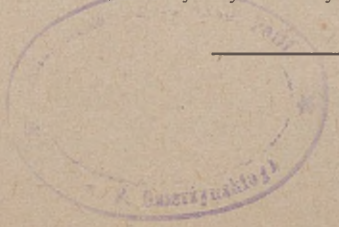
Do str. 221:

Do roku 1848 i poruszanych przez Jabłonowskiego spraw, por.: Pamiętniki Wybranowskiego, Lwów, t. 1—2, (gdzie bardzo pochlebne wzmianki o Jabłonowskim (I., 386, II., 242) i jego oficjalny raport wojskowy o bombardowaniu). Zawadzki Wł., Dziennikarstwo w Galicyi. Rok 1848. Lwów, 1876, wreszcie Pamiętniki Leona X. Sapiehy.

Poprawić należy na str. 2 Stanisławowa zamiast Stanisława; na str. 24 Meropa, zamiast Mezopa; na str. 51 gonty, zamiast gąty; na str. 56 Sieniawskich, zamiast Pieniawskich; na str. 121 pułkach, zamiast półkach; na str. 131 Jaszczułd, zamiast Jaszczułg; na str. 185 Libelta, zamiast Lebelta.

SPIS RZECZY.

	Str.
ROZDZIAŁ I: W dworach i dworkach przed stu laty	1
ROZDZIAŁ II: Życie starego Lwowa	17
ROZDZIAŁ III: Towarzystwo lwowskie	31
ROZDZIAŁ IV: Upadek gospodarstwa i zmierzch szlachty	44
ROZDZIAŁ V: O haraburdach i dziwakach	52
ROZDZIAŁ VI: Fredrowie	60
ROZDZIAŁ VII: Mój szwagier, Skarbek	66
ROZDZIAŁ VIII: O dawnej palestrze galicyjskiej	74
ROZDZIAŁ IX: O królewiczu arakańskim i innych osobli- wościach	80
ROZDZIAŁ X: O rusinach i bojkach	89
ROZDZIAŁ XI: Pierwsza podróż do Warszawy	94
ROZDZIAŁ XII: Drezno i wizyta u Mickiewicza	104
ROZDZIAŁ XIII: Noc listopadowa we Lwowie	108
ROZDZIAŁ XIV: Nie masz pana nad ułana	115
ROZDZIAŁ XV: Bitwa pod Wawrem	124
ROZDZIAŁ XVI: O dyplomacyi i o cholery w Wiedniu	134
ROZDZIAŁ XVII: Weseli partyzanci i czerwoni węglarzę	142
ROZDZIAŁ XVIII: Seweryn Goszczyński i Wincenty Pol	156
ROZDZIAŁ XIX: W austryjackim kryminale	165
ROZDZIAŁ XX: Jak przygotowaliśmy powstanie w roku 1846-tym	179
ROZDZIAŁ XXI: Wiosna ludów we Lwowie	196
ROZDZIAŁ XXII: Pan generał Dwernicki i Bem	212
ROZDZIAŁ XXIII: Barykady i armaty	220



Biblioteka Główna
Akademii Sztuki Wojennej

14687/1



11-014687-000-0